ZA KULISAMI DYKTATU TSUE

Kto naprawdę przegrał batalię o zmiany w sądach?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 48/300 26 LISTOPADA–2 GRUDNIA 2018

Były rzecznik prezydenta studzi emocje w PiS

FORMUŁA 1:
SENSACYJNY POWRÓT ROBERTA KUBICY

„Narcos", Meksyk i kokaina – okiem Goćka

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 80 tys. egzemplarzy

Mecenas Giertych na wojnie z PiS

GRUPA PKP

PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

PKPCARGO

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna

PKP INTERCITY

Grupa PKP

100 miliardów złotych na inwestycje do 2023 roku

www.pkp.pl

eprasa.pl 9161cd63de

W RZECZY SAMEJ

Trudna nauka pragmatyzmu

PAWEŁ LISICKI

Ledwo kilkadziesiąt minut po tym, jak PiS ogłosił, że wycofuje się ze zmian w Sądzie Najwyższym, zadzwoniła do mnie pewna bardzo rozgoryczona czytelniczka i stwierdziła, że już więcej na partię Kaczyńskiego nie będzie głosować, bo została zdradzona. „Wystrychnięto mnie na dudka – mówiła z żalem. – To po co się tak angażowałam w ich obronę, zbierając kolejne razy? A teraz? Teraz będę pośmiewiskiem".

Przypuszczam, że takich rozczarowanych i rozgoryczonych wyborców do tej pory głosujących na PiS było znacznie więcej. Oczywiście trudno się spodziewać, żeby faktycznie porzucili oni partię rządzącą. W końcu, i to jest właśnie to, z czego doskonale sobie zdają sprawę stratedzy partyjni, do kogo mieliby pójść? Tak długo, jak PiS pilnuje swojej prawej flanki, i tak długo, jak nie ma po prawej stronie konkurencji, różne zawirowania, zwroty i odwroty uchodzą partii rządzącej na sucho. Jednakże nigdy nie wiadomo, jaka jest wytrzymałość elektoratu.

W ostatecznym rozrachunku duże znaczenie mają też mobilizacja i zaangażowanie. Czym innym jest głosowanie na partię dlatego, że wierzy się w jej program i zdolności przywódcze liderów, a czym innym z musu, bo inni byliby jeszcze gorsi. Dla PiS rezygnacja ze zmian w Sądzie Najwyższym była zatem wyjątkowo trudna. Do tej pory rządzący przyzwyczaili swoich wyborców do tego, że nigdy się nie cofają pod naciskiem zewnętrznym – wyjątkiem była tylko sprawa nieszczęsnej ustawy o IPN. Krok w tył był tożsamy ze zdradą i z tchórzostwem. PiS zdobył i utrzymał poparcie, bo przekonał część wyborców, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych i że faktycznie, a nie tylko symbolicznie i fasadowo zamierza wprowadzić zmiany.

Dokładnie tak było w przypadku zmian w Sądzie Najwyższym. Obecna porażka nie byłaby zapewne tak dotkliwa, gdyby nie to, że sami politycy PiS miesiącami robili wszystko, żeby wyrobić u swoich popleczników przekonanie, że podejmują jedynie słuszne i niepodważalne decyzje. To, co było w najwyższym stopniu wątpliwe – pozbawienie stanowiska pierwszej prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf – i to, co było ryzykowne – odesłanie na wcześniejszą emeryturę sędziów powyżej 65. roku życia – pokazywali jako jedyne rozwiązanie. Ba, niektórzy wręcz mówili, że niechęć do tych zmian może być wyłącznie wyrazem braku patriotyzmu i wad moralnych. Tylko że politycy, którzy są nazbyt moralizatorscy, w przypadku, kiedy muszą wykazać się elastycznością, narażają się na zarzut hipokryzji. Dlatego tak trudno politykom PiS opowiedzieć, co właściwie się stało. Historia jest zaś banalnie prosta: PiS cofnął się, bo wystraszył się, że TSUE jeszcze przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i tak zmiany odrzuci. Byłby to zatem poręczny instrument w ręku opozycji, która mogłaby bez końca straszyć polexitem. Gdyby nie rezygnacja ze zmian, PiS musiałby się liczyć z porażką w wyborach do Parlamentu Europejskiego, a potem i do Sejmu.

Wycofując się ze zmian, partia Jarosława Kaczyńskiego wykazała się zatem roztropnością, umiejętnością przewidywania skutków własnych działań i zastanawiania się nad ich politycznymi kosztami. Tylko czy pragmatyzm, którym wykazali się politycy PiS, jest ceniony przez ich własnych wyborców, których tak długo uczyli czegoś dokładnie odwrotnego? Czy realizm, którym się wykazali, trafi do przekonania tym, którzy mniemają, że polityka to starcie mocy dobra i zła? I dlaczego zdobyli się na taką refleksję tak późno? Albo od początku nie należało wprowadzać zmian tak daleko idących, albo – jeśli traktowało się je jako kartę przetargową, jako coś, z czego można się wycofać po to, żeby zachować inne reformy – nie należało używać tak bardzo moralistycznej i manichejskiej retoryki. Wówczas znacznie łatwiej byłoby mówić o taktycznym odwrocie, a nie o tchórzostwie, słabości czy zdradzie. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 9161cd63de

TEMAT TYGODNIA

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KRUCJATA GIERTYCHA
Były szef narodowców i jego show

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
POTYCZKI WE MGLE
Jak rząd chce przetrwać kryzys

30 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
PIS MUSI USPOKOIĆ EMOCJE

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE MA ZAWAŁU, JEST DEMENCJA

36 ŁUKASZ WARZECHA
JAK PIS URATOWAŁ UNIĘ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TWÓJ MALEC TEŻ OGLĄDA PORNO

40 RADOSŁAW WOJTAS
PO KROPLI DO PRAWDY

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
PEWNEGO RAZU W MEKSYKU
„Narcos: Mexico" – opowieść o narodzinach pierwszego meksykańskiego kartelu narkotykowego

46 ROZMOWA Z PISARKĄ MARTĄ SZTOKFISZ
KUCHARKA NARODOWA

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z HISTORYKIEM PROF. MARKIEM KORNATEM
KOŚCIÓŁ WOBEC ZŁA
Czy Kościół dostatecznie potępiał nazistów?

HISTORIA

62 PIOTR SEMKA
NIEMIECKI LISTOPAD
MARYNARZE, KTÓRZY PRZEWRÓCILI CESARSKI TRON

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŚWIĘTO DLA KAŻDEGO

ŚWIAT

72 WITOLD REPETOWICZ
ROSYJSKI ATAK BRONIĄ D NA EUROPĘ?
Będzie nowa fala migrantów?

74 TERESA STYLIŃSKA
OBYWATELSTWO NA SPRZEDAŻ

76 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
EUTANAZYJNA RÓWNIA POCHYŁA

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
CZAS PODWYŻEK
Kiedy będziemy zarabiać jak Niemcy?

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
GONIMY EUROPĘ

86 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SADOWSKIM
PROCEDURY NIE SĄ PRZESTRZEGANE

87 ROZMOWA Z CEZARYM KAŹMIERCZAKIEM
NIE WDEPTYWAĆ KNF W ZIEMIĘ

SPORT

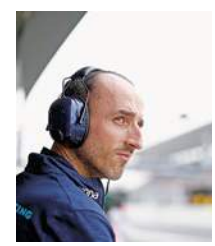

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
KUBICA WSTAJE Z POPIOŁÓW
Powroty wielkich sportowców

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
PRZEŁOM DLA WCZEŚNIAKÓW
Sukcesy polskiej neonatologii

FELIETONY:
SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (9), WARZECHA (10), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (71), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (94), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 9161cd63de

Diagnoza i co dalej

Z ***dr n. med. Mariolą Kosowicz,*** psychoonkologiem, terapeutą systemowym z Centrum Onkologii, rozmawia Katarzyna Pinkosz

Nie spodziewamy się diagnozy: nowotwór. Jak sobie z nią poradzić?

Lęk przed nowotworem jest zakorzeniony w naszej psychice. Nierzadko informacje na temat chorób onkologicznych czerpiemy z przekazów medialnych, internetu, doświadczeń osób bliskich i nie weryfikujemy swojej wiedzy. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo medycyna w ostatnich latach poszła do przodu. Wiele nowotworów, które kiedyś były nie do wyleczenia, dziś jest wyleczalnych lub są leki, które pozwalają żyć z chorobą przez wiele lat. Pojawiają się wciąż nowe terapie.

Pierwszą reakcją jest jednak poczucie, że nie damy sobie rady...

Nie znam osób, które by się nie bały. Diagnoza choroby to poważne wyzwanie. Każdy człowiek, zanim zachorował, miał swój świat, pełen obowiązków i zobowiązań. On nie znika wraz z chorobą.

Przede wszystkim trzeba jednak zadbać o leczenie, poszukać dobrego ośrodka onkologicznego. Zaufać lekarzowi.

Co decyduje o tym, że niektórzy ludzie radzą sobie lepiej od innych?

W swojej pracy spotykam ludzi, którzy w różny sposób podchodzą do choroby i terapii. Jedni dosyć szybko odnajdują siły do podjęcia leczenia i widzą w tym sens, nie myślą na zapas. Skupiają się na tym, na co mają wpływ. Inni szukają winnych swojej sytuacji, są obrażeni na świat, Boga, ludzi, szukają pomocy u znachorów. Jeszcze inni się poddają, nie widząc sensu w leczeniu, a jeżeli już się leczą, to nie dla siebie, ale dla rodziny.

Badania wskazują na ogromne znaczenie podejścia człowieka do leczenia. Im więcej mamy zaangażowania i poczucia sensu w tym, co robimy, tym lepiej się czujemy i mamy lepszą jakość życia.

To znaczy, że nasze samopoczucie wpływa na efekty leczenia. Warto więc patrzeć pozytywnie?

Swoich pacjentów uczę zdrowego myślenia, opartego z jednej strony na nadziei – bo warto ją mieć, a z drugiej – na racjonalności. Nie wiemy, co nas spotka. Starajmy się jednak zrobić wszystko, byśmy byli jak najlepiej leczeni.

Ale bywa też tak, że wydaje się, że wszystko wali się na głowę: nie dość, że słyszymy diagnozę choroby, to rozpada się nasze małżeństwo, związek. Co wtedy?

Zdarza się, że choroba wyciąga na światło dzienne deficyty w związku, relacjach rodzinnych czy społecznych. Niekiedy współmałżonek okazuje się niedojrzały i ucieka przed konfrontacją z chorobą osoby bliskiej w pracę, romans. Tak bywa. Nie należy jednak popadać w rozpacz, a wręcz przeciwnie – próbować te problemy rozwiązać, szukać pomocy.

Bywa jednak też tak, że choroba uświadamia, jak piękne jest życie, jak ważni są dla nas inni ludzie.

To prawda. Choroba powoduje, że się zatrzymujemy. Niektóre kobiety zauważają, że od czasu choroby „więcej rozmawiamy, mąż się zmienił", „zobaczyłam, że mam prawo zadbać o siebie, poprosić innych o pomoc", „stałam się bardziej asertywna". Inni mówią: „Mogę żyć bez pracy po nocach i wcale nie jestem biedniejszy". Często zaczynamy doceniać to, co mamy.

Od wielu osób dostaję kartki z pozdrowieniami z wakacji. Tłumaczą, że: „Od czasu, gdy zachorowałam, jesteśmy co najmniej dwa razy w roku na wakacjach. Wcześniej to było niemożliwe".

Kiedy potrzebujemy wsparcia psychologicznego?

Większość z nas potrzebuje wsparcia. Dobre słowo, wiara w nasze działania, szczera rozmowa – to wszystko może bardzo pomóc. Pomocy w takiej formie może udzielić każdy człowiek, pod warunkiem że nie narzuca swojego zdania, potrafi słuchać i nie ucieka od trudnych tematów. Są jednak sytuacje, kiedy warto skorzystać z pomocy psychoonkologa czy nawet psychiatry. Warto pamiętać również o fundacjach dla osób chorych, dzięki którym można uzyskać rzetelną wiedzę na temat choroby, pomoc i dostęp do poradników na ten temat.

Gdzie szukać pomocy

Istnieje wiele **organizacji pacjenckich,** zarówno ogólnopolskich, jak i lokalnych, z którymi warto się skontaktować, aby uzyskać wsparcie.

Informacje można uzyskać m.in. w Biurze **Rzecznika Praw Pacjenta** – bezpłatny numer: **800 190 590**

ZDJĘCIA: MATERIAŁY PRASOWE, 123RF

Ministerstwo Zdrowia

Kampania realizowana w ramach Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych.
Zadanie: Promocja zdrowia i profilaktyka nowotworów; finansowana ze środków Ministra Zdrowia

eprasa.pl 9161cd63de

Drodzy Czytelnicy!

Dzisiaj różnorodnie – od taksówkarzy do… Donalda Tuska. Czytelniczce życzymy zdrowia, a wszystkim Państwu tylko bezpiecznych podróży. Na listy czekamy pod adresem: listy@dorzeczy.pl.

Co się dzieje z taksówkarzami?

Jakiś czas temu na Waszych łamach [„DRz" 36/2018 i 37/2018 – przyp. red.] czytałam polemikę dotyczącą taksówek, Ubera i sporu dotyczącego tego, czy podróżowanie z licencjonowanymi, ale droższymi przewoźnikami (taksówkarze) jest bezpieczniejsze od korzystania np. z Ubera. Chciałam podzielić się moimi ostatnimi przeżyciami.

Jadąc w Warszawie taxi z licencjonowanym taksówkarzem (nazwa korporacji do wiadomości redakcji), miałam dość groźnie wyglądający wypadek – na czerwonym świetle kierunkowym do skrętu w lewo wjechała w nas… inna taksówka. Samochód poszedł do kasacji, więc nie była to delikatna stłuczka, a sprawca wypadku – podobno licencjonowany taksówkarz – uciekł rozbitą taxi z miejsca wypadku.

Dzisiaj czytam, że także w Warszawie na ul. Hynka taksówkarz, wioząc matkę z dwojgiem dzieci, nie zatrzymał się do kontroli drogowej. Uderzył w krawężnik, później w słup, a następnie uciekł pieszo

z miejsca wypadku, zostawiając pasażerów w samochodzie. Szuka go policja.

W związku z tym nasuwa mi się pytanie: Czy rzeczywiście licencjonowane taksówki są bezpieczniejsze od przewozu osób typu Uber czy Taxify? A może jest to tylko licencja na bezkarność?

Pozdrawiam

Czytelniczka z Warszawy

Sejm powinien potępić Tuska?

Słowa szefa Rady Europejskiej D. Tuska wygłoszone w Łodzi 10 listopada o tym, że elektorat PO ma pokonać „współczesnych bolszewików", czyli działaczy i wyborców prawicy, to była ewidentna prowokacja, podobnie jak wystąpienia HGW w Warszawie o rozwiązaniu Marszu Niepodległości w trakcie jego trwania, a potem o jego zakazie. Tusk jako szef Rady Europejskiej nie ma prawa wtrącać się w polskie sprawy wewnętrzne, a jako polski

polityk nie ma prawa obrażać większości społeczeństwa (prawica wygrała wybory parlamentarne w 2015 r. i wybory samorządowe w 2018 r.). Bolszewicy byli rewolucyjną tłuszczą, mordercami i agresorami ze Wschodu, którzy zrujnowali kraj, wymordowali setki tysięcy ludzi, dopuszczali się masowych gwałtów i rabunków. Za takie porównanie Tusk powinien być napiętnowany przez Sejm w drodze specjalnej, dedykowanej uchwały, poświęconej temu skandalicznemu wystąpieniu. […] Taka potwarz rzucona społeczeństwu nie może w żadnym razie pozostać bez odpowiedzi.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Errata

W poprzednim wydaniu „Do Rzeczy" w dziale „Listy" błędnie rozwinęliśmy skrót PAN jako Państwową Akademię Nauk. Chodziło oczywiście o Polską Akademię Nauk. Za błąd przepraszamy.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja) **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Maksymilian Rigamonti/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 9161cd63de

Urzędnicy ukrywali archiwum „Zośki”

Policja i pracownicy Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków weszli do pomieszczeń Urzędu Miasta i Gminy Piaseczno. Jak ustaliło „Do Rzeczy”, w trakcie kontroli odkryto tam nielegalnie przetrzymywane dokumenty dotyczące batalionu AK „Zośka” i archiwa Podziemnego Państwa Polskiego.

W tej sprawie pion śledczy IPN w Warszawie prowadzi już śledztwo dotyczące możliwości popełnienia przez gminnych urzędników w Piasecznie przestępstwa polegającego na uchylaniu się od przekazania i niszczeniu dokumentów, które powinny zostać przekazane do Instytutu Pamięci Narodowej.

Akcja policji i pracowników Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Warszawie w pomieszczeniach należących do Urzędu Miasta i Gminy Piaseczno miała miejsce pod koniec września, jednak nie informowano o niej opinii publicznej. Tygodnikowi „Do Rzeczy” udało się potwierdzić, że miała ona miejsce. W jej trakcie skontrolowano m.in. dokumentację urzędu z Piaseczna przechowywaną w pomieszczeniach Biblioteki Gminnej w Zalesiu Górnym.

– Na miejscu ujawniono m.in. dokumentację z lat 1939–1942. Z oględzin dokumentów wynika, że to dokumentacja archiwalna i dotyczy funkcjonowania batalionu Armii Krajowej (AK) „Zośka”, a szerzej – funkcjonowania struktur Polskiego Państwa Podziemnego – poinformowała nas Iwona Spałek, rzecznik prasowy warszawskiego oddziału IPN.

Prawdopodobnie wśród dokumentów są m.in.: zaświadczenia/pochwały wystawione 3 maja 1942 r. przez komendanta głównego „Wawra” Aleksandra Kamińskiego „Dąbrowskiego” dla: „Czubka” (Jacek Tabęcki), „Góreckiego” (Aleksander Kamiński?), „Glizicza” (pseudonim nieczytelny) i „Rudego” (Jan Bytnar), a także rozkaz komendanta głównego „Wawra” Aleksandra Kamińskiego z 9 lipca 1942 r. dotyczący nadania pseudonimów dwóm wawerczykom, znanym z książki „Kamienie na szaniec” – Tadeuszowi Zawadzkiemu „Zośce” i Maciejowi Aleksemu Dawidowskiemu „Alkowi”, oraz kilka egzemplarzy konspiracyjnej prasy.

Dokumenty te to najprawdopodobniej część znaleziska dokonanego przez archeologów z firmy Revelare, którzy latem prowadzili prace w tzw. Domu Zośki. Archeolodzy ustalili, że na terenie posiadłości, która miała zostać zabezpieczona przez gminę, ktoś prowadził nielegalne poszukiwania. Za to w dwóch schowkach znaleźli przedwojenną amunicję i dokumenty o funkcjonowaniu państwa podziemnego. Zanim archeolodzy zdążyli zabezpieczyć i opisać znalezisko, zostało ono przejęte przez urzędników gminy Piaseczno, którzy o znalezionym „skarbie »Zośki«” nie poinformowali opinii publicznej. Dokumenty batalionu „Zośka” miały zostać – jak deklarowali przedstawiciele Urzędu Miasta i Gminy Piaseczno w rozmowach z władzami Muzeum Powstania Warszawskiego – przekazane do MPW w depozyt. Tak się jednak nie stało. ©℗

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

Luminox z serii ICE-SAR Arctic 1000 – Oficjalny Partner Islandzkiego Stowarzyszenia Ratowniczego ICE-SAR (The Icelandic Association for Search and Rescue)

Profesjonalne ekipy z ICE-SAR są szkolone, aby w każdych, nawet najtrudniejszych islandzkich warunkach (lawiny, sztormy, trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów czy misje na lodowcu) dotrzeć do potrzebującego. Czasem muszą pracować w ekstremalnie trudnych warunkach i w nocy, gdzie widoczność jest ograniczona. Muszą wtedy polegać na sprzęcie, który będzie im pomocny w akcji ratowniczej. Luminox jest dumny, że może być częścią ekwipunku ratowników z ICE-SAR.

ICE-SAR świętuje w tym roku 90-lecie i wybrał markę Luminox na swojego oficjalnego partnera. Aby uczcić to partnerstwo, Luminox stworzył specjalną serię zegarków ICE-SAR Arctic 1000 Series.

Model Luminox XL.1002 ma ø46mm kopertę wykonaną z Carbonox™ – to wyjątkowo wytrzymały materiał karbonowy. O wiele lżejszy od stali, hipoalergiczny i trwały. Zegarek ma odporne na zarysowania szafirowe szkło, szwajcarski mechanizm i wodoszczelność aż 200 metrów. Jak każdy Luminox, ten model również jest wyposażony w unikatowy samozasilający system podświetlenia LLT, który zapewnia, że godzina jest czytelna zawsze, w każdych warunkach, aż do 25 lat.

Ciekawostkami są również detale: numer ratunkowy 112 zamiast klasycznej 12stki, wskazówki o kształcie karabińczyków używanych w misjach ratunkowych czy faktura tarczy przypominająca obecną na Islandii lawę.

Cena: 1970 zł
Dostępny w wybranych butikach SWISS i na swiss.com.pl

eprasa.pl 9161cd63de

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Co się robi z władzą?

W czwartek 22 listopada zebrała się na inauguracyjnej sesji nowa Rada Warszawy, aby pożegnać ustępującą Hannę Gronkiewicz-Waltz i przekazać władzę nowemu prezydentowi stolicy Rafałowi Trzaskowskiemu. Impreza ta przypomniała nam w skrócie styl rządów Platformy Obywatelskiej.

Na początek zebranych radnych uraczono przemówieniem Hanny Gronkiewicz-Waltz, która swoim rządom wystawiła efektowną laurkę. Nie odniosła się ani słowem do afery reprywatyzacyjnej. Przemówienie zakończyła bojowym hasłem: „Nikt nie zrobi z Warszawy Budapesztu, Istambułu ani Moskwy". Na koniec własnoręcznie nałożyła łańcuch prezydenta Warszawy na szyję Rafałowi Trzaskowskiemu. Na tej samej sesji akty nominacyjne dla członków rady wręczała bardzo symboliczna postać – pan Jarosław Jóźwiak, były wiceprezydent Warszawy, zdymisjonowany jako ofiara rzucona na żer opinii publicznej po wybuchu afery z czyszczeniem kamienic jesienią 2017 r. Tego samego dnia – jak twierdzą radni PiS – reprezentanci Platformy przedstawili im ultimatum: albo zaakceptują wyznaczony przez PO podział stanowisk szefów i wiceszefów komisji, w którym opozycji łaskawie dano parę stanowisk, albo platformersi „przegłosują wszystko, jak zechcą, bo mają większość". Korzystając z tej większości, Platforma przeforsowała na szefową Komisji Kultury panią Agatę Diduszko – wojującą feministkę.

Na koniec dnia Rafał Trzaskowski w TVN24 potwierdził, że decyzja HGW o zakazie Marszu Niepodległości była słuszna. „Nie było pewne, że rząd weźmie odpowiedzialność za bezpieczeństwo. Tu nie ma miejsca na odcienie szarości. Tu nie ma miejsca na faszyzm, my na to nie pozwolimy" – mówił. Zabrzmiało to jak zapowiedź ponownego zakazu Marszu Niepodległość za rok. Platforma przypomniała, co robi się z władzą, gdy się ma większość i parasol ochronny przeważającej części mediów.

A co się robi, gdy się większość traci? O tym przypominała Platforma na Górnym Śląsku. Tam świeżo wybrany radny Koalicji Obywatelskiej, pan Wojciech Kałuża, zdezerterował do obozu PiS, dał tej partii wymarzoną większość i tym samym władzę nad urzędem marszałkowskim. Akces Kałuży mógł bulwersować, bo zdarzył się miesiąc po wyborach. Jednak podobne zmiany barw klubowych w sejmikach i – szerzej – w polskiej polityce zdarzały się już wiele razy. Tym razem jednak Platforma uderzyła w najgłośniejsze tony pogardy dla odszczepieńca.

Traf chciał, że następnego dnia ważyła się sprawa wyboru marszałka województwa podlaskiego. Wskutek skłócenia dwóch frakcji w PiS i – jak głosiła plotka – udanych rozmów na temat przekabacenia jednego z PiS-owców na stronę Platformy marszałkostwo mogło trafić w ręce PO. Tylko szybka interwencja żony Jacka Żalka uratowała władzę PiS nad Podlasiem.

Nie wątpię, że nowy marszałek z PO byłby gościem wielu mediów, a z radnym PiS, który zmienił front na rzecz PO, rozmawiano by jako z kimś, kto wykazał się odwagą i „uratował demokrację". A komentatorzy ze zjadliwymi uśmiechami pisaliby o podlaskim rewanżu za Śląsk: „PiS poległ od własnej broni".

Wnioski z obu historii pozostawiam państwu. ©℗

Prof. Jastrzębski szefem KNF

Premier Mateusz Morawiecki powołał 23 listopada prof. Jacka Jastrzębskiego na przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego – podało CIR. Profesor Jastrzębski jest doktorem habilitowanym nauk prawnych, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego zatrudnionym w Katedrze Prawa Cywilnego i Administracji UW. Ma też doświadczenie w sektorze finansowym.

Kadencja szefa KNF jest pięcioletnia. Profesor Jastrzębski obejmie to stanowisko po Marku Chrzanowskim, który zrezygnował z funkcji po wybuchu afery związanej ze sprawą nagrań dostarczonych do prokuratury przez właściciela Getin Noble Banku Leszka Czarneckiego. ©℗ *(jap)*

FOT. KPRM

O aferze KNF piszemy na s. 20, 26, 34, 86 i 87.

NOWY RZECZNIK PRAW DZIECKA

Po tygodniach gorących debat Sejm zdołał wreszcie wybrać nowego Rzecznika Praw Dziecka. Został nim prawnik Mikołaj Pawlak. Zdaniem opozycji Mikołaj Pawlak nie ma wymaganego prawem udokumentowanego doświadczenia w pracy z dziećmi. Mecenas Pawlak ukończył prawo i prawo kanoniczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W imieniu ministra sprawuje nadzór nad sądami rodzinnymi, zakładami poprawczymi i schroniskami dla nieletnich. Odpowiada również za tworzenie systemu pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwami, a zwłaszcza pomocy dla dzieci, kobiet i rodzin. ©℗ *(jap)*

eprasa.pl 9161cd63de

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wysoki cyrk

Duże brawa należą się TVP Info za to, że przeprowadziła bezpośrednią transmisję z procesu, który Jarosław Kaczyński wytoczył Lechowi Wałęsie, pośrednio zmuszając do tego inne telewizje. Co innego czytać o sądowej farsie, a co innego widzieć ją na własne oczy.

Lech Wałęsa od dawna uporczywie głosi, jakoby winnym katastrofy w Smoleńsku był Jarosław Kaczyński – miał jakoby naciskać na brata w ostatniej rozmowie telefonicznej, krótko przed tragedią, by kazał pilotom lądować za wszelką cenę mimo niedogodnych warunków atmosferycznych. Są to twierdzenia oparte wyłącznie na nienawiści Wałęsy do Kaczyńskiego i jego nieżyjącego brata oraz chęci publicznego upokarzania ich obu, niepasujące do tego, co wiemy o tragedii, niepoparte żadnymi dowodami. Ponieważ rozzuchwalony ponad wszelką miarę Wałęsa rozgłasza te kalumnie uporczywie, pozew o naruszenie dóbr osobistych był oczywisty i oczywiste jest też, że rozprawa powinna być krótka. Czy pozwany odwołuje swe twierdzenia? Nie. Czy potrafi je jakoś uzasadnić? Tak, bo JA tak mówiem. Dziękuję, wyrok skazujący pana Wałęsę na przeprosiny i zadośćuczynienia, proszę wstać, sąd wychodzi.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby sędzia raczyła zdjąć z szyi łańcuch z godłem Rzeczypospolitej

Tymczasem przewodnicząca składu sędziowskiego (nawiasem mówiąc, internauci od razu znaleźli jej zdjęcia z antypisowskich demonstracji) pozwoliła adwokatom byłego prezydenta na urządzenie Kaczyńskiemu kilkugodzinnego, upokarzającego przesłuchania. Kaczyński nie tylko musiał się tłumaczyć, że nie zamordował swojego brata, lecz także ze swojej działalności politycznej, wyjaśniać, że nie sfałszował donosów Wałęsy zawartych w aktach TW „Bolka", a nawet tłumaczyć się – tak! – z kontaktów ze Sławomirem Cenckiewiczem. Na prośbę prawnika powoda, by sąd raczył uchylać pytania niewnoszące nic do sprawy, sędzia przewodnicząca odparła, że „stoi na innym stanowisku, bo jesteśmy w pewnym elemencie debaty publicznej i tło tej debaty wymaga wyjaśnień".

Wszystko byłoby w porządku, gdyby sędzia raczyła zdjąć z szyi łańcuch z godłem Rzeczypospolitej, przebrała się w togę z zielonymi wyłogami i usiadła obok adwokatów Wałęsy. Nie wiadomo, dlaczego tego nie zrobiła. Jednak kto ten wysoki cyrk, pardon, wysoki sąd oglądał przy robocie, już wie, że Kaczyński łagodnym wyrokiem się nie wykpi. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Mordo ty moja!

Co z tą Polską – zatroskałby się zapewne redaktor naczelny pewnego lewicowego periodyku, gdyby akurat nie uczestniczył w politycznej wojnie, i to w pierwszym szeregu, co generalnie mocno zawęża pole widzenia. Zaledwie tydzień temu w „Do Rzeczy" przedstawiliśmy w ramach political fiction wizję Polski, w której wybory wygrywa Platforma i realizuje – co naprawdę jest mocno „fiction" – wszystkie swoje zapowiedzi. Była mowa i o otwarciu na Brukselę, Moskwę, i o ograniczaniu podstawowych zasad demokratycznego państwa. Nie minęły dwie doby i politycy opozycji postanowili udowodnić, że kichają na nasze przepowiednie, że oni potrafią bardziej.

Oto poseł Paweł Olszewski z Platformy zabrał się do segregowania Polaków. Kryterium przyjął proste: patrzy im w gęby i cyk – kwalifikuje do lepszej lub gorszej grupy. Na początek zabrał się do radnego ze Śląska, który akurat zmienił barwy partyjne, dzięki czemu to PiS, a nie PO, przejęło władzę w sejmiku tego zamożnego województwa. „Twarz idealnie pasuje do PiS" – napisał o nim Olszewski.

I tak dobrze, bo Bogdan Zdrojewski, człowiek tak wysokiej kultury, że aż ministrem kultury go onegdaj Platforma zrobiła, zadeklarował, że za nielojalność wobec liberałów tenże radny, tu cytat: „Powinien trafić do pierdla".

Ciekawie się szykuje państwo, w którym rządzić będzie dzisiejsza opozycja. Demokracja rozkwitnie: jeden będzie w twarz lampką świecił i segregował, drugi wywoził do rzeczonego pierdla. Kultura specyficznie ewoluuje, czemu już wyraz dała literacka gwiazda środowisk „GW" Maria Nurowska, błyskotliwie deklarując: „Jakby ktoś mordę obił w ciemnej ulicy temu Kałuży, wcale nie byłoby mi go żal".

Czasami życie wyprzedza wyobraźnię. Niestety. ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rachunek za prąd

Jeżeli coś może narobić PiS problemów, to prędzej będzie to nadciągający wzrost cen niż afera KNF. Rząd zaczął już sobie uświadamiać, że coś chyba jest nie tak, skoro minister energii Krzysztof Tchórzewski próbuje uspokajać opinię publiczną zapewnieniami, że budżet skompensuje ludziom podwyżki cen prądu. Kosztów tej rekompensaty na razie nie znamy. Szacunki mówią o 2–4 mld zł rocznie, gdyby dopłaty miały wynosić ok. 250 zł i objąć wszystkie gospodarstwa. Jednak może znów nie załapią się „bogacze", czyli zarabiający ok. 5 tys. zł brutto. Zapowiedzi ministra są mgliste.

Wyraźnie widać patologiczną niezdolność głównych sił politycznych do myślenia w kategoriach strategicznych

Tyle że nawet gdyby dopłaty uruchomiono, nie zrekompensują one ogólnego wzrostu cen z powodu drastycznych podwyżek cen energii (nie tylko prądu, lecz także gazu), w tym dla gmin i firm. Stoimy być może u progu wielkiego impulsu inflacyjnego.

Owszem, pierwotnym źródłem naszych problemów jest polityka klimatyczno-energetyczna UE. Kosztowna, oparta na absurdalnych przesłankach (sama UE ze swoimi limitami emisji CO_2 niczego nie zmieni), ale istniejąca. Nic na to już teraz nie poradzimy. Pamiętajmy jednak, że pakiet klimatyczno-energetyczny negocjowano już za rządów Platformy, a niektóre elementy polityki energetycznej – za PiS. Obie formacje nie umiały obronić polskich interesów.

Wiadomo, że polski klimat ogranicza pozyskiwanie energii ze źródeł odnawialnych (które zresztą są kolejnym idiotycznym fetyszem w UE), więc Polska powinna postawić na energetykę jądrową. Platformie udało się jedynie stworzyć spółkę do sprawy budowy elektrowni atomowej i postawić na jej czele Aleksandra Grada z atomowym wynagrodzeniem rzędu 120 tys. zł miesięcznie. PiS po objęciu władzy duma nad energetyką jądrową i tak zapewne będzie hamletowsko dumał do końca swojej kadencji, tymczasem dopieszczając górników (choć węgiel płynie do nas w coraz większej części ze wschodu). Aha, żeby nie zapomnieć: wśród dokonań obecnej władzy warto jeszcze wymienić sparaliżowanie inwestycji w energetykę wiatrową. W Polsce wciąż marginalną, ale jednak jakiś tam wkład z OZE do naszego miksu energetycznego zapewniającą.

W mało której sprawie tak wyraźnie widać patologiczną niezdolność głównych sił politycznych do myślenia w kategoriach strategicznych. Zagadnienia strategiczne mają jednak to do siebie, że w końcu się przybliżają, a ostatecznie stają się rzeczywistością. W tym przypadku rzeczywistością, która zacznie nam wyciągać kasę z portfela. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Tej siły nie zatrzymacie

Na Twitterze i w polityce są sprawy ważne i ważniejsze, ale najważniejsza była jedna. Narodziny nowej partii Ryszarda Petru: Teraz! Jak sprytny był to ruch, przekonuje jeden z internautów. „– Gdyby były wybory, na jaką partię oddałby pan głos? – Teraz? – Dziękuję za udział w sondażu".

Jednym z pierwszych haseł partii, opublikowanym w mediach społecznościowych w formie cytatu motywacyjnego, były słowa Miltona Friedmana: „Nie istnieje coś takiego jak darmowe obiady". A następnie wezwanie: „Wesprzyj nas!". Nową siłę zauważyli nie tylko wyborcy, lecz także media, szeroko omawiające założenia programowe. „O znaczeniu nowej formacji Ryszarda Petru świadczy fakt, że w szlagierowym, 20-minutowym programie TVN24 poświęcono jej 30 sekund" – relacjonował Michał Wróblewski.

Pomimo pierwszych powiewów optymizmu przed Teraz! ciężka praca u podstaw. „Z nowego sondażu Kantar wynika, że na nową partię polskiego JFK zagłosowałoby 0 proc. wyborców" – zauważył Andrzej Mężyński. „Czy 0 proc. dla Teraz! to premia na start?" – zapytał zaniepokojony Jan Kunert. „Nie ma darmowych obiadów, nie ma darmowych sondaży" – stwierdził Napalony Wikary.

Nie wszyscy jednak stracili wiarę. „Partia Razem Ryszarda Petru będzie czarnym rubikoniem najbliższych wyborów" – postulował Andrzej Rysuje, odnosząc się do wypowiedzi lidera, który pomylił (proroczo?) nazwę własnego ruchu z partią Adriana Zandberga. „Od polskiego JFK do polskiego Jasia Fasoli w trzy krótkie lata" – podsumował jednak brytyjski dziennikarz Ben Stanley. Ale co oni tam wiedzą o polskiej polityce?

Na koniec mało ważna sprawa na marginesie. „Już tylko sprawdzanie protokołu. Jeszcze ok. 1 h. Wszyscy zmęczeni poza Leszkiem Czarneckim. Nie na darmo po 10 h nurkował w jaskiniach" – zdradził Roman Giertych po przesłuchaniu swojego klienta w sprawie KNF. Panu Leszkowi gratuluję nosa do wyboru mecenasa. Jest tak dobry jak sytuacja giełdowa jego banków.

Kubica wraca do F1. „Kelnerom z Sowy podziękujcie! Cisi bohaterowie powrotu Kubicy" – przypomniał Michał Majewski. Kelnerom i Orlenowi dziękujemy! ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

Nagroda im. Przemysława Gintrowskiego:

Laureata poznamy już 10 grudnia

Po burzliwych obradach spośród 28 kandydatów Kapituła Nagrody im. Przemysława Gintrowskiego wybrała piątkę finalistów trzeciej edycji nagrody. Wybrane grono tworzą: projektantka mody Barbara Hoff, rysownik, animator i reżyser Tomasz Bagiński, muzyk rockowy, kompozytor, basista i autor tekstów Lech Janerka, twórca muzyki filmowej Michał Lorenc oraz aktor Franciszek Pieczka. Laureata poznamy 10 grudnia w Teatrze Polskim w Warszawie, podczas koncertu z piosenkami Przemysława Gintrowskiego.

Kapituła nagrody honoruje „artystów, którzy nie pozwalają w sobie stłumić wolności do samostanowienia i wyrażania siebie". Laureatami pierwszej edycji w 2016 r. byli: poeta Jan Polkowski, piosenkarka Antonina Krzysztoń oraz aktorka Stanisława Celińska. Również aktorka, Ewa Błaszczyk, zdobyła statuetkę rok później. ©℗

FOT. FOT. BARTEK MOLGA

REKLAMA

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

29.11 – 2.12.2018 R. GODZ. 10:00-18:00

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM ARKADY KUBICKIEGO

TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

www.historiaikultura.pl

STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI 1918·2018

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

WSTĘP WOLNY

121 STOISK

PONAD 200 WYDAWNICTW

WYDARZENIA

- Ponad 200 spotkań
- Debaty
- Konferencje
- Pokazy filmowe
- Koncerty
- Warsztaty edukacyjne dla dzieci
- Spotkania z autorami
- Spacery historyczne

Szczegółowe informacje o imprezach towarzyszących na stronie www.historiaikultura.pl

Organizatorzy:

Patroni honorowi:

Partnerzy:

Patroni medialni:

eprasa.pl 9161cd63de

MACRON
IGRA Z OGNIEM

Dwie osoby zginęły, a ponad pół tysiąca zostało rannych w ogólnokrajowych protestach we Francji. W ramach protestu „żółtych kamizelek" demonstranci manifestują sprzeciw wobec rosnących cen paliw. Drożeją one m.in. dlatego, że rząd prezydenta Emmanuela Marcona podniósł podatki o 7,6 eurocenta za litr diesla i 3,9 eurocenta za benzynę. Od stycznia planowane są zaś kolejne podwyżki: o 6,5 centa na diesla i 2,9 centa na benzynę. Władze w Paryżu krytykują protestujących i przekonują, że służby bezpieczeństwa muszą interweniować, bo manifestanci stali się agresywni i radykalni. Protesty popiera jednak zdecydowana większość Francuzów, tymczasem popularność prezydenta Macrona spadła do zaledwie 25 proc. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. FRED TANNEAU/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9161cd63de

Jak smakuje Polska

Miody, konfitury, sery kozie, owcze i pleśniowe, twarogi z żurawiną lub bakaliami, maliny w syropie oraz świeże mięsa i wędliny – dostawców i producentów tych wszystkich produktów można łatwo wyszukać dzięki stronie i aplikacji Polska Smakuje

FOT. ADOBE STOCK

Jednym z zadań Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa jest budowanie rozpoznawalności marki polskiej żywności. Marka „Polska smakuje" jest gwarantem smaku i synonimem produktów spożywczych najwyższej jakości. „Polska smakuje" stanowi odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie społeczeństwa na żywność wytwarzaną w zgodzie ze środowiskiem naturalnym, w oparciu o tradycyjne technologie i sposoby produkcji. Działania promocyjne KOWR opierają się na promowaniu produktów rolnych i żywnościowych, metod ich produkcji oraz systemów jakości, a także lokowaniu kontekstowym wybranych produktów rolnych i spożywczych w wydarzeniach organizowanych przez KOWR lub inne podmioty. Pod hasłem „Polska smakuje" realizowana jest długofalowa kampania o szerokim zasięgu, której celem jest zachęcanie konsumentów do kupowania polskiej żywności.

Jej główną osią są strona internetowa i aplikacja Polska Smakuje, które zapewniają dostęp do informacji o wysokiej jakości produktach spożywczych, z pasją i ogromnym zaangażowaniem wytwarzanych przez regionalnych polskich wytwórców. W bazie można znaleźć listę producentów i produktów, w tym certyfikowanych, które są poddawane kontroli i muszą spełniać rygorystyczne standardy produkcji. Dzięki stronie i aplikacji Polska Smakuje konsumenci mogą czerpać wiedzę na temat punktów i miejsc, w których można kupić produkty wytwarzane w ramach systemów jakości, regionalne i tradycyjne, a także te sprzedawane bezpośrednio przez rolnika. Na stronie polskasmakuje.pl jest już ponad 3500 produktów opublikowanych przez blisko 400 wystawców.

KOWR zachęca także regionalnych producentów do udziału w systemach jakości oraz dostarcza im wiedzy z zakresu marketingu i komunikacji podczas szkoleń, wykładów i paneli dyskusyjnych pod nazwą „Strefa Inspiracji". Uzupełnieniem wydarzeń organizowanych przez KOWR jest strona www.strefainspiracjikowr.pl, dedykowana rolnikom, producentom, eksporterom żywności i organizacjom branżowym, na której publikowane są artykuły o charakterze poradnikowym, zachęcające do realizacji ciekawych działań promocyjnych.

KOWR promuje również zasady prawidłowego odżywiania, w tym kształtowanie wśród dzieci i młodzieży właściwych nawyków żywieniowych, m.in. poprzez warsztaty edukacyjne dla dzieci „Lekcje zdrowia" czy warsztaty kulinarne dla młodzieży ze szkół ponadpodstawowych Wszystkie powyższe działania służą budowaniu patriotyzmu konsumenckiego poprzez podkreślanie polskiego pochodzenia produktów wyróżniających się wysoką jakością.

Jowita Pietrucha

KOWR

Polska smakuje

www.polskasmakuje.pl

eprasa.pl 9161cd63de

Polska smakuje

ZOBACZ, GDZIE **Polska smakuje**

Jak to działa

Aplikacja Polska Smakuje gromadzi w jednym miejscu wizytówki wytwórców regionalnych produktów spożywczych wysokiej jakości. Podróżując po Polsce, dzięki aplikacji Polska Smakuje jednym kliknięciem znajdziesz producentów lokalnej żywności.

Available on the App Store

Google play

www.polskasmakuje.pl

Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa

eprasa.pl 9161cd63de

LEPSZA WERSJA SIEBIE

Znana aktorka Grażyna Szapołowska w wywiadzie dla „Gali" opowiada o swoich doświadczeniach związanych z popularnością i rozpoznawalnością. Mówi, że fani różnie reagują na jej widok, większość reakcji jednak pozytywnie ją zaskakuje. – Ludzie różnie reagują na mój widok. Kilka razy mężczyźni mi się oświadczali, czasami ktoś całuje mnie w dłoń, obdarowuje miłym spojrzeniem, uśmiechem lub bukietem kwiatów – opowiada. Zdarzają się jednak także bardziej zaskakujące reakcje. – Pamiętam taksówkarza, który próbował mnie komplementować i powiedział, że jestem bardzo podobna do Grażyny Szapołowskiej. „To ja" – odparłam. Na co on: „Taaa, chciałaby pani" – relacjonuje gwiazda. To bardzo optymistyczne, że Szapołowska jednak wciąż przypomina Szapołowską! I w dzisiejszym show-biznesie wcale nie takie częste.

SAMOZATRUDNIENIE ALICJI

FOT. ŁUKASZ DJENAROWICZ/FORUM

Aktorka Alicja Bachleda-Curuś od lat czeka na propozycję, która otworzy przed nią drzwi do wielkiej hollywoodzkiej kariery. Na razie niewiele z tego czekania wynika, więc Alicja postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i poszukać szczęścia gdzie indziej. Teraz chce zająć się produkcją filmową! Alicja planuje nakręcić biograficzny film o hrabinie Marii Tarnowskiej. W film Alicja zamierza podobno zainwestować 800 tys. dol. z własnej kieszeni. Zarobić chce co najmniej trzy razy tyle. – W USA przemysł filmowy to jedna z najbardziej dochodowych gałęzi legalnego dochodu. Spokojnie może zarobić nawet 3 mln dol. Opłacało się pojeździć z Gortatem po imprezach polonijnych. Rodacy i Amerykanie chętnie obejrzą taki film, a podobno w Polsce też są na niego chętni – opowiada „Super Expressowi" osoba znająca kulisy sprawy. – Za samą główną rolę zyska od razu 300 tys. dol. – dodaje. Tak, bo Alicja nie wyklucza, że w swoim filmie sama zagra główną rolę. – Zajęłam się produkcją filmową – potwierdziła Bachleda-Curuś w rozmowie z dziennikarzami podczas 30. Polskiego Festiwalu Filmowego w Chicago. – Pracuję przy filmie o księżnej Tarnowskiej, wyjątkowej postaci, która przeżyła dwie wojny. Jeśli nie znajdę odpowiedniej osoby do tej roli, to osobiście ją zagram – dodała. No i proszę, nareszcie ktoś poznał się na jej talencie!

FOT. PAWEŁ GROMADA

REMONTOWE DRAMATY

Jessica Mercedes, blogerka modowa, jakiś czas temu kupiła sobie, za własne ciężko zarobione na blogu pieniądze, swoje pierwsze mieszkanie. Potem zaczęły się schody. Okazuje się, że Jessica od przeszło roku remontuje swój apartament i końca tego remontu wciąż nie widać. Na Instagramie żali się, jak bardzo zawiodła się na swojej ekipie remontowej. – Ja na zmianę płaczę, się śmieję, już nie mogę! Ten proces urządzania mieszkania to jest jakiś horror. Szkoda, że trafiłam na takich ludzi do współpracy. Górna łazienka niby zrobiona, a wszystko połamane, poniszczone, a ja w to tyle włożyłam – skarży się celebrytka. Pokazuje też zdjęcia niewykończonych wnętrz i wyszczerbionej wanny. „Oj tam, Pani Jessica nic nie zauważy, że się nam wszystko uszczerbiło. Zróbmy jej to byle jak, przecież jest na Islandii" – relacjonuje, narzekając na fuszerkę swoich pracowników. – To jest tak chamskie, bo ja wydałam oszczędności życia na to mieszkanie. Powiedzcie, co ja mam zrobić? – pyta załamana. Jak to co? To, co potrafi najlepiej! Nagrać jeszcze jedno wideo, żeby zarobić na następną ekipę.

SUKCES NA MIARĘ MOŻLIWOŚCI

Dominika Zasiewska znana jako „Wodzianka", czyli pani, która w skąpym stroju nosiła wodę w programie Kuby Wojewódzkiego, rozpaczliwie próbuje wrócić do show-biznesu. Uznała, że świetnym sposobem będzie opowieść o romansie ze znanym (głównie z fryzury) detektywem Krzysztofem Rutkowskim. Rutkowski jest w trakcie planowania ślubu ze swoją narzeczoną i matką swojego dziecka Mają Pilch. Rewelacje „Wodzianki" nie są więc mu specjalnie na rękę. Wypiera się romansu z „Wodzianką". – To bzdura. Nie mam romansu, a przygotowania do ślubu trwają zgodnie z wcześniej ustalonym planem – powiedział jednej z kolorowych gazet. „Wodziankę" te słowa bardzo rozsierdziły. Teraz siedzi i zamieszcza na Instagramie swoje zdjęcia z detektywem, żeby pokazać wszystkim, że romans naprawdę był! Nie może przecież dopuścić do sytuacji, w której świat nie dowie się o jej sukcesach! ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jaki przypał. Dowiedzieliśmy się z internetów, iż miniony piątek to był tzw. Black Friday, a iż jesteśmy politologlotami, to wiemy, iż oznacza to Czarny Piątek. Z uznaniem przyjęliśmy też, iż te obchody Black Friday będą się odbywały w galeriach handlowych. Nareszcie wychodzimy spotkać się z mentalnym podkarpaciem w jego mateczniku – pomyśleliśmy.

Wyposażyliśmy się więc w transparenty z napisami informującymi, iż niezależnie od płci biologicznej także czujemy się waginoosobami, zabraliśmy czarne parasole i z okrzykiem: „P$%%%ę, nie rodzę!!!!jeden" ruszyliśmy do centrum handlowego.

Na miejscu okazało się, iż trafiliśmy na spęd ludzi, którzy chcieli kupić taniej lodówkę, dostać drugą parę dżinsów gratis albo wydać 500 plus na alkohol w promocyjnych cenach. Oczywiście w tym całym konsumpcyjnym zamieszaniu nikt nie zwrócił na nas uwagi, ale przynajmniej dostaliśmy dwie kawy w cenie czterech, więc w sumie jest jakiś tam profit, nie?

Zmieszanymi uczuciami przyjęliśmy informację, iż Richie Petru założył nową partię i nazwał ją „Teraz!". Of kors, jesteśmy jak najbardziej zadowoleni z obecności Richiego w życiu publicznym i fajnie, iż mimo wszystko jeszcze mu się chce. Z drugiej strony nie wiemy, czy nazwa „Teraz!" to jest akurat dobra propozycja dla osób młodych, iż może rodzić różne negatywne skojarzenia.

Nam słowo „Teraz!" przypomina wszystkie traumy z dzieciństwa w małym ośrodku, kiedy to osoby płodzące w ramach patriarchalnego katoucisku młodych osób nakazywały wyrzucić śmieci, pozmywać, poodkurzać czy posprzątać. Nasza reakcja zazwyczaj brzmiała: zaraz albo za pięć minut, ewentualnie: nooo..., na co osoby płodzące wykrzykiwały „Teraz!", co oznaczało, iż lepiej iść albo przepadnie kieszonkowe.

Dlatego nieco się dziwimy, iż Richie bazuje na takich smutnych dla znacznej części swojego elektoratu skojarzeniach. Ewentualnie może liczy na mobilizację, ale w sumie to on kieszonkowego nie daje, a nawet prosi, żeby jemu coś rzucić na partię. Sami już nie wiemy, o co temu Richiemu chodzi, serio :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
W PREZENCIE
KSIĄŻKI PRZEMYSŁAWA SŁOWIŃSKIEGO:
„KOBIETY DESPOTÓW" ORAZ
„KOBIETY WYWIADU" + E-WYDANIE

Cena: 142 zł
Oszczędność: 213 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9161cd63de

dwaj panowie g

Punkt przełomowy". Albo „punkt zwrotny". Nie, nie cytujemy Tefałenu, tylko polityków ze szczytów Zjednoczonej Prawicy. Wszystko w kontekście afery KNF. Nastroje są minorowe, bo – jak zauważył jeden z nich – „zaczęliśmy dobrze, od działania w stylu reakcji Tuska na aferę hazardową. Ale dlaczego potem przeszliśmy do działania w stylu reakcji Tuska na aferę taśmową?".

Usłyszeliśmy też inne ciekawe określenie afery KNF. Ładne, więc powtarzamy. „Przyszedł gangster do idioty". Oczywiście wszelkie podobieństwo prawdziwych nazwisk i osób do używanych przez nas określeń jest całkowicie przypadkowe.

Tymczasem w sprawie KNF ciekawe sprawy opowiadają nasze tajne wiewiórki. Wskazują na nieprzypadkowe próby przekierowania afery na Krwawego Mariusza Kamińskiego. Tak się bowiem składa, że dzięki przejęciu przez PiS władzy w sejmiku dolnośląskim działania mające na celu prześwietlanie interesów lokalnych nababów mają mocno przyspieszyć. Ech, Dolny Śląsk. Ciekawe miejsce. Leszek Czarnecki, Grzegorz Schetyna… Takie nasze New Jersey.

Nie milkną echa bohaterskiego występu szefa NBP w TVP Adama Glapy-Glapińskiego. W owym wywiadzie Glapa wychwalał Marka Chrzanowskiego, byłego już szefa KNF, pod niebiosa, czym doprowadził do szału całą Nowogrodzką i resztę koalicji. Niestety, mamy złe wiadomości. Glapa jest bardziej winien, niż się wydaje.

A było tak: owego dnia u Ziemca jako gość miał wystąpić zupełnie inny pisowiec, całkiem zresztą ważny. W jego miejsce wkręcił się jednak Glapa, który w dodatku przyjechał do studia z listą własnych pytań, które chciał usłyszeć. To tylko rozsierdziło Ziemca, który oczywiście poleciał tekstem własnym. W ten sposób Glapa musiał nagle na żywo odpowiadać na pytania, których się nie spodziewał i na które odpowiadać nie chciał. I odpowiedział, jak umiał. W imieniu sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej składamy mu więc serdeczne podziękowania oraz życzenia zdrowia, szczęścia i pomyślności.

Albo, chłopie, zmieniasz zdanie, albo mamy na ciebie w szufladzie takie haki, że wylądujesz w więzieniu

Dla niektórych szok, a przecież informowaliśmy. W rubryce sprzed dwóch tygodni było napisane jak byk: „Górny Śląsk? Tu niespodzianka. Czerwoni bracia w koalicję nie wejdą, ale większość i tak będzie. Dlatego że nie brak na Śląsku ludzi rozsądnych i praktycznych". Niestety, politycy PeŁo i KaŁo nie czytają, widać, naszej rubryki, więc zdziwili się bardzo, kiedy ich radny Kałuża Wojciech wszedł w koalicję z PiS, dając kaczystom władzę w śląskim sejmiku.

Ujawniamy. Scenariusz śląski miał być zrealizowany także w sejmiku mazowieckim. Tutaj również znaleziono człowieka rozsądnego, praktycznego i gotowego na koalicję z PiS. W dodatku był to człowiek z Peezelu.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Człowiek ów wycofał się niespełna godzinę przed głosowaniem, szlochając, że całą noc atakowali go zieloni bracia i że on już nie może, bo mafia zniszczy jego, jego rodzinę i wszystko, co tylko jego jest. Podczas pierwszego posiedzenia sejmiku struzikowcy pilnowali go mocno. Nawet do toalety musiał chodzić w dwuosobowej obstawie.

Złe języki rozpowiadają, że groźba struzikowców była jasna – albo, chłopie, zmieniasz zdanie, albo mamy na ciebie w szufladzie takie haki, że wylądujesz w więzieniu. Jeśli to prawda, to chyba jednak dobra zmiana powinna być zadowolona, że manewr śląski nie powiódł się na Mazowszu. Zastanawiamy się tylko przy okazji, czy CBA zamiast mieszkania Chrzanowskiego nie powinno przeszukiwać szuflad Struzika.

Wyjaśniamy znaczenie trudnych terminów. Dzisiaj „korupcja polityczna". Kiedy PiS wchodzi w koalicję z jakimś ugrupowaniem albo nawet pojedynczym radnym, jest to korupcja polityczna. Kiedy KO wchodzi w koalicję z jakimś ugrupowaniem albo nawet z pojedynczymi radnymi, jest to triumf demokracji. Zrozumiano?

Istnieje oczywiście jeszcze drugie znaczenie terminu „korupcja polityczna". Oznacza rządy partii, która wygrała wybory. Na przykład: „Platforma Obywatelska rządziła w Polsce od 2007 do 2015 r., wygrywając wybory, czyli poprzez korupcję polityczną". Zrozumiano?

Przy okazji: przedstawiamy najsmutniejszego człowieka na świecie. Nazywa się Marek Balt. Kiedy wydawało się, że z PiS koalicję utworzą na Śląsku czerwoni bracia z SLD, Balt był przyszłym marszałkiem. Niestety, zły Włodek Czarzasty powiedział „nie". Wtedy Balt został przyszłym wicemarszałkiem w koalicji PO-PSL-SLD, która miała rządzić Śląskiem. Jednak nie będzie. Dzisiaj Balt jest już tylko Baltem. Sic transit gloria Baltae.

eprasa.pl 9161cd63de

Przedstawiamy też największego ryzykanta na świecie. To Władek Kosiniak-Kamysz, prezes Peezelu. Podobno odrzucił wszelkie oferty koalicji sejmikowych z PiS, gdyż obiecano mu już coś więcej niż tekę premiera w przyszłym rządzie KO-Peezel. A mianowicie to, że gdyby Tuskowi się nie chciało, a podobno się nie chce, to Kosiniak miałby być kandydatem wszechopozycji na prezydenta w roku 2020.

Aby pomóc postronnym pojąć wagę wydarzeń ze Śląska, Dolnego Śląska, Łódzkiego, a wcześniej Świętokrzyskiego, podajemy garść przypadkowych nazw. Stadion Śląski, Filharmonia Łódzka, Teatr Żeromskiego, Narodowe Forum Muzyki. A wymieniliśmy zaledwie niewielki odsetek instytucji, które od lat były ciepłą przechowalnią dla ludzi PeŁo, Peezelu i czerwonych braci. Po prostu koniec świata, pani Popiołkowa!

No i się stało: Rysiek ma nową partię. Założył ją ze swoją starą partią, Joanną Schmidt oraz drugą Joanną, CośTamCośTam-Wielgus. Partia nazywa się Teraz! Sądząc po zakrętach kariery Ryśka, powinna raczej nosić nazwę Kiedyś!

Nazwę Teraz! koniecznie trzeba pisać z wykrzyknikiem, tak to sobie sprytnie wymyślił Rysiek. Tak jak kiedyś Nowoczesną z kropką na początku. Miłość Ryśka do znaków interpunkcyjnych jest podejrzana. Jak wszystko, jeśli chodzi o Ryśka.

W zakresie użycia wykrzyknika piszący ma dużą swobodę. Jednak należy przestrzec przed nadużywaniem tego znaku interpunkcyjnego" – informuje Słownik Języka Polskiego. „Zbyt duża liczba wykrzykników w tekście oznacza zwykle nadmierną egzaltację i – z punktu widzenia większości użytkowników języka – jest rażąca". Tak, wiemy, Rysiek użył tylko jednego wykrzyknika. Tak, w jego przypadku już ta liczba jest rażąca.

Do zimowych igrzysk olimpijskich zostało jeszcze trochę czasu, a w MSZ rozpoczęła się już konkurencja w zjazdach

Najważniejszy dzień w życiu partii Teraz! nadejdzie 9 grudnia. Wtedy odbędzie się kongres założycielski. Dobry i złośliwy moment, bo 8 grudnia Nowoczesne Kropki też będą obradować – nad tym, jak nie dać się pożreć Platformie. Terazińcy (terazjanie?) wynajęli na swoją imprezę fabrykę wódek Koneser na Pradze. „Dlaczego nie Torwar?" – zapytaliśmy. „Boże, wszystko, tylko nie Torwar!" – odpowiedzieli terazjanie. Z ostatniej chwili – podobno halę trzeba wymienić na większą, bo tylu się zgłosiło chętnych. Ludzka naiwność nie zna granic.

Grudzień będzie też ważnym czasem w życiu kukistów. Naczelny kukista Paweł Kukiz knuje bowiem i knuje, w celu poszerzenia bazy swego ugrupowania, wychodząc z założenia, że każdy powinien mieć własną koalicję albo przynajmniej porozumienie programowe. Efekty poznamy po 10 grudnia.

Dział „Muzyka i kultura". Pawłowi Kukizowi niestety musimy wytknąć błąd. Ciesząc się, że nagrał z grupą Perverados nową płytę, zauważamy, że tytuł albumu i singla „Zielona wyspa" jest już nieaktualny. Powinno być „Brunatna wyspa".

Dział „Prawo i gospodarka". Wiecie, co to jest „niekonwencjonalny sposób prowadzenia działalności gospodarczej"? My już wiemy. Otóż panowie oficerowie z Wojskowego Instytutu Techniki Uzbrojenia, których przymknęło CBA za przytulenie na lewo 13 baniek, złożyli zażalenie na areszt do Sądu Najwyższego. I sąd im to klepnął w osobie niejakiego sędziego Tomczyka. W argumentacji na rzecz uchyłu aresztu znalazło się właśnie powyższe stwierdzenie. W tej sytuacji proponujemy uznać, że porywanie samolotów stanowi niekonwencjonalną formę prowadzenia działalności turystycznej.

Dział „Sport i rekreacja". Przeskakując z polityki lokalnej do międzynarodowej. Do zimowych igrzysk olimpijskich zostało jeszcze trochę czasu, a w MSZ rozpoczęła się już konkurencja w zjazdach. Sejm przyjął bowiem ustawę o zwolnieniu z dyplomacji wszystkich funkcjonariuszy i donosicieli komunistycznej bezpieki. Oznacza to zjazd z placówek wielu zasłużonych działaczy. Jednak w odróżnieniu od narciarstwa alpejskiego w tej konkurencji walka trwa o to, kto będzie zjeżdżał najdłużej. ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

Krucjata Giertycha

eprasa.pl 9161cd63de

Roman Giertych w wielu sprawach reprezentował byłego premiera Donalda Tuska FOT. MACIERZYŃSKI/REPORTER

Wojciech Wybranowski

Choć mija już 11 lat od jego politycznego upadku, Roman Giertych nie znika z mediów. Teraz jako prawnik ludzi poprzedniej władzy prowadzi własną krucjatę przeciw politykom PiS

Nazwisko Romana Giertycha pojawia się w polityczno-medialnych układankach w kontekście największej partii opozycyjnej – ostatnio według WP.pl miałby mieć szansę na tekę ministra sprawiedliwości w przyszłym rządzie. To jego niewątpliwy sukces, bo przez ostatnie kilka lat zabiegał, niekiedy nawet ocierając się o śmieszność, o wymazanie swojej politycznej przeszłości. Stając się czołowym – przynajmniej medialnie – fighterem opozycji, ma teraz swoje pięć minut. I choć w sprawach, w których uczestniczy, nader często jest wiele hałasu o nic, słowo „medialny" jest w tym przypadku nie bez znaczenia.

– Roman to homo politicus. Jego dziadek był politykiem, jego ojciec był politykiem, on sam był człowiekiem z wielkimi ambicjami politycznymi i został z tej polityki przez Kaczyńskiego wypchnięty. Ma wielkie doświadczenie w poruszaniu się w świecie mediów – mówi nam były polityk Ligi Polskich Rodzin, w przeszłości bliski współpracownik Giertycha.

Z WIELKIEJ CHMURY?

W połowie listopada „Gazeta Wyborcza" zapowiedziała sensacyjny materiał, który miał wstrząsnąć opinią publiczną i rządem PiS. Afera w Komisji Nadzoru Finansowego i domniemane żądanie – przez byłego już prezesa KNF Marka Chrzanowskiego – 40 mln łapówki od Leszka Czarneckiego, właściciela znajdującego się w trudnej sytuacji Getin Noble Banku i Idea Banku. Pokrzywdzonym ma być sam Czarnecki, którego reprezentuje Roman Giertych, były lider LPR. Propozycja korupcyjna nie nagrała się na dyktafon, bo – jak twierdził Czarnecki – procent wynagrodzenia dla poleconego mu prawnika miał zostać zapisany na kartce.

Zaczął się medialny show, a opozycja grzmiała już o „drugiej aferze Rywina".

Mijały godziny i zaczynały pojawiać się wątpliwości. Dlaczego? Ponieważ „taśma Czarneckiego" przeleżała osiem miesięcy na półce i została upubliczniona tydzień po tym, jak „Dziennik Gazeta Prawna" ujawnił, że za chwilę przedstawiony zostanie raport KNF krytyczny wobec instytucji finansowych Czarneckiego. Wreszcie RMF przytoczyło wypowiedź Romana Giertycha, który przyznał, że dowodu – słynnej kartki – „obecnie nie ma". Mecenas proponował za to, że jego klienta można przebadać wariografem. Tyle że w polskich sądach to żaden dowód.

Nie ulega wątpliwości, że afera jest – zachowanie prezesa KNF było niedopuszczalne. I stracił za to stanowisko. Wiele wskazuje jednak na to, że w tej sprawie z wielkiej chmury dotąd spadł mały deszcz.

„Myślałem, że Giertych i Czarnecki lepiej to zaplanowali i że ta historia nie skończy się dość głodnym kawałkiem, że Chrzanowski napisał marny doktorat na SGH, a jego żona znalazła robotę u Glapy [Adam Glapiński, prezes NBP – przyp. red.]. Ale cóż. Pan Roman lubi podspinować ponad miarę" – komentował to na Twitterze Michał Majewski, były dziennikarz śledczy.

Medialnie cała sprawa staje się jednak dla opozycji i bliskich jej mediów doskonałym instrumentem politycznej walki z rządem PiS. To powtórka z tego, co – również z udziałem Giertycha – działo się kilka miesięcy wcześniej. W marcu poseł Stanisław Gawłowski (PO), oskarżany przez prokuraturę m.in. o korupcję i reprezentowany przez Romana Giertycha, powiedział, że kilka lat temu rzekomi emisariusze Kornela Morawieckiego mieli wyłudzić od ks. Tomasza Jegierskiego, prezesa Fundacji „SOS dla Życia", 96 tys. zł na rzecz kierowanej przez Morawieckiego Solidarności Walczącej. Datek miał być warunkiem wsparcia akcji Jegierskiego przez kierowany wówczas przez Mateusza Morawieckiego Wielkopolski Bank Kredytowy. – Opowiadał rzeczy absolutnie nieprawdziwe, nigdy nie dawał mi żadnych pieniędzy, za to próbował

eprasa.pl 9161cd63de

mnie szantażować, o czym zawiadomiłem prokuraturę – mówił „Do Rzeczy" Kornel Morawiecki.

Sprawa wywołała medialną burzę. „PO odpaliła w Sejmie aferalną bombę, która może pogrążyć Morawieckich" – grzmiał portal naTemat.pl. Opozycja mówiła o korupcji i żąda wyjaśnień, a także dymisji szefa rządu. A właśnie w tym czasie Sejm miał akurat wyrazić zgodę na zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie Gawłowskiego. Po jego wystąpieniu termin głosowania w tej sprawie przesunięto o kilka tygodni.

Ksiądz Tomasz Jegierski do Sejmu przyszedł z Romanem Giertychem. Wraz z byłym ministrem sprawiedliwości Borysem Budką zorganizowali konferencję prasową. Pokazali dziennikarzom dowód na rzekome wymuszenie „łapówki". Była nim kartka papieru z pieczęcią Solidarności Walczącej, na której jest mowa o pokwitowaniu odbioru 96 tys. zł. Nie było na niej daty, a podpis Morawieckiego widniał nie pod treścią, ale w prawym dolnym rogu kartki. „Dowód" w sprawie budził zastrzeżenia nawet bliskich opozycji mediów. „Dziwne pokwitowanie" – pisała gazeta.pl.

Wątpliwości wzbudziła także wiarygodność ks. Jegierskiego. Już po wybuchu całej sprawy na Twitterze utrzymywał, że ludzie Morawieckiego chcieli go… zamordować dronem. Kilka miesięcy później, również na Twitterze, ks. Jegierski oskarżał Morawieckiego o spiskowanie z Żydami. We wrześniu portal Niezależna napisał, że ks. Jegierski został suspendowany przez swoich kanadyjskich przełożonych.

Te informacje jednak w lewicowo-liberalnych mediach nie znalazły już tyle miejsca, ile poświęcono konferencji i oskarżeniom o rzekomą korupcję Morawieckich. Dziś politycy Platformy pytani o sprawę ks. Jegierskiego mówią nieoficjalnie, że nie chcą już do niej wracać.

MECENAS NA WOJNIE

Czy Giertych w przyszłości może zostać ministrem w rządzie dzisiejszej opozycji? W 2015 r. startował jako kandydat niezależny, przy cichym poparciu części polityków PO, do Senatu. Sukcesu nie odniósł. A gdy od polityków PO w nieoficjalnych rozmowach słyszymy, że choć Giertych zyskał umiarkowane zaufanie Donalda Tuska i trwa „medialne oswajanie" z nim elektoratu, to jednak ministerialna nominacja jest mało prawdopodobna.

Bez wątpienia jednak to właśnie Giertych stał się dziś jednym z najbardziej medialnie aktywnych frontmanów opozycji. Został m.in. pełnomocnikiem prawnym Donalda Tuska w sprawie Amber Gold. Po przesłuchaniu Tuska przez komisję śledczą badającą tę aferę Giertych komentował na Twitterze: „Rozjeżdża komisję. Aż mi żal Wassermann". Jest też pełnomocnikiem Donalda Tuska w śledztwie w sprawie współpracy polskich służb z rosyjskim FSB.

Występował również jako pełnomocnik Donalda Tuska przeciw Marii Szonert-Biniendzie, konsul honorowej Rzeczypospolitej Polskiej w Akron w USA, po tym, jak na jej profilu facebookowym pojawiła się przeróbka zdjęcia Donalda Tuska w mundurze SS. Giertych zapowiedział złożenie zawiadomienia do prokuratury, rozkręcił burzę w mediach tradycyjnych i społecznościowych. Nawoływał internautów: „Bez wątpienia złożenie tego zawiadomienia przez inne osoby mogłoby skłonić prokuraturę do ścigania popełnionego przestępstwa z urzędu, gdyż wielość osób składających zawiadomienie uprawdopodobniałaby istnienie interesu społecznego". Był skuteczny. Binienda, która mało przekonywająco tłumaczyła się, że włamano się na jej konto facebookowe, została zawieszona w obowiązkach.

Giertych ostro atakował też Patryka Jakiego, kiedy ten ubiegał się o fotel prezydenta Warszawy. Poszło o mema, którego współpracownik Jakiego po meczu Niemcy–Meksyk (przegranym przez naszych zachodnich sąsiadów) zamieścił współpracownik Patryka Jakiego. Była to przeróbka zdjęcia z pogrzebu Sebastiana Karpiniuka, a pod fotografią zapłakanych Donalda Tuska i Grzegorza Schetyny autor umieścił podpis: „Nasi przegrali z Meksykiem".

Jaki błyskawicznie przeprosił za współpracownika i zadeklarował, że przekaże dzieciom z Koszalina (skąd pochodził Karpiniuk) sprzęt sportowy. A Roman Giertych poinformował na Twitterze: „Pan Przewodniczący Donald Tusk kieruje do sądu wniosek (na chwilę obecną w trybie ugodowym) przeciwko Patrykowi Jakiemu o zapłatę 30 tys. zł na WOŚP za naruszenie swoich dóbr oso-

eprasa.pl 9161cd63de

bistych w związku z publikacją skandalicznej przeróbki zdjęcia PDT z pogrzebu śp. S. Karpiniuka". – Nie dostałem żadnego pisma w tej sprawie od pana Giertycha. Być może się wycofał z zapowiedzi – słyszymy od wiceministra Jakiego.

Po tym, jak „Gazeta Wyborcza" i Radio Zet opublikowały dokument, z którego wynikało, że w 2015 r. sztab wyborczy Andrzeja Dudy podpisał umowę ze spółką, która zdaniem dziennikarzy zajmowała się m.in. tworzeniem fałszywych kont w Internecie, Giertych wzywał Państwową Komisję Wyborczą, by ponownie przeanalizowała sprawozdanie finansowe z kampanii Dudy. Sprawa skończyła się wyłącznie medialnym rozgłosem Giertycha. Po tym, jak prezydenci Polski i USA podpisali umowę o zwiększeniu współpracy w zakresie bezpieczeństwa, obronności oraz energetyki, a media obiegło zdjęcie z siedzącym Trumpem i stojącym Dudą, mecenas wysłał do prezydenta list, który wyciekł także do mediów. Kpił w nim z Andrzeja Dudy, wzywając go do dymisji.

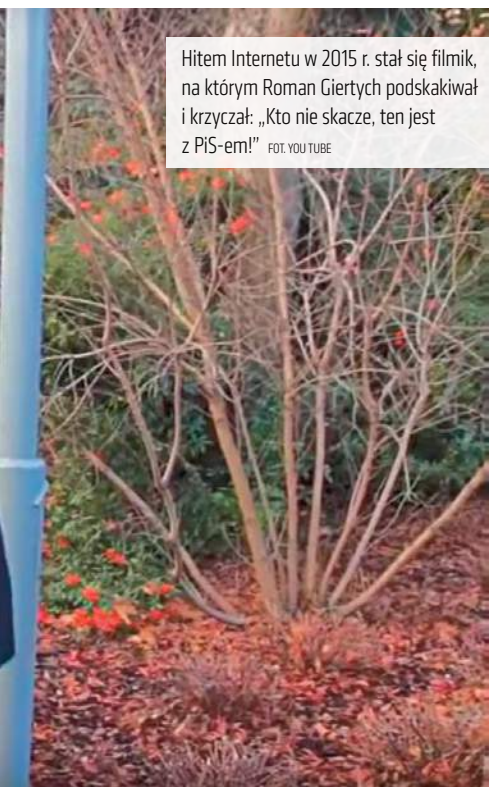

Hitem Internetu w 2015 r. stał się filmik, na którym Roman Giertych podskakiwał i krzyczał: „Kto nie skacze, ten jest z PiS-em!" FOT. YOU TUBE

Głównym celem medialnych ataków Giertycha stał się jednak Jarosław Kaczyński, którego – co jest tajemnicą poliszynela – mecenas uważa za głównego sprawcę zwichnięcia jego politycznej kariery. – Kaczyński to największy szkodnik ostatnich 27 lat – mówił Giertych w wywiadzie dla „DGP". Deklarował, że w przyszłości chciałby być szefem komisji śledczej do spraw funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości w latach 2015–2019, rozliczającej rządy PiS.

Kilka lat wcześniej mecenas zarzucił Kaczyńskiemu, że w czasie, gdy szef PiS stał na czele rządu, szukał haków na polityków LPR i Samoobrony. Kaczyński nazwał go kłamcą. Obaj panowie pozwali się nawzajem, ale ostatecznie oba postępowania zostały przez sąd umorzone.

SHOW MUST GO ON

Giertych reprezentował też m.in. Sławomira Nowaka, byłego ministra budownictwa w rządzie Donalda Tuska, w sprawie przeciw tygodnikowi „Wprost". Chodziło o artykuł „Nowak – złote dziecko Tuska" opisujący panujące w ministerstwie układy, słabość Nowaka do wartych fortunę zegarków oraz związki polityka z właścicielami spółki Cam Media, realizującej rządowe zlecenia reklamowe. W pierwszej instancji sąd oddalił powództwo w całości, ale Giertych złożył apelację.

„Sąd Apelacyjny w Warszawie uchylił wyrok niekorzystny dla Sławomira Nowaka w jego sprawie przeciwko »Wprost« dotyczącej artykułu, który doprowadził do dymisji" – pochwalił się wówczas Giertych na Twitterze. Tyle że nieco przesadził. W rzeczywistości sąd utrzymał w mocy decyzję oddalającą powództwo, a do ponownego rozpoznania przekazał wyłącznie sprawę dotyczącą żądania przeprosin za negatywne komentarze internautów, które pojawiły się pod tekstem. W maju tego roku sąd ponownie oddalił pozew. Kolejna apelacja przygotowana przez Giertycha, jak poinformowali nas prawnicy „Wprost", na razie nie została przez sąd rozpoznana.

– Giertych ma sporą umiejętność zręcznego podkręcania spraw, w które się angażuje, także politycznych, w sposób budzący zainteresowanie mediów. Wszystko to jest bardzo zręczną autopromocją, tyle że nie zawsze odpowiada to stanowi faktycznemu – uważa Michał Majewski, były dziennikarz śledczy.

W kwietniu tego roku były lider LPR ogłosił w mediach społecznościowych, że wygrał proces z tygodnikiem „Wprost" za artykuł o Michale Tusku. Sugestia była wyraźna – że chodzi o tekst opublikowany przez Michała Majewskiego i Sylwestra Latkowskiego, w którym dziennikarze ujawnili, iż młody Tusk, pracując dla Portu Lotniczego w Gdańsku, jednocześnie współpracował także z OLT Express powiązanym z Amber Gold. – Wygrał proces o jakąś notkę na portalu internetowym, z którą nie mieliśmy nic wspólnego, a która powstała w wyniku zacytowania w serwisie innej gazety. A nie za nasze duże, własne materiały o Tusku juniorze. Myślę, że mec. Giertych zdawał sobie sprawę, że po tylu latach, jakie upłynęły od publikacji, ludzie nie pamiętają, o co tak naprawdę chodziło, i będą przedstawiać go jako wygranego – komentuje Majewski.

W grudniu ubiegłego roku doszło do ostrej słownej przepychanki między Romanem Giertychem a Cezarym Gmyzem, korespondentem TVP w Niemczech. Zaczęło się od tego, że TVP miała, jak twierdzi Giertych, odmówić reklamy jego książki „Kroniki dobrej zmiany", w której prezes TVP Jacek Kurski został nazwany kłamcą. W trakcie ostrej dyskusji na Twitterze Gmyz zacytował hasło, jakie wznosili przeciwnicy Giertycha w czasie, gdy ten pełnił funkcję ministra edukacji narodowej w koalicyjnym rządzie PiS: „Giertych do wora, wór do jeziora". Znany mecenas zareagował groźbą powiadomienia niemieckich organów ścigania, bo uznał, że dziennikarz w ten sposób wezwał do zamordowania go.

Sprawę natychmiast podchwyciła część mediów tradycyjnie ostro krytykujących TVP jako telewizję bliską rządowi PiS. W marcu tego roku Giertych ogłosił, że sprawa przeciw Gmyzowi jest w toku: „[...] Właśnie niemieckie organy ścigania poinformowały mnie, że rozpoczynają sprawę nawoływania przez niego »Giertych do wora, wór do jeziora«" – napisał na Twitterze.

– Do tej pory nie otrzymałem żadnego wezwania na przesłuchanie, a prokuratura w Niemczech zazwyczaj w ciągu trzech miesięcy reaguje na takie zawiadomienie. W mojej ocenie niemieccy śledczy uznali, że nie ma powodów do wykonywania czynności. A może po prostu donos nie został wysłany? – zastanawia się Gmyz w rozmowie z „Do Rzeczy".

Niecały miesiąc temu na celowniku Giertycha znalazł się historyk i dyrektor Wojskowego Biura Historycznego

eprasa.pl 9161cd63de

dr hab. Sławomir Cenckiewicz. Opublikował on na łamach „Do Rzeczy" artykuł, w którym napisał, że w znajdującej się w archiwach IPN kartotece SB dotyczącej Leszka Żukowskiego ps. Antek ten prezes Światowego Związku Armii Krajowej jest określony jako „były tajny współpracownik".

Roman Giertych niemal błyskawicznie w imieniu Żukowskiego miał złożyć pozew przeciw Cenckiewiczowi i zadbał o medialne nagłośnienie swojej akcji. Zawtórowały mu trolle internetowe ostro atakujące historyka.

– Pozwu nie dostałem, bo mec. Giertych wysłał go najpewniej pod zły adres, udając, że nie wie, że na co dzień od kilku lat przebywam w Warszawie – mówi nam Cenckiewicz. I dodaje, że w jego ocenie Giertych to „pełnokrwisty przeciwnik, o czym świadczą jego absurdalne i obraźliwe wobec mnie wpisy na TT i FB o rzekomym »szkalowaniu« żołnierzy AK i osobiście Żukowskiego, z którym na dodatek miała na tej samej barykadzie powstańczej walczyć ciotka Giertycha".

– To wszystko każe mi spojrzeć na niego przez pryzmat hucpy medialnej, funu i lansu, a także widocznej obsesji na punkcie dobrej zmiany, więc bardziej z przymrużeniem oka. Jest to tym bardziej smutne, że niezwykle wręcz cenię dziadka mecenasa – Jędrzeja Giertycha, który w swoich pracach historycznych zainspirował mnie przed laty do wielu poszukiwań i przewartościowań historycznych – komentuje Sławomir Cenckiewicz. – No, ale czytałem kiedyś w „Wyborczej", jak to Roman odcinał się od swojego dziadka, co też wiele mówi o tym przedziwnym człowieku.

WYMAZAĆ PRZESZŁOŚĆ

Polityczna przeszłość może być dzisiaj największą przeszkodą na drodze do ewentualnej kariery Giertycha w państwie, w którym władzę ewentualnie przejęłaby dzisiejsza opozycja. Gdy jako lider Ligi Polskich Rodzin w 2006 r. wchodził do rządu Jarosława Kaczyńskiego, był ostro atakowany przez środowiska bliskie obecnej Platformie.

– W rządzie są goście od swastyk! Jeden wicepremier daje w papę dziennikarzom, drugi będzie lał pałami gejów! – grzmiał wówczas Donald Tusk. Przeciwko kierowaniu przez Giertycha resortem edukacji narodowej protestowały środowiska lewicowe i liberalne, a ich protesty były mocno medialnie wspierane przez „Gazetę Wyborczą". To redaktorzy tej gazety wymyślili wówczas plebiscyt na największe kuriozum edukacyjne, które nazwali „Giertychy Roku".

W 2006 r., odpowiadając na pytania dziennikarzy, którzy dopytywali, czy Jacka Kuronia należałoby usunąć z podręczników szkolnych, Giertych ripostował: „Nie, ale należy go umieścić między Januszem Radziwiłłem a Szczęsnym Potockim". Rodzina Kuronia pozwała ministra o naruszenie dóbr osobistych i proces wygrała.

– Nie zamierzam nikogo przepraszać za moje poglądy. Uważam, że Okrągły Stół był zdradą. Nie twierdziłem, że wszyscy jego uczestnicy byli zdrajcami – przekonywał wówczas Giertych.

W okresie, gdy Giertych stał na czele LPR, partię dotknął także skandal finansowy. Dziennikarze „Naszego Dziennika" ujawnili, że w latach 2004–2005 dzięki fikcyjnym umowom cywilnoprawnym, wystawianym m.in. na działaczy Młodzieży Wszechpolskiej, wyprowadzano pieniądze z LPR. Prokuratura wszczęła śledztwo, które w 2012 r. urwało się w zaskakujących okolicznościach. Kilka miesięcy po tym, jak śledczy poinformowali dziennikarzy, że w sprawie będą niebawem kilku osobom postawione zarzuty, postępowanie umorzyli. Według prokuratury do przestępstwa doszło, ale nie była ona w stanie ustalić winnych.

Polityczna przeszłość Giertycha w kręgach liberalno-lewicowych została dziś może chwilowo wybaczona, ale na pewno nie zapomniana

Obciążeniem w środowiskach opozycyjnych dla Giertycha jest zresztą nie tylko udział w rządzie Kaczyńskiego, lecz także aktywność w środowiskach narodowych, kiedy kierował odtworzoną przez siebie Młodzieżą Wszechpolską. Dał się wówczas poznać jako przeciwnik wejścia Polski do Unii Europejskiej, krytyk środowisk homoseksualnych i gejowskich parad. Adama Michnika nazywał „byłym partyjnym aparatczykiem", za co zresztą przegrał sprawę w sądzie.

KTO NIE SKACZE

Od dłuższego czasu Roman Giertych, jak można odnieść wrażenie, próbuje uwiarygadniać się w oczach środowisk bliskich liberalno-lewicowej opozycji. Czasem wygląda to groteskowo. W 2015 r. internauci, podczas opozycyjnego marszu Obywatele dla Demokracji, nagrali go, jak próbuje dyrygować protestującym przeciw PiS tłumem. Na filmie dostępnym w sieci Giertych krzyczy przez megafon: „Kto nie skacze, ten jest z PiS-em! Hop! Hop! Hop!" i „Precz z kaczorem dyktatorem!", po czym sam zaczyna podskakiwać. Nagranie zrobiło furorę w Internecie.

W 2012 r., kiedy Młodzież Wszechpolska, którą po 1989 r. reaktywował Roman Giertych, organizowała Marsz Niepodległości, on sam pojawił się na innym marszu – u boku ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego. „To jest zwykła chuliganeria, która tylko zakłóca przebieg święta narodowego" – mówił o narodowcach portalowi naTemat.pl.

W tym roku w programie Moniki Olejnik żalił się, że „państwo oddało obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości narodowcom". Deklaracja Giertycha znów wywołała ironiczną reakcję internautów, którzy w mediach społecznościowych przypominali mecenasowi jego przeszłość.

Pod koniec września ubiegłego roku w obszernym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Roman Giertych odżegnywał się od antyniemieckich poglądów, z których był znany w młodości. „Miałem 22 lata, trudno to uznać za poważne poglądy. Dzisiaj tylko wariat może być antyniemiecki, główna siła naszej gospodarki to produkcja dla przemysłu niemieckiego" – mówił. Rozliczał się także ze swoim wcześniej mocno krytycznym stosunkiem wobec UE. „Bez Europy nasza pozycja w relacjach handlowych będzie dużo słabsza. Jestem za tym, żeby Unia trwała. Nawet jeślibyśmy musieli coś do tego dołożyć, to nam się opłaca" – deklarował.

Polityczna przeszłość przez środowiska lewicowo-liberalne została może dziś chwilowo wybaczona, ale z pewnością nie zapomniana. „Roman Giertych w roli obrońcy demokracji jest tak wiarygodny jak wynik charytatywnego meczu hokeja z udziałem Władimira Putina kwestującego na rzecz niezależnych mediów" – kpił w ubiegłym roku Jakub Dymek na łamach „Gazety Wyborczej".

Na adres kancelarii prawnej Romana Giertycha wysłaliśmy pytania do niego. Do zamknięcia tego numeru tygodnika nie otrzymaliśmy na nie odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl 9161cd63de

Piotr Semka

Prawo i Sprawiedliwość ma okazję do chwili oddechu. Sondaże na razie specjalnie nie drgnęły. Afera szefa KNF nie odbiła się znacząco na wynikach badań

Potyczki we

Afera wybuchła 13 listopada. W dwóch badaniach przeprowadzonych w dniach 9–15 listopada dwie największe partie uzyskiwały: według CBOS – PiS 42 proc. i PO 21 proc. oraz według Kantar Public – PiS 34 proc. i PO 26 proc. W sondażu z 20 listopada według Millward Brown dla TVN24 PiS otrzymał 33 proc. i PO 26 proc.

Portal „Polityka w sieci" pokazuje, że afera KNF była na topie w sieci tylko między 14 a 21 listopada, by potem gwałtownie spaść. PiS pomogły prawa medialnej karuzeli tematów – 23 listopada na czołówki wdarły się wycofanie się PiS z pomysłu przesunięcia sędziów SN w wieku powyżej 65 lat w stan spoczynku i zdobycie sejmiku śląskiego.

Jak na skalę mobilizacji Platformy i mediów wspierających opozycję blisko tydzień buzowania afery to dość krótko. Co zadecydowało o średniej nośności sprawy?

Po pierwsze, premier Morawiecki błyskawicznie odwołał szefa KNF Marka Chrzanowskiego, a pod wpływem ministra Zbigniewa Ziobry doświadczona w sprawach gospodarczych prokuratura katowicka szybko wszczęła śledztwo. Tylko spóźniona rewizja CBA w biurze szefa KNF rzuciła cień na sprawność rządu.

Po drugie, Leszek Czarnecki ujawnił nagranie po ośmiu miesiącach od jego zarejestrowania 28 marca br. Trudno było pozbyć się skojarzenia z taśmą ze spotkania Michnik-Rywin, która pod korcem pozostawała pięć miesięcy. Dlaczego rekin bankowości tak długo zwlekał? Co więcej, taśma jest zapisem prawdy tylko w stosunku do szefa KNF. Czarnecki wiedział, że dokonywane jest nagranie, i mówił tylko to, co było dla niego wygodne. Śledztwo wykaże, czy nie było jakichś montaży.

Po trzecie, Czarneckiego reprezentuje Roman Giertych, pełnomocnik Donalda Tuska i nadworny adwokat Platformy. Właśnie typowany jest przez Radka Sikorskiego, w razie wygranej PO za rok, na przyszłego ministra sprawiedliwości. Taki reprezentant wskazuje na czysto polityczny charakter całej operacji.

Na dodatek cała sprawa jest dość zawiła i wymaga wiedzy o funkcjonowaniu bankowości. To ułatwiło „Wyborczej" stworzenie paru dramatycznie brzmiących haseł, takich jak „Plan Zdzisława" i „Bank za złotówkę", którymi „Gazeta" grała w kolejnych dniach opisywania sprawy nazywanej przez polityków PO „największą aferą III RP".

Tyle że poruszamy się w tej sprawie jak we mgle, wiedząc tylko tyle, ile uznał za stosowne ujawnić na taśmach Leszek Czarnecki. A ustalenia prokuratury potrwają jakiś czas.

Wszystko to nie znaczy, że efekt afery nie może być w dłuższym czasie dotkliwy dla PiS. Być może to duet Czarnecki-Giertych w dłuższym planie czasowym grać będzie lepiej kartami tej sprawy niż prokuratura i rząd. To osoba rekina bankowości jest w tej sprawie kluczowa.

DRAPIEŻCA BANKOWY

Kariera Leszka Czarneckiego zbieżna jest z wieloma karierami biznesowymi epoki III RP. Człowiek, który – jak podaje „Gazeta Polska" – już w wieku 18 lat, 18 września 1980 r., jeszcze jako uczeń jednego z wrocławskich liceów został tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie Ernest. Według akt IPN inwigilował środowiska niezależnych organizacji uczniowskich, a potem NZS i Duszpasterstw Kościelnych. Typowany na agenta wywiadu wobec starań o wyjazd do USA, ostatecznie nie opuścił kraju. W 1986 r. skończył współpracę. Na ile znajomości z SB ułatwiły mu start w biznesie po 1989 r.? Biorąc pod uwagę nadreprezentację ludzi związanych

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

mgle

z bezpieką na najważniejszych stanowiskach w polskim biznesie i bankowości w latach 90., na pewno to pomagało. Tak samo jak np. to, że był w latach 80. systematycznie szkolony w kombinacjach operacyjnych – by zacytować jego akta SB – „polegających na wprowadzaniu przychylnych nam ludzi do organizacji przez nas kontrolowanych".

Nieprzypadkowo jego biznesy rozkwitły w latach 90. i w pierwszej dekadzie nowego wieku, gdy słaba była jeszcze ochrona konsumentów, a prawo było często pisane pod życzenia biznesowych graczy. Do tej kariery doskonale pasowało małżeństwo z telewizyjną gwiazdą, Jolantą Pieńkowską, mającą użyteczne znajomości w mediach, na czele z TVN.

MONTAŻ ZWIJAJĄCY SIĘ

Można sobie wyobrazić, że w miarę cywilizowania rynku w Polsce interesy Czarneckiego zaczęły iść gorzej i źle. W TVN24 Piotr Stasiński z „Gazety Wyborczej" przekonywał, że Leszek Czarnecki „nie jest oligarchą", i zbudował swoje biznesowe imperium „zupełnie sam, na żadnych stosunkach z państwem".

Stasiński ma rację i racji nie ma. Czarnecki zbił swoją fortunę na wieloletniej słabości państwa wobec takich jak on. Wskazuje na to znany publicysta ekonomiczny Maciej Samcik: „[Biznes Leszka Czarneckiego] został [...] zbudowany na inne czasy. I w tamtych czasach się sprawdził. Gdy trzeba było zarabiać na kredytach frankowych i polisach inwestycyjnych – on zarabiał najwięcej. Gdy trzeba było zbić fortunę na handlu długami – Czarnecki zbił największą (GetBack). Gdy trzeba było »rozbić bank«, finansując drobnych przedsiębiorców – wyrósł Idea Bank oferujący horrendalnie drogie kredyty, ale bez kija UOKiK-u nad głową (bo przedsiębiorcom można bezkarnie oferować najbardziej toksyczne produkty). Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Prawo stało się bardziej prokonsumenckie, kredyty frankowe zostały zakazane, potem skasowano najbardziej złodziejskie polisy inwestycyjne. Trzeba było zacząć zarabiać na „normalnych" produktach, co wymusiło spadek marż".

I to może być tajemnica akcji Czarneckiego. Nie umiał działać w warunkach normalności. Trafił jednak na młodego aroganta z KNF, który chciał przy okazji operacji ratowania banku upiec własne pieczenie. Zna świat mediów, ma pieniądze i – jak mówią jego partnerzy biznesowi – umie precyzyjnie planować.

Mające znamiona korupcyjnych propozycje Chrzanowskiego mogły stać się punktem wyjścia do rozpisanego na wiele etapów montażu na styku polityki i biznesu. Przydała się też pewnie wiedza zdobyta od SB na temat technik manipulacji ludźmi. Jak się okazuje, mimo „szumideł" szefa KNF miał wystarczająco dobry sprzęt, by nagrać rozmowę, która w przekonaniu Chrzanowskiego miała być poufna.

Co może planować bankier z Wrocławia? Najprostszy scenariusz to ucieczka do przodu w celu rejterady od swoich chwiejących się biznesów. Odegranie roli nowego Chodorkowskiego – uzyskanie statusu ofiary PiS, aby potem, w razie wygranej PO, wrócić w chwale. Może istnieć jeszcze bardziej wyrafinowany scenariusz, na który wskazał na swoim blogu „Subiektywnie o finansach" dziennikarz Michał Samcik – skorzystanie z „podłożenia" się przez Chrzanowskiego, nagranie go, a potem podanie państwa do sądu za zniszczenie jego banku.

Samcik pisze: „Gdyby te domysły zetknęły się z rzeczywistością, Leszek Czarnecki miałby prostą drogę, by oskarżyć władze nadzorcze i polityczne o to, że – poprzez korupcyjne propozycje, szantaż »legislacyjny« i celowe nadwerężenie zaufania publicznego – doprowadziły jego banki do upadku. A jego naraziły na wielomiliardowe straty. I – w świetle licznych nagrań, którymi zapewne dysponuje – nie byłby bez szans na zwycięstwo. Gdyby ta hipoteza była prawdziwa, to oznaczałoby, że… Leszek Czarnecki ma wszystkich w garści. Dzisiaj jego banki – w tarapatach i z dużymi potrzebami kapitałowymi – ktoś może mógłby odkupić, ale w cenie złomu. Ewentualne odszkodowanie od państwa byłoby zaś liczone w grubych miliardach".

Czarnecki może zakładać, że przy dzisiejszej atmosferze politycznej wokół PiS, nawet gdy nie przyznają mu racji sądy polskie, mogą to uczynić sądy europejskie, które mogą być wyczulone na „kolejny dowód łamania praworządności w Polsce". Czarnecki może być też pewien sympatii mediów wspierających opozycję. Co więcej, to droga do wylansowania się w mediach zagranicznych. Gdyby nie decyzja o wydrukowaniu zapisów jego taśm w „GW", sprawa nie trafiłaby na łamy „Financial Times".

Czy stał za tym Jarosław Kaczyński? Opozycja uwielbia to sugerować. Zazwyczaj w sposób sugestywny, ale podprogowy. Rysownik „GW" publikuje rysunek, na którym chemik w laboratorium ogłasza koledze: „Odkryliśmy układ!". Na ścianie wiszą symbole pierwiastków chemicznych układających się w nazwisko K, Ac, Zn, S, K, I.

Tyle że żadnych twardych dowodów na „układ" z centrum decyzyjnym na Nowogrodzkiej nie ma. Żeby jednak stawiać PiS w roli demona, trzeba najpierw Czarneckiego i Giertycha upiększyć. I publikować wszystko to, co mówi adwokat bankiera, bez krytycznej analizy. Ta maniera medialna zirytowała w końcu nawet Witolda Głowackiego, publicystę „Polski The Times". Głowacki pisał: „Afera KNF jest poważna i będzie kosztować politycznie. Ale parę osób mogłoby już ogarnąć, że pewien znany mecenas jest tu pełnomocnikiem uwikłanego w nią oligarchy. I trochę wstyd biegać za

eprasa.pl 9161cd63de

każdą jego wrzutą jak grzeczny pies po aport". Głos Głowackiego był odosobniony.

Akcja Czarneckiego doskonale wpisuje się też w nową falę zapału opozycji, która po niedawnym sukcesie w wielkich miastach marzyła o czymś w rodzaju nowej afery Rywina czy nagrań w restauracji Sowa i Przyjaciele, tyle że w wykonaniu PiS. Nieprzypadkowo „Wyborcza" odpaliła nagrania 13 listopada, czyli po 11 listopada, który – jak zakładano – miał być porażką ekipy PiS. Opozycja chętnie nakręcała emocje. Kamila Gasiuk-Pihowicz tweetowała: „Państwo PiS trzęsie się w posadach, a cały PiS trzęsie się ze strachu. W sprawie największej afery w historii Polski codziennie przybywa pytań i poważnych znaków wątpliwości".

Politycy Platformy lansowali hasła: „Plan Zdzisława" czy „Bank za złotówkę" jako synonim działania przestępczego, choć z rozmowy nie wynika jasno, czy chodzi o ratowanie banku czy jego nielegalne przejęcie. Sokal jest nominatem prezydenta Andrzeja Dudy i pasowało to do wizji zmowy od KNF do pałacu prezydenckiego.

Nie chcę przesądzać, czy plan Sokala miał złe czy dobre intencje. To powinni ustalić prokuratorzy. Warto wskazać jednak na łatwość tworzenia teorii o ośmiornicy, która łączy wszystkie ośrodki władzy.

ZASKOCZENI

A jak na aferę zareagował obóz PiS? Premier Mateusz Morawiecki początkowo zadziałał sprawnie. Wymusił na Chrzanowskim szybką dymisję. Potem jednak zamilkł. Nie podjął się stworzenia własnej narracji na temat tego, co się stało. Jeden z polityków PiS mówi: „Szef rządu musi takie kryzysy »brać na klatę«. To on musi wyjaśnić wyborcom, co się stało. Morawiecki od tego się uchylił. Być może dlatego, że sam zmaga się z wizerunkiem bezdusznego bankowca".

W tej sytuacji przedstawianie stanowiska PiS musieli wziąć na siebie liczni politycy drugiego szeregu. Taki chór nigdy nie mówi jednym głosem i powstaje wrażenie chaosu. A może zwlekanie z reakcją związane jest z tym, że nawet dla kierownictwa PiS nie jest jasne, czy Chrzanowski działał w pojedynkę czy z jakąś nieformalną grupą?

Ciekawa jest uwaga jednego z polityków PiS ze starszego pokolenia: „Czytając stenogram z rozmów, miałem wrażenie, że pomysł, by prowadzić z Czarneckim takie ryzykowne rozmowy, musiał wyjść od kogoś młodego, acz niezwykle pewnego siebie. Kogoś niepamiętającego czasów PRL, jak Chrzanowski urodzony w 1981 r. Dla takich osób Czarnecki jawił się jako biznesmen jak każdy inny. Dla ludzi generacji Kaczyńskiego informacja, że Czarnecki był związany z SB, skłaniałaby do najwyższej ostrożności. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, by ktoś z Nowogrodzkiej nie rozumiał, że jakiekolwiek deale z finansowym rekinem to potencjalna pułapka".

Wiara Chrzanowskiego, że uda się załatwić „fuchę" Grzegorzowi Kowalczykowi, zdradza raczej zadufanego z powodu szybkiego awansu urzędnika niż wytrawnego gracza ze sporym doświadczeniem życiowym.

Premier Mateusz Morawiecki początkowo zadziałał sprawnie. Wymusił na Chrzanowskim szybką dymisję. Potem jednak zamilkł

Jak się zdaje, sam Zbigniew Ziobro jest zdeterminowany, by jak najszybciej wyjaśnić, czy Chrzanowski działał sam, czy miał protektora wyżej. Bez tej wiedzy PiS nie może prowadzić w tej sprawie żadnej sensownej polityki medialnej.

W partii mówi się jednak o odpowiedzialności szefa NBP Adama Glapińskiego za zaprotegowanie Chrzanowskiego na stanowisko szefa KNF. W swoich wypowiedziach już po wybuchu afery Glapiński wyraźnie go bronił. W PiS przypomina się, że w 2016 r. na stanowisko szefa KNF typowano ekonomistę związanego z PiS od lat – Janusza Szewczaka, ale szef NBP przeforsował Chrzanowskiego.

Sprawa dla wielu polityków rządzącej partii jest delikatna, bo „Glapa" to jeden z najstarszych towarzyszy walki Kaczyńskiego, jeszcze z początku lat 90. Jest tylko o niecały rok młodszy od Kaczyńskiego. Był ministrem z ramienia Porozumienia Centrum – poprzednika. Na dodatek ma silną, niezależną pozycję. Jego sześcioletnia kadencja mija dopiero za cztery lata.

Tyle że w PiS nie brakuje dziś głosów, że Glapiński powinien był wiedzieć, że Chrzanowski to kandydat zbyt mało doświadczony i zbyt nieprzewidywalny, by obejmować KNF. A błąd „Glapy" kosztuje partię bardzo wiele.

Kolejny problem – kim obsadzić wakujące stanowisko. Nie jest tajemnicą, że wpływ na to chciałby mieć premier Morawiecki, który na paru polach rywalizuje z Glapińskim. Na dodatek dla odbudowania wiarygodności urzędu powinien to być ktoś, kto ma już swoją pozycję w świecie finansów, a jednocześnie byłby lojalny wobec PiS. A opuszczone stanowisko trzeba obsadzić jak najszybciej.

Kolejnym problemem PiS jest sprawa Kacpra Kamińskiego. PiS wpadł tu w kłopoty, które kiedyś były problemem Unii Wolności, SLD czy Platformy. Gdy Dominika Wielowieyska wypomniała Kamińskiemu syna na stażu w Banku Światowym, internauci przypominali, jakie posady w Banku Światowym dostał jej brat i jak jej siostra Agnieszka otrzymała posadę w KPRM. Nie zmienia to faktu, że teraz przyszła kolej na rozliczanie PiS. Politycy tej partii obejmują od trzech lat najwyższe stanowiska i to tworzy ułatwione ścieżki kariery dla ich dzieci. I nie sposób potem orzec, gdzie zadziałała protekcja, a gdzie młodzi ludzie korzystali z normalnych możliwości awansu. Dlatego zarzuty nepotyzmu są tak łatwą bronią dla opozycji i jednocześnie są tak dotkliwe dla tych, którzy są u władzy.

Bank Światowy wskazał, że nominacje na staże są w gestii banków narodowych. A dla takiej partii jak PiS, szczególnie w przypadku Mariusza Kamińskiego, podejrzenia o nepotyzm są szczególnie dotkliwe. To, że Kamiński mógł o sprawie nie wiedzieć, a awans syna może być wiązany z pozycją jego matki, rozwiedzionej z Kamińskim Anny Kasprzyszak, dyrektor działu edukacji NBP, niewiele polepsza sprawę. Wrażenie nepotyzmu będzie oddziaływać na wyborców.

PiS stoi przed niełatwym zadaniem. W jego interesie jest jak najszybciej wyjaśnić sprawę, zanim zacznie się kampania do europarlamentu. Opozycja i tak będzie negować wynik działań prokuratury, głosząc, że jest upolityczniona.

I jeszcze jedno nie jest jasne. Czy są kolejne taśmy? Pytany o to Roman Giertych nie udziela jasnych odpowiedzi. Jedno jest pewne, Leszek Czarnecki ma plan rozpisany na długie miesiące.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 9161cd63de

Z Krzysztofem Łapińskim, byłym rzecznikiem prasowym prezydenta
rozmawia Kamila Baranowska

PiS musi uspokoić emocje

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

KAMILA BARANOWSKA: Czy afera o KNF to największy problem, z jakim musiał radzić sobie rząd?

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Ta sprawa dzieje się na zapleczu PiS, uwikłana jest w nią osoba, która nie jest politykiem partii, ale sprawowała wysoki urząd z jej rekomendacji. Dlatego to jest problem dla całej formacji. To problem także z tego powodu, że uderza w podstawy Prawa i Sprawiedliwości. Te, na których partia budowała swoją tożsamość i swój przekaz, czyli: to my jesteśmy ci uczciwi, prawi, propaństwowi, którzy nie przychodzą do polityki dla pieniędzy, w przeciwieństwie do poprzedniej władzy, która była zepsuta i skorumpowana. Jeszcze nie wiemy do końca, w jaki sposób ta sprawa trafi do ludzi, a także jaki będzie komunikat ze strony samego PiS. Możliwości są dwie: albo będzie przekaz, że takie zachowania nie będą tolerowane i będą wypalane gorącym żelazem, albo że atakują naszych, więc zwieramy szeregi i bronimy swoich bez względu na to, co zrobili.

Szybka dymisja szefa KNF wskazywałaby na ten pierwszy scenariusz.

To była dobra reakcja. Dobrze, że decyzja o dymisji nastąpiła szybko, zważywszy na to, że nie było to wcale takie proste i oczywiste. Możliwości ustawowe premiera są tu dość ograniczone – nie może ot, tak sobie odwołać szefa KNF – i łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której Marek Chrzanowski odmawia złożenia dymisji, trzyma się posady, a cała afera idzie na konto PiS i premiera. Dobrze więc, że Chrzanowski natychmiast odszedł, ale otwarte pozostaje pytanie, czy są kolejne taśmy i czy będą wypływać kolejne niewygodne dla PiS informacje. Czy Chrzanowski działał samowolnie i jako urzędnik zachował się niewłaściwie, a być może nawet popełnił przestępstwo? Czy jednak ktoś za nim stał? Zapewne media i opozycja będą te pytania stawiać.

Z tego, co mówią politycy PiS, można wywnioskować, że dymisja szefa KNF i śledztwo prokuratury zamykają sprawę.

Ta sprawa będzie żyła, choćby medialnie, pytanie, jaki będzie zasięg jej oddziaływania. Sprawę nagłośniła „Gazeta Wyborcza", czyli środowisko PiS wrogie, i nie mam wątpliwości, że będzie ten temat drążyć aż do skutku. Jest też mec. Giertych, który ma prywatną

www.DORZECZY.pl
epraso.pl 9161cd63de

wojnę z PiS i będzie robił wszystko, byśmy o sprawie zbyt szybko nie zapomnieli. Pytanie, co zrobi Leszek Czarnecki? Czy wystarczy mu sam fakt, że temat wypłynął i władza będzie musiała ratować jego banki, aby zadać kłam informacjom, że chciała je przejąć. Nie będzie łatwo wyciszyć tę sprawę, bo PiS ma zbyt wielu wrogów, którym zależy, by było o tym głośno. Paradoksalnie jednak to, że stroną w aferze jest trio: Czarnecki, Giertych, „Gazeta Wyborcza", daje PiS szansę na skuteczną linię obrony pod hasłem: „Jesteśmy atakowani politycznie przez naszych odwiecznych wrogów". Czarnecki, Giertych czy „Wyborcza" to nie są bohaterowie z bajki wyborców PiS, więc przynajmniej dla nich może to być wiarygodne tłumaczenie. Pytanie, jak zareagują wyborcy mniej emocjonalnie związani z PiS, niezdecydowani, których poparcie dało PiS podwójne zwycięstwo w 2015 r. Czy też uznają, że to polityczny atak wrogich sił, czy może jednak ocenią, że PiS wszedł w buty Platformy i nie ma między nimi różnicy.

A może wszystko rozejdzie się po kościach? Nie ma tu znanych nazwisk, nie ma czegoś, co działałoby na wyobraźnię tak jak słynne ośmiorniczki.

To prawda i to właśnie różni tę sprawę od afery Rywina, do której próbuje nawiązywać opozycja. Tam na taśmie były konkrety działające na wyobraźnię: o grupie trzymającej władzę, nagrana została konkretna kwota łapówki 17,5 mln dol., ciężar osób w niej występujących też był większy. Z całym szacunkiem dla panów Czarneckiego i Chrzanowskiego, ale to Lew Rywin i Adam Michnik byli bardzo znani. To wszystko napędzało aferę. Tutaj tego mięsa brakuje, nigdzie na nagraniu nie pada nawet kwota, o której napisała „Wyborcza" na podstawie słów Czarneckiego. Myślę, że dopóki funkcjonujemy w obszarze samej KNF i nieodpowiedzialnego zachowania jednego człowieka, dopóty nie ma paliwa, by tę aferę rozdmuchać do niebezpiecznych dla PiS rozmiarów. Chrzanowski to urzędnik, na pewno wysokiej rangi, ale nie z pierwszych stron gazet. Nie jest mocno związany ze środowiskiem PiS, nie był posłem, europosłem, ministrem. Dla większości ludzi to osoba nieznana.

Pamiętajmy też, że afera Rywina przydarzyła się SLD w trudnym czasie dla gospodarki. Co bardzo ważne, uruchomiła wewnętrzne rozgrywki na lewicy wymierzone w premiera Millera. Proszę sobie przypomnieć szorstką przyjaźń prezydenta Kwaśniewskiego i premiera Millera, odejście grupy posłów na czele z ówczesnym marszałkiem Sejmu Markiem Borowskim. Potem doszły kolejne afery, orlenowska, starachowicka. To wszystko razem wzięte doprowadziło do upadku lewicy.

O wiele bardziej czytelny jest poboczny wątek tej sprawy, czyli kwestia zatrudnienia syna Mariusza Kamińskiego w Banku Światowym.

Opozycja pewnie będzie grała tym wątkiem, ale nie sądzę, by miało to wpływ na ocenę społeczną całej sprawy. Wydaje mi się, że będą się tym interesować politycy, dziennikarze. Ale czy będzie się o tym mówiło przy rodzinnych obiadach lub towarzyskich spotkaniach? Nie sądzę. Większy potencjał i niebezpieczeństwo dla rządzących może mieć podwyżka cen energii, bo ona będzie dotyczyć wszystkich gospodarstw domowych i odbije się na cenach towarów i usług.

Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia pan kondycję obozu rządzącego na rok przed kluczowymi wyborami parlamentarnymi?

REKLAMA

eprasa.pl 9161cd63de

Jeśli spojrzymy na wyniki wyborów samorządowych, to PiS nie tylko je wygrał na poziomie sejmików, lecz także skonsumował wygraną, bo już ma władzę w ośmiu z nich, czyli w połowie województw. To ogromny przyrost. Jeśli o wygranej miałyby decydować kwestie gospodarcze, to PiS także ma wszelkie przesłanki, by wygrać. Dał ludziom „500+", obniżył wiek emerytalny, bezrobocie jest na rekordowo niskim poziomie, płaca minimalna i inne płace wzrosły. Tylko pamiętajmy, że ludzie się do tego przyzwyczaili, więc niekoniecznie muszą to wszystko utożsamiać z obecną władzą. W 2007 r. sytuacja gospodarcza też była bardzo dobra, bezrobocie niskie, nie było dużych strajków ani protestów społecznych, ludzie byli zadowoleni z sytuacji gospodarczej.

będzie dużo wyższa, bo dla obu stron to będzie walka o wszystko. PiS zdaje sobie sprawę, że jeśli przegra, to czeka go polityka „no mercy", a więc realna groźba Trybunał Stanu dla polityków PiS, sprawy sądowe, czyszczenie do ostatniego człowieka w spółkach, wszystkich instytucjach itd. Opozycja będzie chciała pokazać, że rządy PiS mogą się zdarzyć, ale na zasadzie incydentu, że partia ta może raz wygrać wybory, ale nie jest w stanie tego powtórzyć. Grzegorz Schetyna z kolei wie, że jeśli przegra, to zostanie szybko rozliczony, bo politycy PO nie mają ochoty być w opozycji kolejne cztery lata. PiS przetrwał chude lata, bo miał silnego lidera i pamięć o Smoleńsku, która scaliła to środowisko na długo. Kolejne cztery lata w opozycji to dla PO zagrożenie, że tego nie przetrwa.

PiS zdaje sobie sprawę, że jeśli przegra, to czeka go polityka „no mercy", a więc m.in. realna groźba Trybunału Stanu

A PiS wybory przegrał.

Właśnie. Moim zdaniem kluczowe będzie to, jakie emocje uda się wzbudzić w ludziach w kampanii wyborczej. Jeśli pojawią się wątki, które ich zdenerwują, rozdrażnią, to pójdą głosować przeciwko PiS. Dlatego w interesie PiS jest, by uspokajać emocje, wyciszać je, nie dawać pretekstów do mobilizacji elektoratu antypisowskiego i nie pozwolić przekształcić wyborów w plebiscyt nad rządami PiS. Bo właśnie to zgubiło PiS w dużych miastach podczas wyborów samorządowych. Ludzie po raz pierwszy od trzech lat mogli wyrazić swoje niezadowolenie, wkurzenie nie na manifestacjach, tylko przy urnie i w miastach to zrobili, głosując przeciwko PiS. Nie na wspaniałych kandydatów opozycji, tylko przeciwko PiS. To powinno dać obozowi władzy mocno do myślenia.

W 2015 r. PiS wygrał wybory przy stosunkowo niewysokiej frekwencji wyborczej. W kampanii nie wydarzyło się nic takiego, co by ludzi zdenerwowało na tyle, by poszli głosować, aby zamanifestować swój sprzeciw. Co więcej, głosowanie na PiS nie było obciachem, nie udało się wywołać antypisowskich emocji. Wiele osób odpuściło sobie te wybory, bo uznało, że stawką jest „tylko" normalna zmiana władzy. Teraz stawka

Widać już, że PiS łagodzi kurs, jeśli idzie o spór z Brukselą, bo tak chyba należy odczytywać nowelizację ustawy o Sądzie Najwyższym.

Gdyby opozycji udało się przedstawić najbliższe wybory do PE i potem do parlamentu krajowego jako wybór, w którym stawką jest nasze „być albo nie być w Unii Europejskiej", to PiS miałby poważny problem. To jest coś, co może mobilizować wyborców, którzy w normalnych warunkach głosować nie chodzą. W efekcie PiS może nawet dostać świetny wynik, ale potem mieć problem ze stworzeniem rządu jednopartyjnego i z sytuacją „wszyscy przeciwko PiS". Na ludzi bardzo działa strach przed polexitem, bardziej, niż się niektórym wydaje. Można się z tego śmiać i tłumaczyć tysiąc razy, że PiS i Jarosław Kaczyński są proeuropejscy i nigdy takich planów nie mieli, ale to nie zmienia faktu, że ludzie się tego obawiają, że to jest realne zjawisko, a takich obaw nie można lekceważyć w roku wyborczym. Chyba PiS wyczuł to zagrożenie i postanowił na nie odpowiedzieć zażegnaniem konfliktu z Brukselą.

Dla części elektoratu decyzja rządu o wycofaniu się z reformy Sądu Najwyższego to kapitulacja.

Wielu zagorzałych zwolenników mogło to zaskoczyć i zaboleć. Skoro jednak są mocno przywiązani do PiS, to zapewne uznają, że tego wymaga mądrość etapu, że trzeba zamykać niektóre fronty, by nie tracić sił, bo przecież za rok najważniejszy bój w wyborach krajowych. Zapewne z PiS popłynie komunikat: zaufajcie nam, robimy co prawda krok do tyłu, ale nie kapitulujemy, a najważniejszy cel, jaki przed nami, to wygranie wyborów.

Podsumowując, o przegranej PiS może zdecydować to, na ile skuteczna okaże się antypisowska histeria?

Tak, bo im bardziej PiS obniży emocje, im kampania będzie spokojniejsza, tym większa szansa na zwycięstwo, bo nie będzie antypisowskiego szturmu na urny. A wtedy idą ludzie zdeklarowani, co działa na korzyść PiS. Frekwencja i mobilizacja ludzi zgubiła PiS w 2007 r., a niedawno zgubiła także Patryka Jakiego w Warszawie. On osiągnął naprawdę dobry wynik, który miał szansę jeszcze poprawić w drugiej turze, ale frekwencja go zatopiła. I było to niezależne od niego. Za rok też kluczowe będzie to, czy przed wyborami uda się wzbudzić silne antypisowskie emocje.

Jak PiS powinien na to odpowiedzieć?

Zminimalizować ryzyko, rezygnując z kontrowersyjnych tematów czy ustaw, wyjść z pozytywną ofertą do wielu grup społecznych, okiełznać ekstrawaganckich posłów i unikać ostrych wypowiedzi. W kierownictwie partii są ludzie, którzy mają tego świadomość i którzy dobrze pamiętają lekcję z 2007 r. Wtedy nie doceniono zmiany nastrojów społecznych. Dzisiaj trzeba odrobić lekcje z wyborów samorządowych – PiS zdobył w dużych miastach swoje 30 proc., w mniejszych miał jeszcze lepsze wyniki i tym nadrobił, ale nie można całkiem zlekceważyć dużych miast. Nawet jeśli PiS w nich nie wygra, to musi walczyć o dobry wynik. I oczywiście nie może zlekceważyć rolników czy szerzej – elektoratu wiejskiego. Na tym polu będzie walczył z PSL, ale także o to, żeby mieszkańcy wsi poszli głosować. Inne czynniki też są ważne. W dorosłość wchodzi kilka nowych roczników, które w 2015 r. nie miały praw wyborczych. Co zrobią młodzi? Kto skanalizuje ich buntowniczą naturę? To elektorat, o który warto powalczyć.

PiS, jeśli chce wygrać i pokazać, że jego rządy nie są incydentalne, nie może dać się zaskoczyć. W 2015 r. to się udało, ale dziś PiS jest w innej roli, to on jest oceniany za to, jak rządzi. Czeka nas ciekawy rok.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

NOWY PASZPORT NA 100-LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Polski paszport to nowoczesny dokument spełniający najwyższe standardy bezpieczeństwa, który nawiązuje do polskiej tradycji i patriotyzmu.

Grafiki widoczne na kartach dokumentu prezentują postaci, miejsca i wydarzenia związane z odzyskaniem przez Polskę niepodległości w 1918 r. oraz pierwszymi latami jej istnienia jako suwerennego kraju.

Safel® – zabezpieczenie okienkowe z wykorzystaniem elementów optycznie zmiennych oraz personalizacji laserowej

Safel® – widok w świetle przechodzącym

Tłoczenie

Mikrodruk – tłoczenie

Wnioskujący o wydanie paszportu po 5 listopada 2018 r. otrzymają dokument według nowego wzoru.

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH
ROK ZAŁOŻENIA 1919

eprasa.pl 9161cd63de

POSUBOTNIK

Po aferze KNF głos zabrał Komitet Stabilności Finansowej. Na zdjęciu od lewej: Marcin Pachucki, Teresa Czerwińska i Adam Glapiński

FOT. MICHAL DYJUK/FORUM

Nie ma zawału, jest demencja

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja znów nie doczeka się przełomu, ale to nie znaczy, że PiS nie słabnie. I że nie potrzebuje kuracji

Kiedy piszę te słowa, nie ma jeszcze pewności, czy Leszek Czarnecki i jego pełnomocnik rzucili na stół już wszystkie atuty. Nie wydaje się jednak, by jeszcze mieli w rękawie asa. Opozycja przeżyła po raz kolejny chwilę lewitacji, że wreszcie przyszedł oczekiwany od lat przełom, przez kilka dni odmieniała przez wszystkie przypadki słowo „układ" i rysowała na okładkach swoich pism ośmiornice z tą samą zajadłością, z jaką przez wiele lat kibice PiS malowali wybuchające tupolewy – a teraz znowu będzie przeklinała głupie społeczeństwo, które krzyku o „aferze większej niż Rywin" nie kupiło.

A skąd wiem, że społeczeństwo nie kupi? Cóż, już po paru dniach „grzania" tematu było to oczywiste. Wbrew emocjonalnym paroksyzmom obalonych elit III RP, które żyją czekaniem na antypisowski Majdan, podobnie jak centroprawica lat 90. żyła nadzieją na „nowy sierpień", taśma Czarneckiego od samego początku nie miała zbyt wielkiego potencjału, a już na pewno porównywalnego z tą, na której Michnik nagrał Rywina. Przede wszystkim nie można sklecić porywającej narracji, nie przedstawiając bohatera pozytywnego. A Leszek Czarnecki i jego pełnomocnik w rolach bezinteresownych rycerzy, walczących z korupcją w imię idei, delikatnie mówiąc, wiarygodnie nie wypadają.

Opowieść o „czterdziestu milionach łapówki" od początku była budowana na słabych podstawach. Chwila zastanowienia wystarczy, by wyczuć w niej fałsze. Facet idzie uzbrojony w trzy magnetofony, żeby zdobyć dowód, że urzędnik żąda od niego łapówki, i kiedy żądanie faktycznie pada, ale na kartce, nie wydaje z siebie żadnego dźwięku mogącego zaznaczyć w nagraniu ten moment? Powiedzmy. I co robi z tą kartką – wizytówką! – z wypisanym odręcznie dowodem? A gdzieś mu się zapodziała.

Słabe. Jak jednak mówił Wielki Szu: „Takie farmazony czasem się sprawdzają". Narracja o wycinaniu drzew przez PiS zbudowana została na jeszcze wątlejszych podstawach, prawdę mówiąc – zupełnie z niczego (tzn. ze zdjęcia wiewiórki sprzed lat i kilku wycinek niemających z nowymi przepisami nic wspólnego), a trwa w umysłach „lemingów" do dziś. Teraz jednak propagandyści opozycji, mając tak słabe przesłanki, chcieli osiągnąć zbyt wiele celów jednocześnie – nie tylko wywołać oburzenie żądaniem łapówki, lecz także przestraszyć „planem Zdzisława", zbudować wizerunek „układu", dołączyć do niego jakoś Biereckiego (co jest aferalnego w oskarżeniu, że chciał jakoby złożyć w banku depozyt?) i jeszcze uderzyć w syna Mariusza Kamińskiego. Wszystko naraz. Powstał z tego informacyjny chaos – nie tylko tzw. zwykli Polacy, lecz także nawet komentatorzy polityczni mieli kłopot z wyjaśnieniem, o co właściwie chodzi.

Dla przykładu: hasło „przejmują banki za złotówkę" dobrze się kojarzy, bo właśnie źle, czyli ze „złodziejską prywatyzacją" z początków III RP, ale o ile doprowadzenie do bankructwa fabryki i jej przejęcie ma sens, bo fabryka to majątek trwały, plac, budynki, maszyny etc., o tyle w banku wartość stanowią tylko pieniądze. Doprowadzenie go do bankructwa i przejęcie oznaczają konieczność spłacenia samemu długów, w jakie się bank wpędziło. Gdzie tu logika?

Jeśli trzeba ludziom mozolnie tłumaczyć, gdzie w aferze jest afera, to z góry

eprasa.pl 9161cd63de

wiadomo, że nie oburzy ona nikogo poza tymi, którzy i tak faktem, iż rządzi PiS, oburzeni są od dawna i nie potrzebują dodatkowych uzasadnień.

@

Czy to znaczy, że afery w ogóle nie było, względnie – że w ogóle ona PiS nie zaszkodzi? Zwróćmy uwagę na podstawowe logiczne pęknięcie opowieści o „aferze większej niż Rywin". Z jednej strony mamy budowanie opowieści o tym, że PiS tworzy przepisy pozwalające mu doprowadzać prywatne banki do upadku i je przejmować „za złotówkę", z drugiej – taśmę świadczącą o tym, iż szef KNF robił coś dokładnie odwrotnego, oferował, że wskazany przez niego prawnik, którego wynagrodzenie miało być rzekomą łapówką, chylący się ku bankructwu bank uratuje. Przecież gdyby chciał go przejąć i bez żadnego Zdzisława miał w ręku wszystkie narzędzia – ot, wystarczyło wsadzić Czarneckiemu na kark kuratora.

W istocie aferę mogą tu zobaczyć – i na pewno zobaczyli – przede wszystkim politycy PiS. Pal diabli, że nominowany przez nich szef KNF okazał się naiwnym leszczem, który próbował grać z wytrawnym macherem (pytanie: „Rozumiem, że mogę liczyć na pańską dyskrecję?" jest murowanym kandydatem do przyszłorocznych „Srebrnych ust"). Najgorsze, że próbował grać przeciwko PiS. Można z jego postępowania wyczytać gotowość zbudowania zaplecza finansowego dla jakiejś działającej już albo projektowanej frakcji.

Właśnie dlatego szef KNF musiał polecieć ze stanowiska natychmiast (choć oczywiście wymagały tego także elementarne zasady reagowania na sytuacje kryzysowe, podawane w każdym podręczniku menedżera). Ta dymisja jednak, choć od razu przetrąciła budowaną przez opozycję narrację. Z punktu widzenia PiS sprawy nie rozwiązuje. Oczywiście pojawia się pytanie: Z kim i dla kogo chciał Chrzanowski budować ten układ?

Wszystkie oczy kierują się oczywiście na prezesa NBP. Wiadomo, że szef KNF był jego protegowanym, zresztą sam prezes Glapiński wykazuje się rzadką lojalnością i broni przewodniczącego Chrzanowskiego, wystawiając mu w mediach laurkę jako człowiekowi nieposzlakowanej prawości. Czy jednak Glapiński nie zgadał się tu aby z Ziobrą? Razem wszak robili, co mogli, by pozbawić premiera Morawieckiego kontroli nad bankami – stąd właśnie ten, a nie inny szef KNF. Jak daleko zaszła jednak ich współpraca? W PiS plotkuje się, że odłożenie przesłuchania Czarneckiego w katowickiej prokuraturze (słusznie bądź nie uważanej za najbardziej „ziobrystyczną") o kilka dni nie mogło być przypadkiem, podobnie jak spóźnienie się przez prokuratora o kilka godzin z nakazem przeszukania w KNF, co dało odwołanemu już szefowi czas na uporządkowanie papierów.

Prezesa NBP usunąć ze stanowiska nie można, a do złożenia dymisji – co powiedział od razu – nie widzi on najmniejszych powodów. Zrobiłby tak może, gdyby zażądał jej sam Komendant. Jarosław Kaczyński chyba nie będzie jednak naciskać. I tak zainwestował w Morawieckiego więcej niż w kogokolwiek wcześniej. Jeśli jeszcze teraz usunąłby mu z drogi najsilniejszych rywali, to wewnętrzna równowaga w partii, o którą zabiegał przez tyle lat, zostałaby definitywnie zburzona.

Można by przejść nad tym do porządku dziennego, gdyby PiS wciąż był na fali, która niosła go w pierwszych latach rządów. Problem w tym, że ta fala już opadła, entuzjazm wygasa – problemy narastają i, prawdę mówiąc, sprawa przewodniczącego KNF jest jednym z najmniejszych jego zmartwień.

Wyborcy co prawda się od PiS nie odwrócili – jest ich nawet więcej niż trzy lata temu – ale mobilizacja wśród przeciwników wydaje się dziś większa niż wśród tych, którzy wolą władzę obecną od poprzedniej. PiS zużywa się, przestaje porywać. Jego wyborcy zaczynają go traktować jak mniejsze zło, raczej tolerować, niż wierzyć, że faktycznie coś naprawi. To nieuchronny proces, ale PiS – tak jak zresztą wszyscy jego poprzednicy – zupełnie nie przewidział, że może kiedyś stracić świeżość oraz urok, i nie przygotował się do walki na punkty.

Szczególnie źle to wróży wobec specyfiki nadchodzących wyborów do europarlamentu. Jak dotąd frekwencja w dużych miastach była w nich zawsze większa, niekiedy nawet dwukrotnie niż na prowincji. Jeśli będzie tak i tym razem, to antypisowska mobilizacja miast może się przełożyć na widowiskowy sukces PO. A ten, wobec bliskości wyborów europejskich i parlamentarnych – pomiędzy którymi mamy na dodatek trudne do prowadzenia kampanii miesiące wakacyjne – „zafartowałby" kolejne, decydujące dla przyszłości głosowanie.

@

Matactwa byłego szefa KNF czy ujawnione przypadki zatrudniania tu czy tam krewnych polityków PiS to krople drążące skałę. Stopniowo budują przekonanie, że PiS jest równie „umoczony" jak wszyscy inni. Do zniechęcenia elektoratu centrowego dochodzi rozczarowanie tego „żelaznego", tożsamościowego. Szczerość, z jaką prof. Legutko wyjaśnił środowiskom katolickim, że mogą zapomnieć o ważnym dla nich i podpisanym przez niemal 900 tys. osób projekcie zakazu aborcji eugenicznej, bo i tak nie mają na kogo innego niż PiS głosować, bardzo rozjuszyło tak cynicznie potraktowanych pro-liferów. A rejterada ze zmian w Sądzie Najwyższym, po wielomiesięcznych pokrzykiwaniach i prężeniu muskułów, skompromitowała z kolei PiS w oczach najwierniejszych zwolenników, którym coraz trudniej wierzyć, że partia rządząca potrafi zrealizować cokolwiek z tego, co tylekroć zapowiadała.

W samym PiS kompromituje natomiast – po raz kolejny – frakcję Ziobry. Wcześniej wyszła z jego resortu równie fatalna w skutkach nowelizacja ustawy o IPN, niewczesne zapytanie do Trybunału Konstytucyjnego, które tuż przed wyborami uwiarygodniło oskarżenia opozycji o szykowany polexit. Apetytom ziobrystów przypisuje się także kolejne kompromitacje przy obsadzaniu stanowiska Rzecznika Praw Dziecka. Jednak sam Ziobro się tym nie przejmuje dopóty, dopóki ma poparcie Komendanta. W chwili, gdy na PiS spadają jeden za drugim poważne ciosy, skłócenie wewnątrz partii jest tak silne, a atmosfera tak zła jak chyba jeszcze nigdy.

Wyborcy nieprędko odwracają się od władzy – nie wystarczy, jeśli ich zawiedzie, muszą jeszcze zobaczyć atrakcyjną alternatywę. Jednego politykom nie wybaczają w żadnym wypadku: nieskuteczności. PiS zaś jawi się im jako coraz bardziej nieskuteczny. Jeśli spartolił popisowo absolutnie priorytetową reformę sądów, jeśli nie umie nawet dopilnować swoich ludzi, by nie korumpowali się jak poprzednicy, to po co on komu?

Mówiąc obrazowo, opozycja ciągle liczy na jakieś wielkie „bum", na coś spektakularnego, na to, że, przepraszam za dosadność, PiS trafi szlag, i tego się nie doczeka. To nie znaczy jednak, że władza jest zdrowa. Tyle że jej choroby mają charakter przewlekły. PiS słabnie – powoli, ale nieustannie. I chyba wciąż jeszcze do niego nie dotarło, że musi zacząć się leczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Łukasz Warzecha

Nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym to ucieczka przed walcem z napisem: „TSUE". Zyskują państwa UE, zwłaszcza Niemcy, a koszty poniesie wyłącznie PiS

Jak PiS uratował

Żeby zrozumieć, co się wydarzyło, trzeba przypomnieć, jak sprawa ustawy o Sądzie Najwyższym znalazła się w luksemburskim trybunale. We wrześniu Komisja Europejska, tocząca z Polską od miesięcy spór o reformę sądów w ramach art. 7 traktatu lizbońskiego, opisującego procedurę w przypadku ryzyka naruszenia praworządności w państwie członkowskim, skierowała wniosek w naszej sprawie do Trybunału Sprawiedliwości UE. W ten sposób KE uciekała od odpowiedzialności. Komisja jest ciałem politycznym, a jej wojna z Polską niemal w przededniu wyborów do Parlamentu Europejskiego, w których poważnie może się zmienić stosunek sił w PE, była niewygodna i coraz bardziej ryzykowna dla większości graczy, z wyjątkiem może Fransa Timmermansa. Dla wiceprzewodniczącego KE batalia z polskim rządem stała się bowiem wehikułem politycznym ostatniej szansy. Jego rodzima holenderska Partia Pracy w ubiegłorocznych wyborach uzyskała żałosne 5,7 proc. głosów (najgorszy wynik w jej ponad 70-letniej historii), więc Timmermans widzi dla siebie przyszłość jedynie w strukturach europejskich i gorliwością w sporze z Polską próbuje budować własną pozycję, być może celując w posadę obecnie sprawowaną przez Jeana-Claude'a Junckera.

DLACZEGO TSUE?

TSUE w teorii nie jest ciałem politycznym – jest sądem, który w swoich orzeczeniach kieruje się literą traktatów. Dlatego zrzucenie ciężaru na sędziów zasiadających w Luksemburgu było dla wszystkich korzystne.

Dla wszystkich poza Polską. Po pierwsze dlatego, że TSUE, zwłaszcza dziś, w dobie ostrego konfliktu politycznego również wewnątrz samej UE, sam stał się ciałem mocno w istocie upolitycznionym. Dowiodła tego wypowiedź prezesa trybunału Koena Lenaertsa. Jak relacjonowało Deutsche Welle, miesiąc temu Lenaerts, nawiązując do sprawy Polski, miał powiedzieć: „Państwo, które nie jest gotowe do dalszego podporządkowywania się orzeczeniom TSUE, wpisuje się w proces podobny do brexitowego, w proces wyjścia". Te słowa wywołały konsternację również w Brukseli, bo sędzia TSUE, a już zwłaszcza jego prezes, nie powinien komentować spraw w toku.

Pamiętać trzeba, że członków TSUE nominują kraje członkowskie i jest ich 28 (plus 11 tzw. rzeczników generalnych). Od przyszłego roku od września każdy kraj ma mieć w TSUE dwóch przedstawicieli. W tej chwili Polskę reprezentuje były prezes Trybunału Konstytucyjnego Marek Safjan. Nikt chyba nie ma wątpliwości, jakie jest jego stanowisko w sporze o praworządność w kraju. Jednak także pozostali sędziowie mogą się kierować względami politycznymi, szczególnie że traktaty unijne dają podstawę do uzasadnienia niemal każdego stanowiska. O praworządności mówi niezwykle ogólnikowy art. 2 traktatu lizbońskiego: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne państwom członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn". Wszystko zależy od interpretacji. Bezstronność TSUE jest zatem w dużej mierze iluzją, choć nie oznacza to, rzecz jasna, że żaden z sędziów nie działa na podstawie czysto merytorycznych przesłanek.

Wpłynięcie do trybunału sprawy polskiej reformy Sądu Najwyższego dla samego trybunału stało się błogosławieństwem, ale problemem na poziomie Unii. TSUE – podobnie jak większość konstytucyjnych sądów na świecie, w tym polski TK – stara się o ciągłe poszerzanie swoich kompetencji i polski casus byłby świetną do tego okazją. Mimo że istnieją poważne wątpliwości

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. ZBYSZEK KALCMAREK/REPORTER

Unię

co do tego, czy TSUE w ogóle ma prawo zajmować się sprawą przechodzenia sędziów SN w stan spoczynku. Jego główną funkcją jest bowiem orzekanie o zgodności prawa krajowego z traktatami, przede wszystkim w sensie realizacji nakładanych przez Unię zobowiązań. Tymczasem żaden z unijnych traktatów nie mówi nic o organizacji wymiaru sprawiedliwości w państwach członkowskich – to oczywiste, bo jest to dziedzina pozostawiona suwerenności krajów UE. Jedynym punktem zaczepienia jest wspomniany ogólny zapis o „państwie prawnym".

Sami sędziowie TSUE wydają się zdawać sobie sprawę z tego, że stąpają po cienkim lodzie. Gdy trybunał decydował o zarządzeniu zabezpieczających środków tymczasowych wobec Polski, zebrała się cała izba, choć decyzję mógł podjąć jeden sędzia. Ewidentnie chodziło o rozłożenie odpowiedzialności za kontrowersyjną decyzję. Był to zresztą trzeci raz w historii, gdy TSUE zdecydował się na wprowadzenie takich środków. Wiele lat temu zdarzyło się to w stosunku do Grecji, drugi zaś raz całkiem niedawno – także wobec Polski, w sprawie o wycinkę Puszczy Białowieskiej.

Przede wszystkim jednak skierowanie sprawy do TSUE nie pozostawiało pola manewru innego niż wycofanie się z tego, co było przedmiotem wniosku KE, bo tu jechaliśmy wprost na ścianę. Niektórzy politycy PiS zawiedzeni stwierdzali, że trybunał „nie szedł na ustępstwa". Znaczyło to, że w ogóle nie rozumieją sytuacji. Z TSUE nie było już negocjacji.

EUROPEJSKA ROZGRYWKA

Przed Polską i przed całą Unią stanął natomiast bardzo istotny i kluczowy dylemat: Czy TSUE, za sprawą oporu Warszawy, wykroi sobie nowy, bardzo ważny kawałek kompetencji, czy też postawa polskiego rządu mu na to nie pozwoli? Postawa, wbrew pozorom, nie nieustępliwa, ale odwrotnie – ugodowa. Brzmi paradoksalnie? Bo w istocie to paradoks.

Gdyby Polska przyjęła postawę całkowitej nieustępliwości, sprawa zakończyłaby się prawdopodobnie niekorzystnym dla nas orzeczeniem, nakazującym powrót do konkretnego rozwiązania prawnego dotyczącego SN. A to oznaczałoby, że trybunał przyznałby sobie sam kompetencję, polegającą na nakazaniu przyjęcia konkretnego rozwiązania prawnego w państwie członkowskim, niedotyczącego sprawy ujętej wprost w jakimkolwiek unijnym akcie prawnym. Takiemu wariantowi obrotu sprawy z niepokojem przyglądano się w wielu stolicach, m.in. w Berlinie.

Wbrew antyniemieckiej propagandzie, uprawianej w niektórych prorządowych mediach w Polsce, Berlin nie kibicował tu bowiem bezwarunkowo ani KE, ani TSUE. Co znamienne, na różnych polsko-niemieckich forach w ostatnim czasie – w tym podczas polsko-niemieckich konsultacji międzyrządowych – sprawa praworządności się nie pojawiała. Owszem, pokrzykiwali o niej niemieccy publicyści, niektórzy posłowie do Bundestagu, ogniskowała emocje podczas politycznie nieznaczących spotkań jak to w Berlinie z udziałem prezydenta Dudy, ale nie było o niej słychać z rejonów rządowych czy CDU. Nie wspominała o tym Angela Merkel. Dla obecnej ekipy rządzącej Niemcami uzurpowanie sobie przez TSUE uprawnień do bezpośredniej interwencji w wewnętrzny system prawny państw członkowskich w sprawach wykraczających poza realizację jasno sformułowanego prawa UE nie jest wcale dobrym wariantem. Nie tylko zresztą dla Niemiec.

Trzeba pamiętać, że to niemiecki sąd konstytucyjny w Karlsruhe orzekł o wyższości prawa krajowego nad unijnym. Trzynaście lat temu zapadło orzeczenie dotyczące wydawania niemieckich obywateli innym państwom UE na podstawie europejskiego nakazu aresztowania. Niemiecka konstytucja w swoim art. 16 stwierdza: „Żaden Niemiec nie może być wydany innemu państwu". Federalny Trybunał Konstytucyjny uznał, że zapis niemieckiej ustawy zasadniczej ma pierwszeństwo przed prawem UE.

Polski rząd, wycofując się z wysyłania sędziów SN w stan spoczynku, w pewnym sensie uratował zatem inne kraje UE – oraz Polskę – przed agresywnym ruchem TSUE, za cenę ustąpienia z tego, co sam ogłaszał jako kluczowy element reformy.

Trudno to jednak uznać za sukces. Sytuacja przypomina do złudzenia podobne batalie, które rząd PiS ma już na koncie: o powstrzymanie drugiej kadencji Donalda Tuska na stanowisku szefa Rady Europejskiej lub o ustawę o IPN.

Jeśli spór o sądownictwo uda się zamknąć, to zdejmie to z Polski bardzo poważne obciążenie, ale dla PiS będzie zwycięstwem pyrrusowym: nie zadowoli krytyków władzy, nawet umiarkowanych, którzy ryzyka upatrują w innych rozwiązaniach (np. w personalnym składzie wspomnianej Izby Dyscyplinarnej); wzbudzi wątpliwości wśród elektoratu PiS (poza najtwardszym, który przyjmie każde wyjaśnienie bez mrugnięcia okiem); opozycji da okazję do triumfu i nadzieję, że dalszy nacisk z Brukseli może przynieść kolejne ustępstwa; alternatywie z prawej strony (jak Ruch Narodowy) pozwoli krytykować PiS za miękkość. Jeśli do tego dodamy koszty dyplomatyczne, które Polska już poniosła w wyniku trwającego całe miesiące sporu, to trzeba spytać, czy skórka była warta wyprawki. Jednak cóż – sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało. Kolejny już raz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. MARTIN BENNETT/ALAMY STOCK PHOTO/BE&GW

Twój malec też ogląda porno

Agnieszka Niewińska

Zanim dziecko zacznie myśleć o pierwszej randce, w sieci już może zobaczyć najbardziej brutalne sceny seksu. W Wielkiej Brytanii, która wprowadziła najwięcej rozwiązań chroniących najmłodszych, w sprawę osobiście zaangażowany był premier

Gdyby non stop oglądać pornograficzne filmy tylko jednego z wiodących w tej dziedzinie serwisów, zajęłoby to 68 lat. – Serwis ten corocznie chwali się tym, ile materiałów udostępnia. Podał, że w ubiegłym roku dane przesłane podczas oglądania to 3732 petabajty. Jeśli weźmiemy wszystkie iPhone'y na świecie i wypełnimy je pornografią, to będzie to mniej więcej taka liczba danych – mówi dr hab. Mateusz Gola, psycholog, ekspert w dziedzinie uzależnień z Instytutu Psychologii PAN.

SEKS NAJCZĘŚCIEJ W TELEFONIE

O ile jeszcze 10 lat temu do tego najpopularniejszego serwisu pornograficznego zaglądali internauci siedzący przed komputerami, o tyle w ubiegłym roku 75 proc. odbiorców robiło to za pośrednictwem telefonu. Telefony czynią pornografię bardziej dostępną także dla dzieci. Z badań prowadzonych w Polsce przez Instytut Profilaktyki Zintegrowanej wynika, że u nas też szybko rośnie liczba tych młodych ludzi, którzy wykorzystują telefony do oglądania pornografii. W 2014 r. 30 proc. chłopców w wieku 14–16 lat sięgających po takie treści uznawało telefon za narzędzie umożliwiające im dostęp do nich. W 2017 r. telefon wskazywało 43 proc.

– Kiedyś wyciągnięcie numeru „Playboya" z szafy wuja to było jak wyprawa na K2. Dzisiejsza młodzież pornografię ma w zasięgu ręki, w telefonie, dostępną 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu – mówił Rafał Porzeziński, trener terapii uzależnień i autor programu TVP „Ocaleni", podczas międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej przez Stowarzyszenie Twoja Sprawa (STS).

eprasa.pl 9161cd63de

Organizacja ta od dekady działa na rzecz ograniczenia dostępu najmłodszych do pornografii i eliminowania demoralizujących treści z przestrzeni publicznej.

Podczas ubiegłotygodniowej konferencji STS wraz z gronem ekspertów alarmowało, że konsumpcja pornografii przez dzieci to już zjawisko masowe i poważny problem społeczny, na który trzeba zareagować. Wśród gimnazjalistów blisko 60 proc. pytanych chłopców deklarowało, że w ciągu miesiąca sięgnęło po pornografię przynajmniej raz. 10,2 proc. robiło to trzy–pięć razy w miesiącu, 10,9 proc. od 11 do 30 razy. 11,3 proc. zadeklarowało, że pornografię ogląda częściej niż raz dziennie. Po pornografię sięga mniej dziewcząt. Do oglądania jej przynajmniej raz w miesiącu przyznało się 24,1 proc. z nich (we wcześniejszym badaniu prowadzonym w latach 2010–2014 było to 21 proc.). 52 proc. chłopców i 33 proc. dziewcząt pierwszy kontakt z pornografią miało przed 12. rokiem życia. Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej zbierał dane w latach 2014–2017 w 11 województwach na 11-tysięcznej próbie młodzieży z II i III klasy gimnazjum. – Skala konsumpcji pornografii przez dzieci jest masowa, konsekwencje szokują, ale państwo zrobiło jak dotąd niewiele, żeby te dzieci chronić – mówi Izabela Karska z STS, przypominając art. 72 konstytucji, wedle którego każdy ma prawo żądać od państwa ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją.

Problem z pornografią polega także na tym, że wielu dorosłych nie zdaje sobie sprawy, iż materiały, po które dziś mogą sięgnąć najmłodsi, znacznie się różnią od tego, co przed laty proponowano na kasetach VHS czy w tak zwanych świerszczykach. Obrazy nie tylko są bezpłatne i łatwo dostępne, lecz także wysokiej jakości. Internetowa pornografia dostarcza nieporównywalnie większej ilości bodźców, silnie oddziałuje na mózg. Dominuje w niej wulgarność i brutalność. Można trafić na wideo z bardzo młodymi kobietami, stylizowanymi na nastolatki, nie ma problemu ze znalezieniem filmów z praktykami sadomasochistycznymi.

Efektem sięgania po takie materiały może być m.in. uzależnienie, poszukiwanie coraz bardziej ekstremalnych form pornografii, wypaczony obraz zarówno zachowań seksualnych, jak i związku, negatywne postrzeganie kobiety czy trudności z nawiązywaniem relacji. Jak zwraca uwagę seksuolog dr Bogdan Stelmach, w Japonii, w której szybko rozwijały się nowe technologie, 61 proc. mężczyzn i 45 proc. kobiet w wieku 24–35 lat nie jest zainteresowanych szukaniem partnerów, tworzeniem związku, rodziny. Podczas jednego z paneli tłumaczył, że przychodzący do jego gabinetu młodzi ludzie zmagający się z nałogiem pornografii walczą z uzależnieniem latami. Często konsekwencjami nałogu są: zerwanie więzi społecznych, niechęć do wychodzenia z domu, poważne problemy w nauce.

Trwają też dyskusje naukowców nad tym, czy oglądanie pornografii wywołuje trwałe zmiany w mózgu. Doktor hab. Mateusz Gola, który ze swoim zespołem prowadził badania osób uzależnionych od pornografii oraz alkoholu i porównywał wyniki z grupą osób bez uzależnień, zwrócił uwagę, że u uzależnionych widać różnice w obszarze kory przedczołowej, która odpowiada za kontrolowanie innych obszarów w mózgu, pomaga w powstrzymywaniu się przed zachowaniami sprzecznymi z długoterminowymi celami człowieka. Pozostaje pytanie, czy są one skutkiem czy powodem sięgania po pornografię.

W przypadku osób młodych ważne jest także to, że do 20. roku życia różne obszary w mózgu stale się rozwijają, dlatego też zakazuje się małoletnim dostępu do używek, choćby alkoholu czy tytoniu. – By mieć wiążące wyniki dotyczące wpływu pornografii na mózg dzieci, należałoby dziś zacząć szerokie badania. Za 8–10 lat mielibyśmy odpowiedź – podkreśla dr hab. Mateusz Gola. Brakuje jednak podmiotów zainteresowanych finansowaniem takich badań.

LEKCJA CAMERONA

John Carr, członek zarządu brytyjskiej Rady ds. Bezpieczeństwa Dzieci w Internecie, która jest organem doradczym brytyjskiego rządu, wspominał, że pierwsze sygnały tego, jak niebezpieczna jest internetowa pornografia, wyszły od samych dzieci. Nastoletnie dziewczyny, dostrzegając różnicę między swoim wyglądem a wyglądem postaci z filmów pornograficznych, zaczęły się domagać od rodziców sfinansowania im operacji plastycznych. Carr, który na konferencji STS opowiadał o brytyjskich regulacjach ograniczających dostęp dzieci do pornografii, wspominał, że grupa inicjatywna wyszła z prostym przekazem. – Nie mówiliśmy, że pornografia jest zła dla wszystkich i trzeba jej zakazać. Postulowaliśmy, by dzieci nie miały do niej dostępu, i z tym zgadza się 99 proc. osób – mówił Carr. Inicjatorom udało się nagłośnić problem w mediach i uzyskać ich wsparcie. – A w Wielkiej Brytanii jeśli chce się zainteresować czymś polityków, trzeba zainteresować tym media. David Cameron może zawalił sprawę brexitu, ale w sprawę ograniczenia dostępu dzieci do pornografii osobiście bardzo mocno się zaangażował – żartował Carr. I dodawał: – Kiedy mówił o tym problemie, widać było, że przemawia nie polityk, ale ojciec czworga dzieci.

Jeszcze w 2004 r. brytyjscy operatorzy komórkowi podpisali porozumienie o ograniczeniu dostępu dzieci do treści niebezpiecznych (w tym pornografii). W latach 2012 i 2013 już z inicjatywy Camerona odbył się szereg spotkań z najważniejszymi dostawcami Internetu w Wielkiej Brytanii. W efekcie odbiorcy Internetu po pierwszym zalogowaniu do sieci mają blokowany dostęp do treści pornograficznych. Jeśli chcą z nich korzystać, wówczas muszą to zadeklarować przy użyciu hasła, które dostali, podpisując umowę. Dostawcy Internetu zaczęli też blokować treści pornograficzne we wszystkich publicznych sieciach Wi-Fi.

Trwają dyskusje naukowców nad tym, czy oglądanie pornografii wywołuje trwałe zmiany w mózgu

Kolejnym krokiem, na który zdecydowali się Brytyjczycy, jest obowiązek weryfikowania wieku internauty korzystającego ze stron z pornografią. Nie chodzi o okienko, w którym korzystający z Internetu jedynie zaznacza, że ma 18 lat. Użytkownik będzie przekierowany do serwisu zewnętrznej firmy, która za pomocą danych z karty kredytowej i dokumentów (np. paszportu) zweryfikuje, czy osoba, która chce skorzystać ze strony porno, ma 18 lat. Przepisy mają wejść w życie na początku 2019 r. – Właściciele stron pornograficznych to biznesmeni. Jeśli nie dostosują się do brytyjskiego prawa, nie będą mogli zarabiać pieniędzy – mówi Carr.

STS na konferencji pokazał uczestnikom, jak wygląda smartfon polskiego i brytyjskiego dziecka po wpisaniu adresu strony pornograficznej. Malec znad Wisły zobaczy wulgarne zdjęcia i filmy. Ten znad Tamizy będzie miał biały ekran.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Informacje o tym, jak chronić dzieci przed pornografią, można znaleźć na stronie www.opornografii.pl.

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. ADOBE STOCK

Po kropli do prawdy

Radosław Wojtas

Ślad biologiczny znaleziony niedawno na wannie może przesądzić o skazaniu podejrzanego o zamordowanie i oskórowanie studentki. Do zbrodni doszło 20 lat temu

Kropla krwi uwięziona między dwoma szkiełkami – tyle zostawało z ofiar Dextera, jednego z najsłynniejszych seryjnych zabójców stworzonych przez popkulturę. Poćwiartowane ciała znikały na dnie oceanu. Dexter jako seryjny zabójca, ale przede wszystkim jako technik policyjny, znakomity interpretator śladów zostawianych na miejscu zbrodni, doskonale wiedział, że może go zgubić nawet najmniejszy błąd. Miejsce zbrodni wykładał więc folią, sam ubierał się w kombinezon ochronny. Zabrana na pamiątkę kropla krwi była jedynym kamyczkiem mącącym taflę doskonałości zbrodni popełnianych przez serialowego mordercę. Sam nie zostawiał żadnych śladów.

Albo tak mu się tylko wydawało. Nie ma bowiem zbrodni doskonałej. Ślady zostają. Czasem na bardzo długo. – Miesiące, lata, czasem bardzo wiele lat. To zależy od warunków. Proszę pamiętać, że naukowcy potrafią dziś wyizolować DNA ze szczątków mumii sprzed dwóch tysięcy lat. Tym bardziej jest to możliwe po kilkudziesięciu latach, jeśli np. kropla krwi pozostała wewnątrz budynku, w sprzyjających warunkach – mówi „Do Rzeczy" prof. Brunon Hołyst, prawnik, specjalista w zagadnieniach kryminalistyki i kryminologii.

WANNA U ROBERTA

W styczniu minie 20 lat od wydarzenia, które ówczesna załoga pływającej po Wiśle barki „Łoś" zapamiętała na zawsze. W śrubę silnika wkręciła się ludzka skóra. Jak się okazało – zaginionej niemal dwa miesiące wcześniej Katarzyny, 23-letniej studentki religioznawstwa. Ktoś, kto pozbawił dziewczynę życia, zrobił to w sposób wyjątkowo okrutny. Morderca oskórował swoją ofiarę. Możliwe, że podczas zdejmowania skóry serce dziewczyny jeszcze biło.

Nic dziwnego, że o tej zbrodni mówiła cała Polska. Wymiar sprawiedliwości pracował pod ogromną presją. Mijały kolejne lata, a psychopata z Krakowa wciąż cieszył się wolnością. Musiało minąć 20 lat, by ktokolwiek za brutalny mord usłyszał zarzuty.

eprasa.pl 9161cd63de

W październiku 2017 r. policyjni antyterroryści zatrzymali podejrzanego, a prokuratura sformułowała zarzut – dokonania mordu ze szczególnym okrucieństwem. Niedawno portal Onet.pl podał informację o nowych dowodach w sprawie. – Początkowo w łazience, w mieszkaniu podejrzanego, znaleziono ślady krwi. W rezultacie zabezpieczono do dalszych badań wannę wraz ze stelażem – mówi portalowi adwokat Janusz Molis, pełnomocnik mamy zamordowanej Kasi. I dodaje, że na wannie znaleziono ślad biologiczny oraz że „biegły specjalista z zakresu badań tego rodzaju materiału biologicznego, z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, stwierdził, że są to szczątki Katarzyny Z.".

Informację o zabezpieczeniu śladów biologicznych potwierdza nam rzeczniczka Prokuratury Krajowej Ewa Bialik. – Trwa postępowanie przygotowawcze, jego etap nie pozwala na informowanie o rodzaju zabezpieczonego materiału biologicznego – mówi rzeczniczka PK. Dodaje, że w ocenie biegłych zabezpieczony materiał biologiczny z wysokim prawdopodobieństwem pochodzi od pokrzywdzonej.

W języku biegłych i wymiaru sprawiedliwości „wysokie prawdopodobieństwo" praktycznie oznacza pewność. Ten słowny margines dawany jest na wypadek, gdyby kiedyś pojawiły się jeszcze bardziej dokładne metody badawcze, choć te stosowane dzisiaj nie pozostawiają wątpliwości. Dla przykładu: kiedy skazywano Tomasza Komendę, margines błędu badań DNA wynosił 0,001 proc. Dziś zer między przecinkiem a jedynką jest kilkanaście. Praktycznie pewność.

To ważny dowód, bo wcześniej Robert J. nie przyznawał się do znajomości z zamordowaną studentką. Szalenie istotne jest jednak ustalenie, jak ślad biologiczny powstał. – Prawdopodobieństw jest sporo. DNA mogło się tam znaleźć jeszcze za życia osoby, która je zostawiła. Ludzkie ciało produkuje bowiem substancję tłuszczowo-potową, która jest niezwykle odporna na upływ czasu i na negatywne czynniki. Mogą to być również krew, włosy lub cebulki włosowe, które przylgnęły do emaliowanej ściany wanny, mogą to być substancje pozostawione przez rozczłonkowane ciało, np. ludzki tłuszcz – wymienia prof. Bronisław Młodziejowski, biolog, jeden z najlepszych w Polsce specjalistów w zakresie biologii kryminalistycznej.

Dlatego tak ważne, a jednocześnie przy mikroskopijnym śladzie biologicznym trudne, jest ustalenie, czym ów ślad jest. – Kolokwialnie mówiąc, jest to wyższa szkoła jazdy, wymagająca umiejętności, które dziś już zanikają. Trudno mi się z tym pogodzić, ale często genetycy badający materiał nie określają, z czym mają do czynienia. Większość naszych genetyków nie robiła wcześniej żadnych badań biologicznych, kiedy nie było jeszcze badań DNA, kiedy trzeba było zrobić badanie jakościowe, czyli sprecyzować, czym w istocie jest badana substancja. W Polsce jest dosłownie kilka osób w pełni do tego przygotowanych, posiadających kompetencje i doświadczenie – mówi prof. Młodziejowski. – A trzeba dać odpór zarzutom, że znaleziono ślad biologiczny, ale nie sprecyzowano jaki – dodaje.

ŚLAD W MARMURZE

Dopóki prokuratura nie ujawni, jaki ślad znaleziono na wannie Roberta J., dopóty trudno powiedzieć, czy mężczyzna próbował zatrzeć ślady po ewentualnej zbrodni. Nawet jeśli taką próbę podjął, to specjaliści i tak mogli odkryć pozostałość np. po plamie krwi.

W willi Pniewskiego przy al. Na Skarpie 27 w Warszawie, gdzie obecnie swoją siedzibę ma Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk, do dziś przetrwały ślady krwi powstańca warszawskiego. Świadectwo zaciętych walk, teraz chronione przez szkło, przez lata nie było niczym zabezpieczone. Tysiące podeszw i obcasów, pociągnięć ścierki i mopa, chemia używana do czyszczenia klatki schodowej nie wywabiły śladu z marmuru. Nawet po wielu latach plamy krwi mówią bardzo dużo.

Profesor Bronisław Młodziejowski był w grupie specjalistów badających to miejsce w późnych latach 70. – Na podstawie kształtu, wielkości i rozmieszczenia oraz jakościowych badań biologicznych ustaliłem, że jest to krew najprawdopodobniej powstańca, który obsługiwał ciężki karabin, został trafiony w brzuch, usiłował się podnieść na zakrwawionej dłoni, upadł, potem był niesiony po schodach... – z filmową szczegółowością opisuje prof. Młodziejowski. – Szczególne właściwości krwi dają możliwość jej ujawnienia po wielu dziesiątkach lat – mówi.

PRECEDENS

W sprawie morderstwa Katarzyny z Krakowa wciąż trwa postępowanie prokuratorskie. Podejrzany od chwili zatrzymania przebywa w areszcie. Dlaczego przygotowanie aktu oskarżenia trwa tak długo? – Postępowanie w tej sprawie ma charakter wyjątkowo skomplikowany, wielowątkowy i w wielu aspektach absolutnie precedensowy. Charakter tej zbrodni wykracza dalece ponad to, z czym do tej pory spotykali się specjaliści z zakresu kryminalistyki, także światowej – mówi w rozmowie z Onetem pełnomocnik mamy ofiary, wykazując zrozumienie dla niespiesznej pracy prokuratury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. NETFLIX

Pewnego razu w Meksyku

Piotr Gociek

Pierwszy sezon „Narcos: Mexico" to opowieść o narodzinach pierwszego meksykańskiego kartelu narkotykowego i jego twórcy – Félixie Gallardo

Pierwsze dwa sezony serialu „Narcos" były opowieścią o łowach na Pabla Escobara i przemocy. Trzeci – o kartelu z kolumbijskiej Cali i korupcji. W czwartym przenosimy się do Meksyku, by poznać zupełnie nowych bohaterów (po obu stronach barykady), ale nade wszystko jest to opowieść o systemie.

Akcja „Narcos: Mexico" rozgrywa się równolegle do wypadków, które poznaliśmy w poprzednich sezonach. Podczas gdy w Kolumbii wschodzi gwiazda Escobara i wzrastają kokainowe imperia, w Meksyku również nadchodzą wielkie zmiany. Pierwsza to skokowy wzrost produkcji i jakości meksykańskiej specjalności – marihuany. Druga to kres dotychczasowego podziału przestępczego podziemia na dziesiątki konkurujących ze sobą gangów. Konsolidacja to przyszłość, mniej ofiar, a więc mniejsze zainteresowanie ze strony władz. Tym zmianom bezsilnie przypatrują się oddelegowani do zagranicznych biur agenci DEA (amerykańskiej agencji do zwalczania narkotyków). Obserwują, gromadzą dane, alarmują, jednak nikt się tym nie przejmuje. A już najmniej meksykańskie władze przeżarte korupcją i patrzące na działalność narco trafficante przez palce. Wśród tych agentów jest Enrique „Kiki" Camarena.

AGENT, KTÓREMU SIĘ CHCE

„Kiki Camarena przez cztery lata tworzył mapę sieci wielkich miejscowych handlarzy kokainy i marihuany" – pisze Roberto Saviano (autor „Gomorry") w książce o handlu kokainą zatytułowanej „Zero zero zero". „Zakiełkowała mu myśl, żeby przeniknąć do środka, ponieważ policyjne operacje skutkowały aresztowaniami campesinos, dilerów, kierowców, kilerów, podczas gdy problem tkwił gdzie indziej. Kiki usiłował przeniknąć coraz głębiej do narkobiznesu Złotego Trójkąta, czyli terytorium obejmującego stany Sinaloa, Durango i Chihuahua, strefy ogromnej produkcji marihuany i opium. Matka Kikiego martwiła się i była temu przeciwna. Kiki jednak powiedział: – Nawet jako jednostka mogę zrobić różnicę".

W „Narcos: Mexico" rolę Kikiego gra Michael Peña, niesłusznie kojarzony przez szeroką publikę głównie z komicznymi kawałkami w stylu włamywacza Luisa z „Ant-Mana". Tymczasem jest to aktor obdarzony sporym talentem dramatycznym, czego dowodził w takich filmach jak „Mia-

eprasa.pl 9161cd63de

sto gniewu" Paula Haggisa czy „Bogowie ulicy" Davida Ayera. Zmęczony pracą bez efektów w USA, pomijany przy awansach „Kiki" podejmuje ryzyko i przyjmuje transfer do Meksyku. Wraz z żoną i dzieckiem trafia do Guadalajary. Peña świetnie oddaje na ekranie jego głuchy upór, pracowitość, a kiedy trzeba – także frustrację. Jako jego żona Mika dobrze wypada Alyssa Diaz, znana przede wszystkim z amerykańskich tasiemców telewizyjnych, choć ostatnio widzieliśmy ją także w serialu „Ray Donovan".

Kiki Camarena to ciekawe rozszerzenie galerii antynarkotykowych agentów przedstawianych w „Narcos". Steve Murphy (grał go Boyd Holbrook) ścigający Escobara przedstawiony był jako naiwny amerykański kowboj, który dopiero w Kolumbii zderza się z prawdziwą robotą. Javier Peña (w tej roli pamiętamy Pedra Pascala) był weteranem bez złudzeń: wiedział, że na Południu czasem trzeba pobrudzić sobie ręce, by dotrzeć do prawdy, zdawał sobie także sprawę z tego, jak skorumpowane są lokalne władze i siły porządkowe.

Camarena to z kolei człowiek, który chce naprawiać świat nawet kosztem własnych poświęceń. Jego charakter świetnie oddaje anegdota, którą opowiada jego serialowa żona. Zaraz po awansie na agenta DEA przyuważył pewnego gościa palącego marihuanę w toalecie. Natychmiast interweniował, lecz pech chciał, że nadział się na czterech miłośników zioła, którzy w dodatku dotkliwie go pobili. Zapytany, czy było warto, Camarena odparł z uśmiechem: „Było. Przecież mogłem ich przyłapać tylko na paleniu trawki, teraz mam ich także za napaść".

MÓZG Z SINALOA

Teraz o czarnych charakterach. Poznajcie głównego przeciwnika: to Miguel Ángel Félix Gallardo. Dla przyjaciół po prostu Félix. Dla innych bandziorów – El Padrino (ojciec chrzestny). Gra go Diego Luna, uwielbiany w Meksyku, a od 2001 r., czyli od roli w „I twoją matkę też" Alfonso Cuaróna (film przyniósł mu rozpoznawalność na rynkach zagranicznych), robiący karierę także w produkcjach anglojęzycznych (ostatnio choćby w „Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie").

Gallardo w chwili, gdy go poznajemy, jest dopiero na początku kariery. Trochę służył w policji, potem był ochroniarzem syna gubernatora stanu Sinaloa. Teraz mierzy wyżej, chciałby się wybić w przestępczej organizacji lokalnego watażki zwanego Lwem z Sinaloa. Ponieważ władze prowadzą właśnie za pomocą wojska brutalną pacyfikację rejonów, w których uprawia się marihuanę, Gallardo proponuje wejście w układ z konkurencją z Guadalajary. I sam jedzie negocjować porozumienie. Od samego początku prowadzi jednak własną grę, nie zamierza być niczyim podwładnym, prawą ręką, współpracownikiem. Na szczycie, jak wiadomo, zwykle miejsce jest tylko dla jednego.

Gallardo w interpretacji Diega Luny to czarny charakter odmienny od tych, których poznaliśmy w trzech poprzednich sezonach „Narcos". Escobar, wiadomo, był wybuchowy, okrutny, wściekły, prawdziwy stereotyp nieokrzesanego kolumbijskiego bandziora. Dżentelmeni z Cali (główni bohaterowie trzeciego sezonu) prowadzili swoje interesy w zaciszu bankowych gabinetów, oficjalnie uchodzili za nieskalanych grzechem przedsiębiorców, którym udało się, gdyż byli wielce utalentowani, wielce pracowici i w dodatku wielce ujmujący.

Félix Gallardo zaś to w „Narcos: Mexico" niemal ktoś w rodzaju Jaya Gatsby'ego z powieści F. Scotta Fitzgeralda. Za wszelką cenę chce wydobyć się z nizin, wkroczyć

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
wprost
Do Rzeczy
Gazeta Bankowa
Gitarzysta
WP
cgm.pl
video
Multikino
Press Service
pap
STRÖER
VIXON

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. NETFLIX

na salony i dorównać tym, którzy mają prawdziwą władzę i bogactwo. Tyle że oczywiście nie robi tego z miłości do Daisy Buchanan, lecz dla siebie, dla zaspokojenia własnych ambicji. Mozolnie pnie się w górę, ale gdy tylko osiągnie kolejny sukces, słyszy od potężniejszych i bogatszych od siebie, że powinien znać swoje miejsce i nie zapominać, iż jest jedynie parweniuszem doproszonym do stołu przez elitę. Za każdym razem zaciska zęby i rusza dalej, jeszcze bardziej zawzięty, jeszcze mocniej poprzysięgając sobie, że nie zatrzyma się dopóty, dopóki nie wejdzie na sam szczyt.

Diego Luna wypada w tej kreacji wiarygodnie. Kiedy trzeba, jest przerażający, kiedy indziej odpowiednio sympatyczny, a biorąc pod uwagę prawdę historyczną, zdecydowanie zbyt ludzki. Gdy sięgniemy bowiem do źródeł, odkryjemy, że twórcy serialu mocno złagodzili jego ponurą historię.

PRAWDA O PANU GALLARDO

Znów odwołam się do książki Roberto Saviano, bo to najlepiej napisana z dostępnych po polsku publikacji, w których pojawia się przemytnik z Sinaloa. „Félix Gallardo pracował w federalnej policji kryminalnej w Meksyku. Przez lata aresztował, ścigał przemytników, badał ich metody, odkrywał ich trasy. Wiedział wszystko. Był ich łowcą. Pewnego dnia poszedł do szefów kontrabandy i zaproponował, żeby się zorganizowali, ale pod jednym warunkiem: że na szefa wybiorą jego. Ci, którzy się zgodzili, wstąpili do organizacji, ci, którzy woleli nadal funkcjonować w pojedynkę, zyskali swobodę działania. I byli stopniowo zabijani" – relacjonuje włoski reporter. „Dla Félixa Gallarda skończył się czas munduru, a zaczął się czas transportu marihuany i opium. Osobiście poznawał wszystkie drogi dostępu do Stanów Zjednoczonych. Poznawał je piędź po piędzi, wyznaczając, gdzie konie i ciężarówki mają się wspinać, a gdzie wymykać. W tamtym okresie w Meksyku nie było karteli. Zamiast nich był Félix Gallardo".

Zatem nie biedaczyna z Sinaloa, który chcąc zapewnić rodzinie miskę strawy, zdecydował się na jedną czy drugą łapówkę, a potem na terminowanie u prawdziwych narcos, tylko doświadczony wyga, który latami przygotowywał się do mocnego wejścia w brudny biznes. Nie targany rozterkami parweniusz, na którego twarz Diego Luna nazbyt często przywołuje cierpiętnicze maski, ale zabójca z zimną krwią, zresztą bezbrzeżnie okrutny, kiedy wczytamy się w opisy tego, co zwykł robić swoim przeciwnikom.

Także serialowy portret agenta DEA Camareny w niewielkim tylko stopniu oddaje ogrom jego osiągnięcia, odwagi, poświęcenia. Pod przykrywką pracował latami. Gwarantował organizacji Gallardo bezkarność od Guerrero do Kalifornii Dolnej. Wżerał się w cielsko przestępczej organizacji jak czerw, żył z nimi, pił z nimi, organizował transporty, robił wszystko, by zostać wzorowym narco. Prowadził potrójne życie. Oficjalnie – gliniarz. Nieoficjalnie – przemytnik. A tak naprawdę agent DEA. W uznaniu jego zasług dopuszczono go do rozmaitych tajemnic. „Kiki przepuszczał narkotyki wszędzie z największą łatwością, a klan El Padrina chętnie płacił. Wydawało się, że Kiki potrafi przekupić każdego, przepuścić gładko wszystko to, co powinno przekroczyć granicę amerykańską" – tłumaczy Saviano. I konkluduje: „Właśnie dzięki najwyższemu zaufaniu, jakie sobie z czasem zaskarbił, zaczęto mówić mu o czymś, o czym nie opowiadano nikomu".

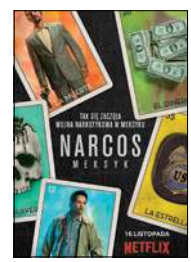

★★★★☆☆

„NARCOS: MEXICO", SEZON 1 (USA 2018)
wyst. Michael Peña, Diego Luna, Alyssa Diaz, dystr. Netflix

MEKSYKAŃSKA OŚMIORNICA

Czas wyjaśnić, co miałem na myśli, pisząc na początku, że nowy sezon „Narcos" jest opowieścią o systemie. W pewnym sensie nawet o dwóch systemach – pierwszy to ten, który wprowadza w życie El Padrino, tworząc z odrębnych plazas, lokalnych meksykańskich grup przestępczych, jedną wspólną organizację. Gallardo to innowator, organizator, perfekcjonista.

Ważniejszy jest jednak w tej opowieści drugi system, meksykański system zinstytucjonalizowanej korupcji i więcej – współuczestnictwa w przestępstwie. Biorą wszyscy – od najniższego stopniem funkcjonariusza policji czy straży granicznej, który w odpowiedniej chwili odwraca wzrok, przez oficerów, dowódców do generałów i dyrektorów. Biorą bankierzy i adwokaci, biorą tajni agenci i politycy. Na tym jednak nie koniec. Szczególnie ci ostatni nie tylko są na liście płac kartelu, lecz także biorą czynny współudział w przestępczym procederze. Masz kłopoty z lokalnym konkurentem, który przekupił stanową policję? Zapłać federalnym, oni za ciebie zrobią najazd na narkotykowy magazyn, wystrzelają konkurencję, odzyskają twój towar i jeszcze w mediach będą mogli opowiadać, jak skutecznie zwalczają przemytników narkotyków. Nie masz dobrych układów z federalnymi? Pogadaj ze swoimi politycznymi przyjaciółmi w Mexico City, oni napuszczą na konkurencyjne plantacje wojsko. Brużdżą ci amerykańscy agenci DEA? Spokojnie, na pewno znajdziesz w dyplomacji kogoś, kto będzie miał dostęp do przekazywanych Meksykowi w ramach współpracy najtajniejszych dokumentów. I tak dalej.

Koszmar nie ma końca, za każdą zerwaną zasłoną kryje się kolejna, każdy kolejny przedstawiciel coraz to wyższych szczebli władzy, do którego zwracają się prowadzący wojnę z Gallardo, zamiast ukarać skorumpowanego podwładnego, sam okazuje się jeszcze bardziej skorumpowany. Ważni politycy, najważniejsi biznesmeni – wszyscy robią w narko-

eprasa.pl 9161cd63de

tykach. Jak walczyć z przeciwnikiem, który ma w swoich szeregach ministrów, prokuratora generalnego, szefów służb specjalnych i oligarchów?

Historia serialowych zmagań agenta Camareny z organizacją kierowaną przez Gallardo zaczyna więc klimatem przypominać głośny swego czasu włoski serial „Ośmiornica". Była to opowieść o ostatnim sprawiedliwym, komisarzu Corrado Cattanim (Michele Placido) i jego nierównym boju z sycylijską mafią. W tym przeboju małoekranowej rozrywki lat 80. w niemal każdym odcinku powtarzała się ta sama figura: już zdawało się, że jakiś świadek będzie zeznawał, ale bach! Ginął. Już udawało się znaleźć jakiegoś uczciwego sędziego, ale bach! Trup na miejscu albo jednak dwulicowy oszust. Niekończąca się opowieść, w której za każdym ponurym zwrotem akcji czekał na widza kolejny – jeszcze bardziej ponury.

WŁOSKA LEKCJA

Podobieństwo nie powinno dziwić – książka Roberto Saviano „Zero zero zero", o której tyle wspominam, zaczynała się od opisu nietypowego szkolenia dla przestępców. Doświadczony włoski mafioso tłumaczył swoim latynoskim partnerom zasady prowadzenia biznesu i życia „ludzi honoru". Przemowę nagrał zakonspirowany policyjny agent. Słuchaczami było „zgromadzenie Meksów, Włochów, Amerykanów włoskiego pochodzenia, Albańczyków i byłych kaibilów, członków gwatemalskich szwadronów śmierci". Meksykańskie kartele narkotykowe prześcignęły mistrzów ze Starego Kontynentu. Nie ma dziś na świecie bardziej przerażającego przestępczego imperium śmierci.

„Narcos: Mexico" powrócą w kolejnych sezonach. Wszak historia Félixa „El Padrino" Gallardo to dopiero początek długiej, przerażającej sagi przemocy. Jestem przekonany, że przynajmniej dwa sezony są już w przygotowaniu, tak by meksykańska odnoga serialu dorównała długością tej wcześniejszej, kolumbijskiej. Nowi widzowie mogą oglądać tę produkcję bez znajomości sezonów poprzednich, starzy widzowie docenią nawiązania do pierwszych serii. Oto jednym z lokalnych watażków, których skupi wokół siebie El Padrino, jest Amado Carrillo Fuentes (gra go José María Yazpik), czyli ten sam bohater, który pomagał dżentelmenom z Cali w przerzucie kokainy. Do samych dżentelmenów (znaczy – do braci Ochoa) zapuka Gallardo, gdy zechce przerzucić się z produkcji marihuany na przemyt kokainy. Wśród wpatrzonych w Gallardo jak w tęczę młodych bandziorów jest też młody, czupurny El Chapo.

★★★★★☆
ROBERTO SAVIANO „ZERO ZERO ZERO" SONIA DRAGA 2014

Jak widać, dróg do rozmaitych kontynuacji jest wiele, tak jak wiele lat trwa wielka meksykańska wojna przeciw narkotykom. Autorzy serialu zapowiadają zresztą we wstępie, że to ów konflikt, który pochłonął wiele tysięcy ofiar, będzie przedmiotem opowieści. Na razie widzimy jedynie preludium. A sam Miguel Ángel Félix Gallardo? Nie mam dobrych wiadomości. Co prawda w więzieniu, ale żyje i ma się dobrze. Pisze pamiętniki. Fragmenty można było przeczytać w meksykańskim piśmie „Gatopardo". Ech, chciałoby się czasem, żeby sprawiedliwość była bardziej sprawiedliwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZBIGNIEW PREISNER I PRZYJACIELE
„STARE I NOWE KOLĘDY"
zaśpiewają:
Beata Rybotycka, Edyta Krzemień, Joanna Pocica, Maciej Balcar, Zbigniew Preisner, Zespół Jana Karpiela Bułecki
10 stycznia 2019 – ICE Kraków Congress Centre
14 stycznia 2019 – Narodowe Forum Muzyki Wrocław
15 stycznia 2019 – Torwar Warszawa
16 stycznia 2019 – Filharmonia Bałtycka Gdańsk
17 stycznia 2019 – CKK Jordanki Toruń
19 stycznia 2019 – Sala Ziemi Poznań
BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl
Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
15 Classic
wprost
Do Rzeczy
T3
WP
trojmiasto.pl
cgm.pl
Multikino
empik
pap
STRÖER
VIXON
PRESS SERVICE

eprasa.pl 9161cd63de

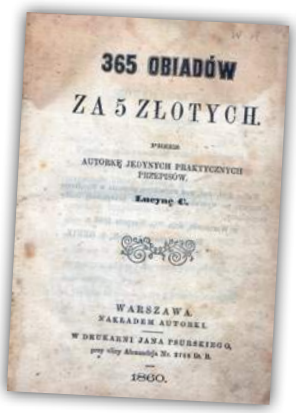

Z Martą Sztokfisz, pisarką

rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Kucharka narodowa

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Nazwisko Lucyny Ćwierczakiewiczowej kojarzy się oczywiście z kuchnią.

MARTA SZTOKFISZ: Jej nazwisko może powiewać na sztandarach z hasłem: „Teraz Polki". Miała ogromne zasługi edukacyjne, zmieniła nie tylko naszą kuchnię, wprowadzając do niej jarzyny i zabierając smalec, lecz także przewietrzyła ludziom mieszkania oraz głowy. Uczyła, instruowała w czasach, kiedy kobietom nie wolno było studiować ani o sobie decydować. W drugiej połowie XIX w., całkiem niedawno, był to przywilej ojca, później męża. Ćwierczakiewiczowa jest prekursorką współczesnych kobiet biznesu. Odważna, nowoczesna, łamała bariery, nie liczyła się ze śmieszną, sztuczną etykietą. W działaniach i sposobie życia wyprzedziła swą epokę. Uważała, że kobiety mogą stworzyć gospodarczą potęgę. Uporczywie i skutecznie przekonywała je, by same kształtowały swój los. Nie tylko nakłaniała do konkretnych zajęć, lecz także ich uczyła, podawała nawet adresy ewentualnych kontrahentów. W jej książkach, kalendarzach i artykułach znajdziemy szczegóły dotyczące np. suszenia owoców, robienia nalewek, zbierania ziół, krawiectwa, higieny, nawet hodowli jedwabników. Propagowała to z zapałem w prasie, głównie w redagowanym przez kilka dekad dodatku do „Bluszczu" – wtedy topowego tygodnika lifestyle'owego – oraz w swoich „Kalendarzach. Kolędzie dla gospodyń". Wbrew muzycznie brzmiącemu tytułowi to poradniki ułatwiające prowadzenie gospodarstwa miejskiego i wiejskiego. Jej wizytówkę stanowi wciąż wznawiana książka „365 obiadów za 5 złotych".

Wsparłaby dziś ruch feministyczny?

Wspierałaby to, co mądre, służące kobiecie, rodzinie. Wyróżniała się temperamentem, ciętym językiem, rubasznym poczuciem humoru, postulowała emancypację kobiet, nakłaniała do ograniczenia męskiej dominacji i kurateli (kobietom nie uchodziło wejść do restauracji czy kawiarni), lecz zacietrzewienie ideologiczne było jej obce.

Na jej drogę życiową wpłynęło kalwińskie wyznanie...

... oraz ambicja i charakter, który w sobie kształtowała. Protestantyzm hołduje kultowi pracy i operatywności. Krzewi idee działalności gospodarczej. Wprawdzie ojciec Ćwierczakiewiczowej, Fryderyk von Bachman, radca prawny w Komisji

Lucyna Ćwierczakiewiczowa na zdjęciu opublikowanym w „Biesiadzie Literackiej" z 1901 r. FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 9161cd63de

Rządowej Przychodów i Skarbu, osierocił córkę, gdy miała sześć lat, a matka, Henrietta z Buecklingów, wyszła ponownie za mąż za emerytowanego pułkownika, lecz nie zmieniło to gradacji wartości wpajanych Lucynie. Skrzydeł dodała jej odwaga robienia tego, co interesujące, ważne i potrzebne.

Fortunę zdobyła wyłącznie piórem?

Przez wiele lat prowadziła własny wydawniczy biznes. Dziesięć książek ciągle wznawianych, 26 roczników kalendarzy sama musiała promować. Była prekursorką tego fachu, czego nie doceniano, lecz złośliwie wypominano: „Jest jak rtęć, wszędzie się wciśnie". Znacznie większa część Królestwa Polskiego ją wielbiła, ponieważ rady czerpane z jej książek ułatwiały życie. Prowadziła też kursy przysposobienia kulinarnego dla pań, trzymiesięczna edukacja kosztowała 50 rubli. W 1884 r., 16 lat przed śmiercią, publikacje przyniosły bohaterce mojej książki 84 tys. rubli – równowartość czterech folwarków albo dwóch kamienic. „365 obiadów..." doczekało się od premiery w 1860 r. do śmierci autorki (rok 1901) 20 wznowień, każde w kilkutysięcznym nakładzie. Ten bestseller – przewyższający nakłady prozy Bolesława Prusa, z którym łączyła ją zażyłość – zagwarantował Ćwierczakiewiczowej tytuł kucharki narodowej, a ona zyskała status polskiego Anthelme'a Brillat-Savarina (autora ponadczasowej „Fizjologii smaku") polskiej gastronomii.

Życzliwość Prusa zapewniły jej apetyczne podarunki?

Była pod wrażeniem jego pisarstwa, intelektu, wrażliwości społecznej, pracowitości... On zaś cenił jej kreatywność i publikacje. Mieli podobne pozytywistyczne postrzeganie rzeczywistości. Spotykali się nie tylko w stołecznych kawiarniach czy na wyścigach konnych przy Polu Mokotowskim, ówczesnym deptaku stolicy, lecz także w Nałęczowie, dokąd oboje podążali reperować zdrowie. Walcząca z nadwagą Ćwierczakiewiczowa łączyła kurację z filantropią. Wygłaszała prelekcje połączone z charytatywnymi zbiórkami na ubogich. Autor „Lalki", którą Lucyna była zachwycona od powieściowego pierwodruku w „Kurierze Codziennym", należał do nielicznego grona literatów doceniających sztukę kulinarną. Regularnie omawiał w prasie edycje „Kalendarzy". Do wysyłanych egzemplarzy Lucyna dołączała własnej roboty konfitury albo nalewki. Prezenty nie wpływały jednak na recenzenta. Oceniał „Kalendarze" pochlebnie, choć nie bezkrytycznie, wytykając autorce popieranie grafomanii, gdy między poradami i przepisami zamieszczała kiepski wiersz.

Dlaczego rzuciła klątwę na dostojnika Kościoła?

Zdarzyło się to w 1862 r. w staromiejskiej katedrze pw. św. Jana. Warszawiacy przypuszczali, błędnie, jak się okazało, że nowo mianowany arcybiskup, Zygmunt Szczęsny Feliński, dostał nominację z poręki Petersburga. W tym przekonaniu utwierdziło ich to, że w pierwszym kazaniu po objęciu zaszczytnej funkcji zaapelował do wiernych, by nie śpiewali w kościołach pieśni patriotycznych. Wzburzyło to obecnych w świątyni – wielu ją opuściło. Wtedy Ćwierczakiewiczowa podeszła do ołtarza i wykrzyczała – tu oddajmy głos Zofii Kossak-Szczuckiej: „Powolny sługo carski, arcybiskupie Feliński, w imieniu dobrych Polaków, co wyszli z katedry, w imieniu całego narodu polskiego, przeklinam ciebie, przeklinam do trzeciego pokolenia!". Wywołała skandal, gratulowano jej odwagi, incydent przeszedł do legendy. Impulsywna i tym razem działała pod wpływem emocji, czego dowodzi konkluzja klątwy – przecież duchownych katolickich obowiązuje celibat.

Jak wyglądało życie osobiste królowej polskiej kuchni?

Miało dwie odsłony. Pierwsze małżeństwo z Feliksem Staszewskim, ziemianinem spod Pułtuska, szybko zakończyło się rozstaniem. Czuła się w jego posiadłości jak w więzieniu, mąż ją zdradzał, lekceważył. Drugi związek – z inżynierem Stanisławem Ćwierczakiewiczem – też zawarła w obrządku katolickim. Pozostaje zagadką, jak do niego doszło, skoro kościelnego unieważnienia wcześniejszego sakramentu ślubu nie było. Z drugim mężem stanowili zgraną i kochającą się parę. Wychowali przysposobioną dziewczynkę z przytułku. Gdy Lucyna owdowiała, korzystała z pomocy dam do towarzystwa. W ciągu 16 lat przez jej mieszkanie w eleganckiej kamienicy przy ul. Królewskiej 3 przewinęło się 36 kobiet. Na swoje nieszczęście Lucyna opisała je potem w jednej z „Kolęd dla gospodyń". Szczera, chwaliła ich zalety, wypomniała słabości i wady. Prasa ją za to schłostała. Wykorzystano okazję do oczernienia i poniżenia popularnej pisarki, nazwano ją „groszorobem, myślącym tylko o pieniądzach". Pierwszy raz w życiu Lucyna się tłumaczyła, przepraszała publiczne za tę niestosowność. I to załamało kreatywną, bojową kobietę. Przestała bywać w salonach, na wernisażach i premierach, zawiesiła wydawanie „Kalendarza", odsunęła się na bok.

W książce „Pani od obiadów" przywołuje pani przepisy Ćwierczakiewiczowej, niektóre niesłychanie fantazyjne, jak np. na kaczkę pieczoną w cieście.

To bardzo wykwintne danie, podawane na przyjęciach jednego z francuskich prezydentów, wymagające nadzwyczajnego kunsztu. Kaczka sprowadzana z odpowiednich miejsc, należycie młoda, pieczona w cieście pięknie wyglądała i wybornie smakowała. Jednak od Ćwierczakiewiczowej warto było uczyć się innych, znacznie prostszych rzeczy. Tego np., by kuchnię utrzymywać w sterylnej czystości – jak laboratorium. Uczyła gotowania, ale i szeroko rozumianego życia. Prowadziła też

eprasa.pl 9161cd63de

kampanię przeciwko – to nie żart – kołtunowi polskiemu. Połowa XIX w., a o zachowaniu czystości, higieny wielu naszych rodaków nie miało pojęcia.

Do kogo pani bohaterka adresowała swoje przepisy?

Do ludzi swojego stanu, a także do tych z piętra niżej. Obok wyszukanych potraw podaje przepisy na prażuchę czy brukiew. Wśród jej propozycji są też zadziwiające dania, takie jak zupa sago na winie czy sałata podawana nie jako surówka, lecz jarzyna. Wzruszyłam się, kiedy znalazłam w „365 obiadach..." przepis na zupę „nic", którą pamiętam z domu rodzinnego, z delikatnymi płateczkami i chmurkami białka na wierzchu.

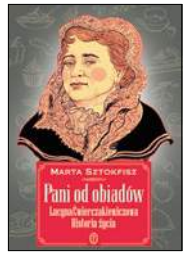

MARTA SZTOKFISZ „PANI OD OBIADÓW. LUCYNA ĆWIERCZAKIEWICZOWA. HISTORIA ŻYCIA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2018

Podobnie jest z zapomnianą, a bardzo smaczną zupą cytrynową. Dlaczego te dania wyparowały z naszego jadłospisu?

Bo nie mamy służby ani czasu, by te smakowite, ale często wymagające trudu potrawy przyrządzać. A Ćwierczakiewiczowa przestrzegała: „Najlepsza gospodyni bez kucharki jest zgubiona. Całe dnie spędzając w kuchni, przesiąknie smrodem smażeniny, zamiast świeża i uśmiechnięta usiąść z mężem do stołu. Pomoc w domu jest do życia niezbędna jak powietrze". Gdybym była zamożna, nie kupowałabym torebek od Prady, lecz zafundowała sobie taką pomoc.

Wypada życzyć, by sukces „Pani od obiadów" umożliwił pani realizację tego planu. Jednak spytamy jeszcze o konkurencję Ćwierczakiewiczowej. Czemu do historii przeszła właśnie ona, a nie jej rywalki, też pisujące o kuchni ze znawstwem i z zapałem?

Owszem, była np. Wincentyna Zawadzka, autorka „Kucharki litewskiej", lecz to Lucyna przekonała społeczeństwo, że mamy polską kuchnię, której nie powinniśmy się wstydzić, że można czerpać wzory, inspirować się kuchnią francuską, ale pamiętać o rodzimych tradycjach, o potrawach, w których gustowały nasze matki. I uczyć się przepisów – zarówno skomplikowanych, jak i najprostszych. Warto np. zapamiętać, by zamiast mąki zagęścić zupę surowym jajkiem roztrzepanym w wazie, zanim wlejemy doń wywar. Pamiętam, pamiętam, wtedy nie było salmonelli, ale damy radę – przed użyciem sparzymy jajko nawet trzykrotnie.

Czy „365 obiadów..." rzeczywiście zawiera także żartobliwie brzmiące receptury w rodzaju: „Weź sześć dziewek, posadź je przy stole, niech łuskają orzechy"?

Albo przepis na wyborną polędwicę: „Weź pół wołu, wytnij polędwicę, a resztę oddaj gawiedzi"... Nie, niczego takiego tam nie ma. Lucyna inspirowała twórców mitów i facecji, a z tego wołu zrobiłaby przetwory na pół roku. Gospodarna, oszczędna, bogacenie się łączyła z filantropią. Taką była nasza narodowa kucharka, spoczywająca w skromnym grobie na tyłach najokazalszej kaplicy cmentarza ewangelicko-reformowanego w Warszawie przy ul. Żytniej, gdzie pochowani są Kronenbergowie, do których bywała zapraszana, co poczytywała za honor. Niestrudzenie parła do przodu, nie tracąc serca, nie zamykając portfela dla ubogich. Chciała wiedzieć i znaczyć więcej – dla pożytku boskiego, osobistego i społecznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zupa cytrynowa

Ugotować jak zwyczajnie rosół z mięsa wołowego, potem wziąć pół kwarty śmietany na półgarncowy garnek zupy, 3 żółtka, sok z jednej dużej cytryny, rozbić to dobrze i rozprowadzić masłem. Do tej zupy gotuje się osobno z masłem kasza perłowa lub ryż, i po zaprawieniu rozbiwszy kaszę łyżką, żeby zupa nabrała zawiesistości, wkłada się garnek, dla zagotowania z zaprawą. Ta zupa daleko częściej bywa podawana postną: wtedy zamiast rosołu ugotować smak z włoszczyzny, suszonych grzybów, cebuli i nieco korzeni, osobno zaś rozgotować kaszę perłową z masłem, rozbić ją do białości i rozprowadzić przecedzonym smakiem. Na wydaniu zaprawić śmietaną, wcisnąć cytrynę i dać się raz zagotować. W wazie powinny być plasterki cytryny cienko pokrajane. Można do tej zupy zamiast kaszy użyć ryżu, a będzie bielsza.

Knel z cielęciny lub drobiu do sosów i zup

Knelem zowie się najdelikatniejszy farsz, jaki sztuka kulinarna posiada w swej wiedzy, a który podaje się w wykwintnych zupach lub potrawach. Pół funta cielęciny od górki kotletowej, to jest najmiększej, usiekać, a następnie przetrzeć przez rzadkie sitko do pasztetów używane. Na pół funta cielęciny czy drobiu wziąć kwaterkę kremowej śmietanki i dodając ją po łyżce do mięsa posolonego, ubijać łyżką, bo trzepaczką trudno bardzo, aż cała kwaterka wyjdzie. Mieć w płaskim rondlu czy pokrywie od rondla ukrop wrzący, w który małą łyżeczką układać niby podłużne kluseczki, co bardzo prędko trzeba robić, żeby się wszystkie równo gotowały. Lepiej podzielić na połowę, nigdy się jednak więcej jak z pół funta nie robi. Można je nie wyjmując z wody zostawić do chwili, gdy mają być podane, podstawiwszy rondel au bain Marie w drugi rondel z gorącą wodą i ostrożnie małą durszlakową łyżką wyjmować, bo są bardzo delikatne.

Klopsy

Trzy funty zrazowego mięsa poskrobać nożem tak, aby żadnej żyłki nie było, potem przesiekać, dodać trzy żółtka same, dwie łyżki roztopionego masła lub łoju świeżego wołowego, włożyć jedną bułkę mętową (z białej pszennej mąki) wymoczoną w mleku i wyciśniętą dobrze z wilgoci, utrzeć cebulę upieczoną w piecu, trochę pieprzu, soli, to wszystko wymieszać i robić kotleciki płaskawe okrągłe, obsypywać bułką tartą i włożyć w rondel, w którym jest trochę rosołu lub bulionu, żeby tylko klopsy pokrył; łyżka masła, pół cytryny wciśniętej w pół szklanki wina białego, kawałek cukru, trochę kaparów, garść tartej bułki; przykryć pokrywą i z 10 minut dusić razem z tymi klopsami; będą wyborne.
Uwaga: funt – ok. 0,40 kg, kwarta – 1,125 l, garniec nowopolski – 4 l.

Marta Sztokfisz – dziennikarka, pisarka, autorka dziewięciu książek, w tym bestsellerów: „Caryca polskiej mody, święci i grzesznicy" – o Jadwidze Grabowskiej, „Chwile, których jeszcze nie znamy" – o Marku Grechucie i „Księżniczka deptaku" – o Edycie Klein.

eprasa.pl 9161cd63de

Weź udział w unikalnym programie benefitowym

ORLEN

Warto mieć ORLEN W PORTFELU

Program dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ NA STACJACH ORLEN

ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH FINANSOWYCH W AKADEMII INWESTOWANIA

OTRZYMASZ CERTYFIKAT SYGNOWANY PRZEZ CFA SOCIETY POLAND

więcej informacji na www.orlenwportfelu.pl

PARTNER PROGRAMU: Dom Maklerski | PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII: CFA Society Poland | PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU: Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Myślicie, że jesteście lepsi?

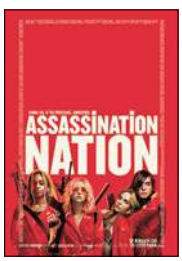

★★★☆☆☆

REŻ. SAM LEVINSON
„ASSASSINATION NATION"
USA 2018

wyst. Odessa Young, Hari Nef, Bill Skarsgård

Ach, ta dzisiejsza młodzież! Książek nie czyta, starszych nie słucha. Zawsze on-line, ze smartfonem zastępującym kresomózgowie. Wiedzę o związkach damsko-męskich czerpie ze stron pornograficznych, maniery zapożycza od marginesu społecznego. Pryszczaci licealiści zgrywają twardzieli, ich rówieśniczki – damy lekkich obyczajów. Zrobią wszystko, by zasłużyć na hasztag #petarda. Mowa oczywiście o dziatwie z USA, lecz przecież wiadomo, że u nas za kilka lat będzie tak samo. Mamy już Twittera, wszystko widzące kamery i odporne na szumidła urządzenia nagrywające. Tylko czekać, aż pojawią się lolitki z bejsbolami oraz bezinteresowni cyberterroryści.

W filmie Sama Levinsona haker, ukrywający się pod pseudonimem Herostratus, włamuje się do telefonów komórkowych, upubliczniając kompromitujące posty, SMS-y i zdjęcia. Dopóki bierze na cel notabli, dopóty lud się cieszy, bo ma darmowe igrzyska. Gdy do sieci wyciekają tajemnice 17 tys. ludzi, rozpętuje się pandemonium, zwieńczone polowaniem na osobę, która udowodniła, że prywatność nie istnieje. Na pierwszy rzut oka „Assassination Nation" może się wydawać filmem „społecznie zaangażowanym". Odwołuje się do teorii o cienkiej warstwie cywilizacji, pod którą wciąż jesteśmy zwierzętami. 10 proc. ludzi jest wrednych, 10 – porządnych, reszta zaś to bagno, które w zależności od nastroju opowiada się raz po jednej stronie, raz po drugiej – wylicza główna bohaterka.

Rzecz dzieje się w Salem – mieścinie, która za sprawą Arthura Millera kojarzy się z protestanckim obskurantyzmem i wybuchem zbiorowej histerii. Jeśli jednak ktoś oczekiwał krytyki amerykańskiej skłonności do linczu i przemocy, to dozna zawodu. Zgrabna rymowanka w tytule i natrętne eksponowanie flagi Stanów Zjednoczonych są tylko wabikami. Widać, że wyobraźnię młodego reżysera umeblowały produkcje ociekające krwią i posoką: od „Nędznych psów" do slasherów o mordowanych (i mordujących) nastolatkach. Obawiam się jednak, że fanom „Nocy oczyszczenia" nie spodoba się pastiszowy ton filmu. Dość powiedzieć, że misję przywrócenia porządku Levinson powierzył czarownicom z Salem, odzianym w czerwone płaszcze z lateksu.

Puentą jest umoralniające, godne dawnego Hollywood przemówienie. 18-letnia Lily, przeładowując karabin, oskarża krajanów o hipokryzję. Wcześniej wysyłała wyuzdane fotki żonatemu i dzieciatemu sąsiadowi. To jeszcze jeden powód, by zachować czujność. Gdy pewnego dnia latorośl zapyta: „Czy widzieliście ten filmik z Afryki, w którym siedem tygrysów rzuca się na rodzinę?", na interwencję może już być za późno. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NARODZINY GWIAZDY"

Był film z Barbrą Streisand, był z Judy Garland, a pierwsza wersja powstała w 1937 r. W kolejnym remake'u opowieści o wschodzącej gwieździe i jej romansie ze starym, zapijaczonym artystą obsadzeni zostali Lady Gaga i Bradley Cooper. Dla tego ostatniego to także debiut reżyserski. Sprawdzona recepta raz jeszcze zadziałała, widzowie w USA walili na film drzwiami i oknami, a i krytycy okazali łaskawość, chwaląc aktorską robotę, rytm opowieści oraz dobrą muzykę. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Narodziny gwiazdy" („A Star Is Born"), reż. Bradley Cooper, wyst. Lady Gaga, Bradley Cooper, Sam Elliott, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Robin Hood: Początek", reż. Otto Bathurst, USA 2018***
- ***„Grinch", reż. Yarrow Cheney, USA/Chiny 2018***
- ***„Operacja Overlord", reż. Julius Avery, USA 2018***
- ***„Eter", reż. Krzysztof Zanussi, Polska 2018***

eprasa.pl 9161cd63de

To nie był film

Polakom 22 lipca kojarzy się ze słodkim smakiem czekoladek Wedla. Norwegom – z Andersem Breivikiem.

Kino nie mogło zignorować tragedii sprzed lat siedmiu, ale wybranie innej formuły niż paradokumentalna byłoby – w warunkach skandynawskich – aktem brawury, graniczącej z prowokacją. Erik Poppe postawił więc na rekonstrukcję. Film zaczyna się od wybuchu w dzielnicy rządowej, potem akcja przenosi się na wysepkę Utøya.

Uczestnicy obozu młodzieżówki Partii Pracy są skonfundowani wieściami z Oslo, lecz niczego się nie obawiają. Gdy usłyszą strzały, przerażeni rozbiegną się po lesie. „Najbezpieczniejsze miejsce na ziemi" stanie się śmiertelną pułapką.

Kamera nie idzie za mordercą, lecz przyjmuje optykę jednej z ofiar. 18-letnia Kaja marzyła, by zostać posłanką. Teraz miota się, rozdarta między chęcią ucieczki, znalezienia kryjówki i ratowania młodszej siostry. Zło jest pozbawione twarzy. W oddali widać niewyraźną postać z karabinem, jednak nazwisko kata zniknęło nawet z napisów końcowych (rozumiem, że nie chciano dać temu narcyzowi dodatkowej satysfakcji).

★★★☆☆☆
REŻ. ERIK POPPE
„UTOYA, 22 LIPCA" („UTØYA 22. JULI")
NORWEGIA 2018

wyst. Andrea Berntzen, Aleksander Holmen, Brede Fristad

72 minuty, które upłynęły od początku do końca masakry, Poppe sfilmował w jednym długim ujęciu. Koneserzy to docenią, widzowie – przyzwyczajeni do hollywoodzkich standardów – wyjdą z kina rozczarowani. Takie życie. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OSTATNIA PLAŻA

Anglia, wczesne lata 60. Ona – buntowniczka z bogatego domu. On – syn zdziwaczałej, ubogiej malarki. Zakochani, zaręczeni, wreszcie poślubieni, ale w noc poślubną okaże się, że istnieją między nimi bariery, których pokonać nie mogą. Debiut kinowy Dominica Cooke'a (dotąd pracował w telewizji i teatrze) wypada ocenić w dwóch kategoriach.

★★★☆☆☆
REŻ. DOMINIC COOKE
„NA PLAŻY CHESIL"
WIELKA BRYTANIA 2018, M2

wyst. Saoirse Ronan, Billy Howle, Anne-Marie Duff, Emily Watson

Jak przeniesiono na ekran powieść, uznawaną za jedno z najlepszych dokonań Iana McEwana? Odpowiedź brzmi – nie najlepiej, choć sam autor napisał scenariusz. Są kluczowe elementy fabuły, nie ma wszystkich niedopowiedzeń i podtekstów, opowieść o niemożliwości porozumienia między ludźmi zamienia się w ckliwą opowiastkę o utraconej miłości. A druga kategoria, czyli robota czysto filmowa? Tutaj lepiej, bo kadry są piękne, a grająca jedną z głównych ról Saoirse Ronan – znakomita. Mimo całej biegłości film jest zmarnowaną szansą, głównie w wyniku dopisania epilogu, którego nie było w książce. Jednak o reżyserze na pewno jeszcze usłyszymy.

KU CHWALE KRÓLA ROBERTA

O średniowieczu na współczesną modłę – dialogi jak z prozy Bernarda Cornwella, pejzaże i dworskie intrygi jak z „Gry o tron", a w roli głównej gładki Amerykanin Chris Pine. Jest to opowieść o dekadzie po „Braveheart" – Szkocja ugięła się pod angielskim butem, lecz schwytanie i egzekucja Williama Wallace'a sprawiają, że lud znów się burzy. Tę okazję wykorzystuje Robert Bruce, w filmie Gibsona bohater dwuznaczny, tu zaś wybielony. A wszak zamordował w kościele swego głównego konkurenta, a zamki w Szkocji palił nie po to, by utrudnić Anglikom życie, lecz aby pozbyć się wrogów wśród rodaków. Doskonała jest scena otwarcia, świetna bitwa finałowa, pomiędzy nimi warto docenić Florence Pugh jako rezolutną żonę Roberta oraz Jamesa Cosmo jako jego ojca. Całość ogląda się dobrze, ale mimo wszystko to bardziej kolorowa pocztówka z epoki niż prawdziwy dramat historyczny. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. DAVID MACKENZIE
„KRÓL WYJĘTY SPOD PRAWA"
WIELKA BRYTANIA 2018, NETFLIX

wyst. Chris Pine, Florence Pugh, Stephen Dillane, Billy Howle

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „BATTLEFIELD V"

★★★★★☆

Uprzedzam na wstępie: mam słabość do serii „Battlefield". Ogromne mapy, zróżnicowane tryby rozgrywek, realizm, mnogość broni oraz pojazdów i te momenty, w których wyskakując z samolotu, strzelasz wyrzutnią rakiet w czołg, potem lądujesz na dachu kościoła i z karabinu snajperskiego likwidujesz cały oddział wroga. Czy piąta część serii, osadzona na powrót podczas II wojny światowej, ma tę magię? Czy udało się jej przekonać fanów, którzy narzekali na popsucie klimatu historycznego podczas beta testów i zbytnią poprawność polityczną w grze? Mogę powiedzieć z czystym sumieniem – udało się. „Battlefield" powrócił. ©℗

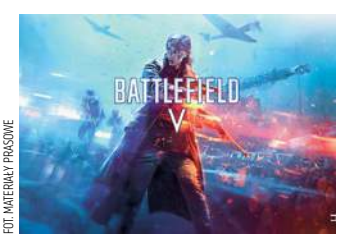

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *EA DICE/ Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 9161cd63de

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Krakowskie, róg Karowej

Bristol otworzył podwoje 19 listopada 1901 r. Hotel powstał z inicjatywy sławnego pianisty Ignacego Jana Paderewskiego i, w dużej mierze, za jego pieniądze. Gdy nieco ponad 17 lat później został on premierem, to właśnie Bristol stał się siedzibą nowego rządu.

W nowym hotelu największy zachwyt wywołała kryształowa winda, jak pisał „Kurier": „cała przezroczysta o białych ramach żelaznych robi wrażenie karety z bajki o »Królewnie zaczarowanej«. Siada się na atłasowym foteliku: dzwonek, chłopiec zakręci korbą. I co parę sekund kabina windy przystaje na korytarzach odmiennych pięter, cichutko, spokojnie wysadzając swych pasażerów". Niestety, w toku licznych przemian, które dotknęły hotel, wspaniała winda zniknęła z holu i nigdy już tu nie powróciła.

Żyją za to hotelowe legendy i wspomnienia, od których roi się w pięknie, ze smakiem wydanej przez Arkady książce poświęconej jednemu z dwóch najsławniejszych hoteli Warszawy (ten drugi to, oczywiście, sąsiadujący z Bristolem Europejski). Między innymi sławnym gościom i rezydentom. Jeszcze przed I wojną światową gościł Bristol Edwarda Griega i Artura Rubinsteina, Marię Skłodowską-Curie i Fiodora Szalapina; w II Rzeczypospolitej – m.in. Mary Pickford i Douglasa Fairbanksa. Tutaj urządzał swoje seanse jasnowidz Ossowiecki, wynajmował apartamenty Karol Szymanowski, miał swoją pracownię Wojciech Kossak, tutaj też z balkonu śpiewał dla tłumów mieszkańców stolicy Jan Kiepura, ruchem na pobliskim skrzyżowaniu kierował w czapce policyjnej na głowie Bolesław Wieniawa-Długoszowski; po wojnie zatrzymywali się w hotelu Marlena Dietrich, Pablo Picasso, Rolling Stonesi (dla porządku, za pierwszym razem, w 1967 r., nawiedzili Europejski), a gdy po

FOT. KAMIL SAKS/ADOBE STOCK

generalnym remoncie otwierano na nowo hotel w 1993 r., świadkiem wydarzenia była premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher.

W PRL bywało w Bristolu trochę śmiesznie, trochę strasznie. W latach 1948–1952 prosperowała tu (to nie żart) Gospoda Ludowa Bristol, władze doszły bowiem do wniosku, że robotnik znakomicie komponuje się z wystrojem Sali Malinowej. W jadłospisie dla ludu kawioru, szampana i melby jednak nie było.

W notatce operacyjnej sporządzonej przez SB w 1975 r. znajduje się informacja, że obok wielu firm wynajmujących pomieszczenia w Bristolu hotel zamieszkuje na stałe również dwoje polskich obywateli: żona emerytowanego ambasadora PRL oraz emerytowany historyk sztuki. O tej pierwszej nie dowiadujemy się niczego, ale odnośnie do drugiego, „obywatela PRL, Krystalla, samotnego emeryta, historyka sztuki", sporządzający notatkę esbek nie miał pojęcia, kim jest ten mieszkaniec Bristolu. A chodziło o Bronisława Krystalla, kolekcjonera, wybitnego znawcę sztuki i filozofa, a także przedsiębiorcę, przed wojną właściciela kamienic w Warszawie. „Gdy dekret Bieruta z 1952 roku – czytamy – pozbawił go kamienic, jego domem stał się Bristol. Mieszkał w pokoju 116 do zamknięcia hotelu w roku 1982. Gdy umierał, zbiory oraz prawa do nieruchomości »bezpodstawnie odebrane przez władze«, jak zaznaczył w testamencie, zapisał Muzeum Narodowemu w Warszawie, stając się jednym z największych jego darczyńców".

Lata 70. zeszłego wieku przyniosły też, niestety, coraz bardziej widoczny upadek Bristolu. Pamiętam ten czas, gdy z koleżkami kończyło się tam, przy piwie, biesiadowanie po barach i kawiarniach Starego Miasta. Z jednej strony świadczyło to o socjalistycznej dostępności teoretycznie wykwintnych lokali dla każdego, bo jako maturzyści kieszenie mieliśmy raczej pustawe, z drugiej jednak – cóż to był za cymes, skoro w hotelowej kawiarni świetnie się czuły takie niedorostki jak my. W Bristolu działała też jedna z pierwszych dyskotek w Warszawie, ale jeśli z tamtego czasu cokolwiek otaczam czułą pamięcią, to funkcjonujący na pięterku Klub Piosenki ZAKR. To tam pierwszy raz zobaczyłem i usłyszałem zespół Dwa Plus Jeden, chyba jeszcze bez nazwy, za to na pewno z Andrzejem Rybińskim. A paroksyzmy śmiechu wywoływał Maciej Zembaty swoją „Balladą o Imogenie". Pamiętają państwo? „Miała w ramionach gdzieś półtora metra,/ wzrostu pół metra, duże czarne oczy/ i bardzo długi cieniutki warkoczyk".

Janusz Głowacki pisał, że wieczorami ciągnął tu „sznur sławnych aktorów i sławnych, dziś by się powiedziało kultowych, prostytutek, sznur badylarzy, kuśnierzy, alfonsów, cinkciarzy". Tak sobie myślę, co temu, też uchodzącemu za kultowego, pisarzowi przeszkadzali kuśnierze? ©℗

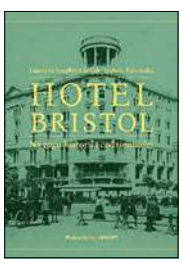

★★★★☆

FAUSTYNA TOEPLITZ-CIEŚLAK, IZABELA ŻUKOWSKA „HOTEL BRISTOL. NA ROGU HISTORII I CODZIENNOŚCI" ARKADY 2018

eprasa.pl 9161cd63de

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Panna detektyw ucieka

Enola jest bystra, spostrzegawcza, uparta i przedsiębiorcza, w dodatku odebrała wykształcenie nietypowe jak na pannę z XIX stulecia. Nie zna się na tańcu, wiązaniu gorsetów oraz symulowaniu omdleń, wie za to dobrze, co to szyfry, umie jeździć na rowerze, wspinać się po drzewach – długo by jeszcze wymieniać, ale wiecie, w jakim zmierzam kierunku. Jest tylko jeden problem. Enola ma 14 lat, więc nikt nie pozwoli jej na wyściubienie z domu nosa, choćby działy się rzeczy ważne i przerażające. Taką rzeczą jest bez wątpienia dla Enoli zniknięcie w tajemniczych okolicznościach jej mamy, ekscentrycznej sufrażystki. Zamiast pomóc w poszukiwaniach, dziewczyna będzie musiała szykować się do wyjazdu na pensję i słuchać we wszystkim starszych braci. A to nigdy nie jest łatwe, nawet gdy tymi braćmi są tak niezwykłe postacie jak Mycroft i Sherlock Holmesowie.

Amerykańska pisarka Nancy Springer od lat sprawnie porusza się między dorosłą fantasy a książkami dla młodszego czytelnika. Cykl o nieznanej siostrze Holmesów to nie pierwsza jej przeróbka klasyki, ma w dorobku także serię książek o banitce z lasu Sherwood zwącej się Rowan Hood. Sięgała i po mity arturiańskie, próbowała magicznego realizmu z istotnym dodatkiem feminizmu. Seria „Enola Holmes" powstawała w latach 2006–2010, ale teraz robi się o niej naprawdę głośno za sprawą nadchodzącej ekranizacji, w której główną rolę zagra Millie Bobby Brown, znana jako Jedenastka z serialu „Stranger Things".

O wersję filmową trochę się obawiam (pojawi się w przyszłym roku), wiedząc, jak tępe ideologiczne perswazje potrafi produkować współczesny Hollywood, książka sprawiła mi wiele przyjemności. Springer ładnie balansuje między przygodą a dydaktyzmem, przenosząc w świat bohaterów Conan Doyle'a z lekkością, jaką pamiętam z książek Loftinga o doktorze Dolittle. Jednocześnie jej społeczna krytyka jest uzasadniona, los kobiet w wiktoriańskim społeczeństwie był niełatwy, a społeczne nierówności olbrzymie, wystarczy sięgnąć do Dickensa.

Niesforna Enola po przybyciu do Londynu pełnego żebraków, biedaków i rzezimieszków szybko odkryje, że są sprawy ważniejsze od buntu przeciw noszeniu zbyt ciasnych sukien. A czytelnik odkryje nieznane słowo „perdytorysta" – specjalista w odnajdywaniu tego, co zaginęło. A właściwie „perdytorystka". Chyba nie powinno was to dziwić, w końcu nazwisko Holmes zobowiązuje. ©℗

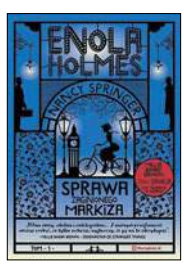

★★★★★★

NANCY SPRINGER „ENOLA HOLMES. SPRAWA ZAGINIONEGO MARKIZA"
PORADNIA K 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Odpowiedź na pytanie z tytułu brzmi: zwykle najłatwiej dosypać głosów. Jednak to oczywiście tylko jedna z broni w bogatym arsenale politycznych szachrajów. Lekko napisany przegląd metod używanych dawniej i dziś. Niestety.

PIOTR KOŚCIŃSKI „JAK SFAŁSZOWAĆ WYBORY" TRZECIA STRONA

Autor „Diamentowego wieku" powraca. Połączenie powieści historycznej, fantazji i teorii spisku. Tytułowe „D.O.D.O." to Departament Od Diachronicznych Operacji, którego agenci chcą przywrócić światu magię.

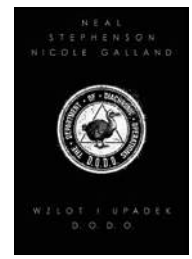

NEAL STEPHENSON, NICOLE GALLAND „WZLOT I UPADEK D.O.D.O." MAG

Rzecz o działalności Ignacego Jana Paderewskiego. O przyjaźni z prezydentem Hooverem, Henrykiem Sienkiewiczem czy Józefem Hallerem, o poglądach na Europę itd. W obszernym aneksie bogaty wybór materiałów źródłowych.

MARIAN M. DROZDOWSKI „O NIEPODLEGŁĄ I DEMOKRATYCZNĄ RZECZPOSPOLITĄ" FUNDACJA IM. RODZINY MIESZKOWSKICH

Drugi (po „Przeciwieństwie losu") tom non-fiction autorki „Klubu radości i szczęścia". Podobnie jak poprzedni pełen jest drobiazgów autobiograficznych, ale tym razem więcej miejsca zajmują rozważania o sztuce pisarskiej. ©℗

poleca Piotr Gociek

AMY TAN „GDZIE ZACZYNA SIĘ PRZESZŁOŚĆ" PRÓSZYŃSKI I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „Ten dzień" (Edipresse) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego „365 dni". Zapewne będą kolejne.***
2. ***Anja Rubik „Sexed.pl" (W.A.B.) – modelka Anja Rubik „łamie tabu" w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.***
3. ***Kuba Wojewódzki „Biografia nieautoryzowana" (Wielka Litera) – po pierwsze, nie biografia, ale autobiografia. Po drugie, nie da się tego czytać. Ale da się sprzedać.***
4. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
5. ***Wojciech Sumliński, Tomasz Budzyński „Niebezpieczne związki Donalda Tuska" (WS REPORTER) – o twórcy PO, niemieckim wywiadzie i mafii.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 5 do 18 listopada 2018 r.)

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. GARY MILLER/GETTY IMAGES

Jak beatles z Kukizem

Nie od wczoraj muzycy i szeroko rozumiani artyści wykorzystują swoją popularność, by wpływać na polityków. O tym, jak to robić z klasą, duża część z nich powinna spytać Paula McCartneya. Legendarny beatles napisał z prośbą do Pawła Kukiza. Trochę jako do artysty, muzyka, trochę do polityka. „Jest pan liderem, który docenia moc sztuki w kształtowaniu bardziej oświeconego społeczeństwa" – wyjaśnia adresatowi swojego pisma, dlaczego zwraca się z nurtującą go sprawą właśnie do niego. A zaczyna od życzeń dla Polaków z okazji setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Paweł Kukiz listem pochwalił się na Facebooku. „Nigdy, w najbardziej nawet śmiałej wyobraźni nie pomyślałbym, że w moim życiu nastąpi taki moment, iż będę adresatem listu od Paula McCartneya, który… ma do mnie prośbę!" – wyznaje wyraźnie podekscytowany, czemu nie ma się co dziwić, wszak dostać list podpisany przez McCartneya to spełnienie marzeń każdego fana chłopców z Liverpoolu.

O czym legendarny eks-beatles napisał do polskiego rockmana, a od paru lat polityka? W liście nie padło ani jedno słowo z tych najpopularniejszych w ostatnim czasie w dyskursie między światem artystycznym a polską poli-tyką. Brytyjczyk poprosił Kukiza o pomoc w promocji nad Wisłą urodzonego w Polsce pisarza żydowskiego pochodzenia – Isaaca Bashevisa Singera. Piszący głównie w jidysz noblista był bowiem – podobnie jak Paul McCartney – wielkim miłośnikiem zwierząt. „Nie przeszedłem na wegetarianizm dla własnego zdrowia. Zrobiłem to dla zdrowia kurczaków" – przypomina słowa pisarza w swoim liście McCartney. I pyta Pawła Kukiza, czy pomoże w przeforsowaniu, aby dzień urodzin pisarza – 21 listopada – był oficjalnie w Polsce dniem Isaaca Bashevisa Singera.

Skąd taka prośba akurat teraz? Otóż były beatles wystąpi w Krakowie 3 grudnia i przy okazji swojej obecności w Polsce sam będzie promował urodzonego w Polsce noblistę. Jednak do tego czasu i po wyjeździe ktoś powinien mu pomóc. „Oczywiście zrobię wszystko, by prośbę Paula McCartneya spełnić" – deklaruje na Facebooku Kukiz. I wrzucając zdjęcie z własną biblioteką, w której stoją książki Singera, pisze: „Zastanawiam się tylko, skąd P. McCartney wiedział, że w naszej domowej bibliotece mamy chyba wszystkie dzieła Singera, którego wraz z Żoną Małgosią uważamy za genialnego pisarza i wspaniałego Człowieka". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Śpiewające czytadło

Pierwsze polskojęzyczne kompendium wiedzy o musicalach. Zawiera omówienie ponad stu widowisk i najsłynniejszych piosenek, sylwetki twórców i aktorów, a także opisy zjawisk okołomusicalowych. Autor jest nie tylko wybitnym znawcą tematu, lecz także osobiście był zaangażowany, głównie jako tłumacz piosenek, w adaptację prawie 20 spektakli wystawionych na polskich scenach.

Teatr muzyczny jest amerykańskim zjawiskiem powstałym w XX w. i głównie jemu poświęcony jest leksykon. Mimo że książka jest hołdem dla Broadwayu, to nie mogło zabraknąć „Les Misérables" Schönberga czy dzieł brytyjskiego króla musicali Andrew Lloyda Webbera, który jest najbogatszym żyjącym muzykiem. W książce znalazło się miejsce dla kilku musicali francuskich, niemieckich oraz dwóch polskich – „Metro" i „Szalona lokomotywa".

Dlaczego teatr muzyczny wciąż święci triumfy kosztem operetki, a nawet opery? Bo, według autora, musical opowiada historię językiem publiczności i jest elementem kultury popularnej, dzięki czemu widz utożsamia się z bohaterami.

Leksykon napisany jest potoczystym, wciągającym językiem, co jest kolejnym atutem. Niestety, wydawca mógłby pokusić się o umieszczenie indeksu, bo przy tego typu wydawnictwach jest on niezbędny. ©℗

★★★★★★

DANIEL WYSZOGRODZKI
„ALE MUSICALE! ZŁOTE STULECIE"
MARGINESY

★★★★☆☆

MARK KNOPFLER
„DOWN THE ROAD WHEREVER"
VIRGIN

Ciąg dalszy refleksyjnych, autobiograficznych opowieści drogi znanych z albumu „Tracker". Country miesza się z jazzem, bluesem, rockiem i celtyckim folkiem. Nic nowego, bo były lider Dire Straits od 40 lat przesiaduje w tym samym pubie.

★★★★★☆

BOB DYLAN
„MORE BLOOD, MORE TRACKS"
SONY

Wstępna wersja arcydzieła „Blood on the Tracks" nagrana w Nowym Jorku w 1974 r. Dylana wspomaga jedynie basista Tony Brown, a i tak tych 11 piosenek o miłości oraz jej utracie inspirowanych rozstaniem z żoną Sarą wstrząsa z tą samą mocą. ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK** | IZABELA **TROJANOWSKA**
RAFAŁ **BARTMIŃSKI** | ŁUKASZ **DRAPAŁA** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI** | MAREK **PIEKARCZYK** | ADAM **SZERSZEŃ**
JAKUB **WOCIAL** | MATEUSZ **ZIÓŁKO** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **STOKŁOSA COLLECTIVE ORCHESTRA** POD BATUTĄ JANA **STOKŁOSY**

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG | LOTOS | Enea

PARTNERZY

Poczta Polska | LOTTO | FUNDACJA WSPÓLNOTA POLSKA | PZU FUNDACJA

PATRONAT MEDIALNY

DO RZECZY | wprost | Jedynka POLSKIE RADIO

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

eprasa.pl 9101cd63de

Z historykiem prof. Markiem Kornatem
rozmawia Marcin Makowski

Kościół wobec zła

MARCIN MAKOWSKI: Arcybiskup Grzegorz Ryś podczas 74. rocznicy likwidacji łódzkiego getta powiedział: „W dużej mierze za Zagładę odpowiadają ludzie, którzy – a mówię to z bólem serca – wychowani byli przez kościoły chrześcijańskie na swoich nabożeństwach". Przy okazji premiery „Kleru" przez Polskę przetoczyła się szeroka dyskusja na temat grzechów Kościoła. Nadal mało się jednak mówi o okresie II wojny światowej. Jest pan historykiem zajmującym się totalitaryzmami. Czy teza, którą postawił arcybiskup, ma odzwierciedlenie w faktach?

PROF. MAREK KORNAT: Moim zdaniem nie znajduje żadnego odzwierciedlenia. Owszem, naziści w dużej mierze byli ludźmi ochrzczonymi, bo przychodzili na świat w chrześcijańskich Niemczech, ale po drodze wskutek takich, a nie innych powikłań życiowych odpadli od religii katolickiej. Celowo używam tego określenia – posługiwał się nim Kościół przez wiele stuleci. Człowiek, który odpada od wspólnoty, nie przystępuje do sakramentów ani nie uczestniczy w nabożeństwach. Z takich ludzi powstali późniejsi zbrodniarze.

Jednak rodzice Rudolfa Hössa – komendanta Auschwitz – dokładali starań, aby wychować go po katolicku, sami byli bowiem ultraortodoksyjni. Podobnych historii było znacznie więcej.

Nie znam jednak ani jednego przypadku, aby praktykujący katolik przyczynił się do Holokaustu czy zbrodni wojennych tamtego okresu. Dla ludzi pokroju Hössa katolickie wychowanie przestało mieć

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. MARCIN OBARA/PAP

znaczenie w momencie, gdy związał się z partią narodowosocjalistyczną. Podobnie było np. z Hansem Frankiem i innymi prominentnymi nazistami, którzy przyjęli chrzest.

Co nie znaczy, że byli ludźmi niewierzącymi.

Owszem, w ankietach personalnych w NSDAP określali siebie mianem „bogowierców" – co zrobił choćby Höss – ale byli również otwarci ateiści, choćby gen. Alfred Jodl czy Joseph Goebbels. Dwóch czołowych przywódców III Rzeszy, Heinrich Himmler i Adolf Hitler, to z kolei ludzie wierzący w jakąś bliżej nieokreśloną „siłę wyższą" i deklarujący czasami wiarę w opatrzność dziejową.

A może słowa arcybiskupa znaczą po prostu tyle, że powinniśmy się uderzyć w piersi, skoro w sercu chrześcijańskiej Europy w ogóle możliwy był Holokaust. Kościół okazał się nieskuteczny?

Nie chciałbym wchodzić w egzegezę słów abp. Grzegorza Rysia, jeśli jednak rozumieć ją tak, że ma ona na celu przybliżenie katolikom prawdy o nieskuteczności misji Kościoła i jego nauczania, to oczywiście można się z nią zgodzić, ale od razu trzeba dodać, że Kościół nigdy w swojej historii nie był w stu procentach skuteczny. Święty Paweł został przecież wyśmiany przez Greków z Aten, gdzie próbował ewangelizować. Dlatego nie da się moim zdaniem z katolickich korzeni Austrii i protestancko-katolickich Niemiec XX w. wyciągnąć wniosku o całkowitym bankructwie idei chrześcijańskich.

Mówimy o kwestiach indywidualnych. A jak pana zdaniem sprawdził się Kościół hierarchiczny w III Rzeszy? Jakie świadectwo dała instytucja, która przyjmowała całe spektrum postaw: od konformizmu przez afirmację nazizmu do heroicznego oporu?

O tym trzeba rozmawiać bez demagogii, a mówię te słowa nie bez powodu. Niedawno ukazała się książka jednego z najwybitniejszych historyków narodowego socjalizmu i biografa Hitlera – Iana Kershawa. To, co możemy w niej przeczytać, jest po prostu skandaliczne. Autor opowiada jedynie o tym, jak przewodniczący fuldajskiej konferencji biskupów niemieckich kard. Adolf Bertram z Wrocławia gratulował Hitlerowi na każde urodziny. W ten sposób nie możemy pisać historii, bo gratulowanie głowie państwa jubileuszu, np. w 1939 r. w kwietniu, kiedy kanclerz obchodził 50 lat, wynika z kultury człowieka i reguł dyplomacji. Gdyby przyjąć podobną perspektywę w ocenie przeszłości, dojdziemy do tego, że kard. Stefan Wyszyński, odwiedzając Władysława Gomułkę albo Józefa Cyrankiewicza, spiskował z komunistami. Należy również potępić narrację w historiografii, która wyciąga antykomunistyczne wypowiedzi niemieckich hierarchów, tworząc wrażenie, że popierali oni inwazję na Związek Sowiecki. Antykomunizm jest integralną częścią katolickiej nauki moralnej.

No dobrze, ale czy w pierwszej fazie istnienia III Rzeszy Kościół faktycznie nie traktował narodowych socjalistów jako taktycznych sojuszników w kontrze do ateistycznych komunistów? Nie trzeba się specjalnie wysilać, aby znaleźć w archiwach zdjęcia z lat 30. przedstawiające kapłanów z ręką wyciągniętą w nazistowskim salucie.

Bardzo możliwe, że takie próby racjonalizacji rzeczywistości występowały, ale zgodnie z faktami episkopat niemiecki w żadnym publicznym oświadczeniu nie poparł polityki NSDAP. Natomiast

eprasa.pl 9161cd63de

niektórzy biskupi, jeszcze przed wojną, po potępieniu przez Piusa XI Action Française, również otwarcie potępili nazistów. Nie byli to oczywiście wszyscy członkowie episkopatu. W latach 40. kard. Gröber potępił „pogańskie tendencje w narodowym socjalizmie" i one stały się asumptem do ogłoszenia papieskiej encykliki Piusa XII z 1943 r. „Mystici corporis". Niestety, i to trzeba przyznać, nie zdobyto się jednak na gremialne potępienie ex cathedra rządów Adolfa Hitlera ani na ekskomunikowanie go.

Dlaczego papież się na to nie zdobył?

Jak tłumaczył, nie zdobył się na taki ruch ze względu na obawy o los Kościoła w III Rzeszy i na terytoriach okupowanych. Pius XII był przekonany, że państwo zostało całkowicie zawłaszczone przez narodowy socjalizm i nie ma mowy o wojnie domowej, podczas której Kościół może teoretycznie wesprzeć jedną ze stron. Po prostu dostosowano się do takiego punktu wyjścia. Kościół zresztą nie może nawoływać do wojny domowej.

Czy to był błąd? Ludzie chodzili na msze, a później na nazistowskie wiece i jakoś im się te rzeczywistości nie kłóciły.

Cóż, musimy pamiętać o tym, że jednak odczytano w niemieckich kościołach w Niedzielę Palmową 1937 r. encyklikę „Mit brennender Sorge" („Z palącą troską"). Jej treść była wyraźnym sygnałem, że Kościół nawet pomimo braku oficjalnego potępienia ideologii widział tu poważne zagrożenia i nie zachowywał się biernie. Konspekt encykliki powstał przecież przy udziale niemieckiego episkopatu. Biskupi zdobyli się również na potępienie zbrodniczej eksterminacji umysłowo chorych, po czym została ona zawieszona. Papież Pius XII pozostawał w stałym tajnym kontakcie z niemieckim ruchem oporu, o czym się mało mówi.

Wspomniał pan o Piusie XII. To jedna z najczęściej wymienianych postaci w kontekście bierności Kościoła wobec nazizmu. Czy słusznie?

Absolutnie nie. W wielu przypadkach o Piusie XII po prostu się kłamie albo manipuluje faktami, niekiedy w sposób prymitywny, tak jak choćby przy wyciąganiu błędnych wniosków ze składania listów uwierzytelniających prezydentowi Rzeszy, gdy jeszcze jako Eugenio Pacelli – nuncjusz apostolski – musiał taką czynność wykonać. Przedstawia się więc jego zdjęcia i żołnierzy Reichswehry prezentujących broń jako dowód na „poparcie militaryzmu niemieckiego" czy nawet narodowego socjalizmu. To był jednak przecież ówczesny ceremoniał wojskowy. Na pewno jako papież Pacelli wzbudzał autentyczne kontrowersje z powodu jednej decyzji – braku publicznego potępiania narodowego socjalizmu w obawie o losy Kościoła na terytorium Rzeszy i w krajach okupowanych. Tego faktu historyk nie może zmienić. Papież przyjął podczas II wojny światowej taktykę krytyki pośredniej czynów nazistów. Mówił zatem o cierpieniu ludzi – np. Polaków i Żydów – natomiast nie wskazywał winowajców. Uważał zresztą za oczywiste, kto wojnę rozpoczął, kto okupował Europę itd.

Papież przyjął podczas wojny taktykę krytyki pośredniej czynów nazistów. Mówił zatem o cierpieniu ludzi, natomiast nie wskazywał winowajców

Gdy III Rzesza atakowała II Rzeczpospolitą, również uchylił się od jednoznacznego stanowiska.

Pius XII uważał, że w przypadku agresji niemieckich nazistów należy ogólnie potępić „absolutyzm państwowy" – czyli absolutną władzę państwa nad człowiekiem – który doprowadził do wojny. Natomiast w przypadku Polski przynajmniej dwukrotnie w swoich przemówieniach i listach stwierdził, że ona „domaga się zmartwychwstania". Były również próby nakłonienia polskiego rządu w ostatniej chwili przed 1 września 1939 r. do jakichś ustępstw wobec Hitlera. To się wpisywało w szerszy horyzont papieskich inicjatyw zorganizowanych w celu ocalenia pokoju. Pierwsza to plan zwołania konferencji pięciu mocarstw – czterech mocarstw „monachijskich" plus Polska. Na tym forum miano rozpatrzyć konflikt polsko-niemiecki i włosko-francuski. Pomysł ten został jednak odrzucony i jest oczywiste, że bylibyśmy podczas niego poszkodowani, bo uchwalono by oddanie Gdańska Niemcom. Druga inicjatywa papieska to słynny apel o pokój z 24 sierpnia 1939 r., niestety bez szans powodzenia, bo dobę po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow. Prawdą jest również, że ówczesny nuncjusz w Polsce, Cortesi, działał na polecenie papieża do końca, postulując oddanie Gdańska. Pius XII był niezadowolony z powodu braku efektów i oddziaływania na polskiego prezydenta. Należy pamiętać, że przed II wojną światową nie było niczym nadzwyczajnym w Europie myśleć, że Gdańsk jest niemiecki i tylko za pomocą traktatów został sztucznie wydzielony jako wolne miasto.

Czy to była jednak naiwność polityczna papieża?

Naiwność być może tak, bardziej jednak brak wyobraźni co do maksymalizmu Hitlera, ale na arenie międzynarodowej takich, którzy wówczas stanęliby otwarcie po stronie Polski, było niewielu. Papież się tutaj nie wyróżniał in minus.

O ile tutaj można niuansować, o tyle bezsprzecznym nierozliczonym grzechem jest zachowanie części Kościoła pod koniec wojny i po jej zakończeniu. Mowa o tzw. szczurzym szlaku, przerzucaniu nazistów do Ameryki Południowej, zaangażowaniu bp. Aloisa Hudala w ten proceder. Jak to było możliwe, że niektórzy duchowni, mając świadomość zbrodni niemieckich, pomagali tym ludziom uniknąć sprawiedliwości?

Nie wiem, jak to było możliwe od strony moralnej – czy zaważył lęk przed komunizmem, wcześniejsze przedwojenne uwikłania i znajomości, czy pieniądze? Nie da się tych wydarzeń na pewno usprawiedliwić ani puścić w niepamięć. Austriacki bp Hudal był wyraźnie pod wpływem narodowego socjalizmu. Mówi się, że został zwerbowany przez wywiad niemiecki. W dziennikach swych pisał o zbrodniarzach hitlerowskich jako o prześladowanych bojownikach walki z komunizmem. Niestety, trudno o postępy choćby w kwestii wiedzy Stolicy Apostolskiej o tym procederze bez dostępu do pierwszorzędnych materiałów źródłowych, na razie niedostępnych w archiwach watykańskich. Mówi się, że cały czas trwa porządkowanie dokumentów, ale zapowiedziano je już za pontyfikatu Benedykta XVI. Pełne odtajnienie archiwów z okresu II wojny światowej jest konieczne. My tu jednak mówimy o czasach powojennych, z których nie udostępnia się na razie żadnych akt. Nawet jeśli obawa, że mogą być one wykorzystane przez wrogów Kościoła, jest zasadna, nie może to powstrzymać Kościoła przed oczyszczeniem. Papież Leon XIII powiedział kiedyś: „Kościół nie może się bać prawdy, jakąkolwiek by ona była". Jego słowa są nadal w mocy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Rentis – zachwycaj elegancją gdziekolwiek jesteś.

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 309 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 9161cd63de

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pocztówka znad Atlantyku

Niedawno odwiedzałem katedrę w Lizbonie. Piękna, stara budowla w romańskim stylu. Przyszliśmy w niedzielę, około godz. 20. Właśnie rozpoczynała się msza.

Świątynia nie jest gigantem w stylu gotyckich koleżanek. Ale mała nie jest. Kiedy zobaczyłem prawie pustą nawę główną, pomyślałem, że to rozmiary powodują, iż wierni zniknęli. Potem jednak policzyłem uczestniczących we mszy. Było ich 18. Kilka starszych małżeństw, paru młodych facetów, jeden zresztą zerkał co jakiś czas na smartfon. Osiemnaście osób uczestniczyło we mszy w głównej świątyni kraju europejskiego, który uchodzi za katolicki.

Być może rano było ich więcej. Zapewne więcej ludzi było też na mszy o godz. 18. Ta o godz. 20 to taki termin dla spóźnialskich. Ale w katedrze było więcej spóźnialskich turystów (których zresztą poproszono, by nie kręcili się po świątyni, a oni grzecznie uszanowali to życzenie) niż spóźnialskich wiernych.

Bardzo mi się przykro zrobiło. I to było dość dziwne, ponieważ jestem osobą niewierzącą. Ale chyba w nieco innym typie niż wojujący ateista. Na widok tych smętnych resztek po katolickiej Europie zdecydowanie nie czułem triumfu. Nie był to też socjologiczny chłód obojętnego obserwatora. Ogarnęła mnie melancholia, której sprzyja nie tylko lizbońska katedra, lecz także w ogóle cała Portugalia. Ogarnął mnie smutek człowieka widzącego, że coś się bezpowrotnie kończy.

Potem poszliśmy się szwendać po zaniedbanych uliczkach Alfamy, starej dzielnicy położonej tuż koło katedry. Melancholia zaprowadziła nas do jakiejś knajpki, w której odbywał się recital fado. To zupełnie nie moja bajka muzyczna, ale nieoczekiwanie ten koncert przyniósł nam ukojenie.

Nie o to chodzi, że ładnie grali i pięknie śpiewali, ale o to, że artyści fado to najzwyklejsi ludzie na świecie. Nie ma w nich nic, co kojarzy nam się z artystami. Żadnej stylizacji, ufryzowania, scenicznego wcielenia, makijażu, kostiumu. Żadnych błyskotek ani udziwnień. Czy choćby modnych ciuchów. Nic z tych rzeczy. Nikt tam się nie upiększał, nie kreował. Ludzie, którzy grali i śpiewali, spokojnie mogliby pojawić się na imieninach w większości polskich domów. Wyglądali jak ciocie i wujkowie. Byli poubierani w rzeczy ze Sklepów z Brzydkimi Rzeczami. Mieli pozaciągane swetry i niemodne oprawki od okularów. Liczyło się tylko, jak śpiewają i jak grają. Kiedy jakiś turysta zbyt głośno rozmawiał podczas rzewnej pieśni, ktoś z obsługi warknął do niego: „Silentio!".

Witkacy przewidywał kiedyś, że w nowoczesnym świecie zaraz po religii umrze sztuka. W Lizbonie widziałem, jak ta pierwsza konała, ale ta druga trzymała się całkiem mocno. Przynajmniej w Alfamie. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Najlepsi

Sporządzanie rankingu dziesiątki, a nawet setki najwybitniejszych dziennikarzy jest zajęciem ryzykownym. Już samo to, że w plebiscycie ogłoszonym przez oddział warszawski Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z okazji stulecia odzyskania niepodległości wśród 10 wspaniałych znalazło się aż trzech agentów bezpieki (skądinąd twórców bezsprzecznie wybitnych), może napawać niesmakiem. Brak lub dalekie miejsca innych wynikają z aktualnych trendów politycznych, stąd nieobecność w czołówce Stefana Bratkowskiego i zapewne prawem symetrii Piotra Wierzbickiego (ten twórca „Gazety Polskiej" nie znalazł się nawet w pierwszej setce).

Wybierający nie potrafią się zdecydować, co wybierają: talent, popularność w społeczeństwie czy postawę moralną

Pojawili się za to literaci – Dołęga-Mostowicz i Kossak-Szczucka – bardziej przecież znani ze swych dokonań prozatorskich niż dziennikarskich. Z wydawców uhonorowano Jerzego Giedroycia, ale zdegradowano Mieczysława Grydzewskiego. Doceniono publicystów politycznych, pomijając jednak takich gigantów jak Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Skoro jednak na czoło listy wspiął się Stanisław Mackiewicz „Cat", to może wśród rezerwowych powinni się znaleźć wydawcy nie tyle słuszni, ile – oddajmy im sprawiedliwość – zasłużeni, tacy jak Bolesław Piasecki i Jerzy Borejsza, dzięki którym nasz barak w obozie był stosunkowo najswobodniejszy. Przy okazji zniknęły osoby związane z tak ważnymi periodykami w dziejach PRL jak „Po Prostu", „Polityka" i „Tygodnik Powszechny", którego szef Jerzy Turowicz znalazł się w dalszej części stawki. Z alchemików słowa i wielkich popularyzatorów pojawił się (wysoko!) Kapuściński, ale już nie Jan Parandowski, Zygmunt Kubiak czy Zenon Kosidowski. Jasienicy też nie ma w pierwszej dwudziestce.

A co z takimi ludźmi instytucjami jak Władysław Kopaliński czy prof. Jan Żabiński? Z twórców obdarzonych poczuciem humoru zabrało mi Antoniego Słonimskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, a zwłaszcza Boya-Żeleńskiego. A co z Wiechem? Wyróżniano Bogusława Kaczyńskiego. A gdzie Waldorff?

Jak zwykle w tego rodzaju rankingach wybierający nie potrafią zdecydować się, co wybierają: talent, popularność w społeczeństwie czy postawę moralną. Może więc tego rodzaju wybory pozostawić historykom, a po domach mieć swoje prywatne kapliczki tych, których czytaliśmy z przyjemnością bez analizowania, jak doraźnie oceniać będą ich następcy. ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

SZOKUJĄCE ROZMOWY
z Żydami ocalałymi z getta

Piotr Zychowicz – **Źli i dobrzy policjanci**
Robert Frost – **I RP nie była skazana na klęskę**
Sławomir Koper – **Romanse Ignacego Paderewskiego**
Jonathan Brent – **Żydowskie ofiary Stalina**
Tomasz Stańczyk – **Ostatnie dni Stanisława Augusta**
Sławomir Cenckiewicz – **Memoriał Dmowskiego**
Mirosław Szumiło – **„Pogrom" we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9161cd63de

Pamiątkowe zdjęcie rady żołnierskiej marynarzy okrętu „Prinzregent Luitpold". Na tablicy napis: „Niech żyje socjalistyczna republika". Listopad, 1918 r., Kilonia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Niemiecki Listopad

Piotr Semka z Kilonii

Bez ich rewolucji nie runęłaby władza Wilhelma II. Portowa Kilonia oddaje po latach hołd swym buntownikom

Z pozowanych portretów z listopada 1918 r. spoglądają na nas proste, wąsate twarze niemieckich matrosów. To oni sto lat temu wywrócili tron niemieckiego cesarza. Te zdjęcia to jedyni świadkowie paru tygodni ich triumfu. Czasów, gdy od Bremy do Berlina witano ich jako zwiastunów wolności i pokoju. W Schifffahrtsmuseum, czyli muzeum morskim w Kilonii, poświęcono im wielką wystawę „Die Stunde der Matrosen" – „Czas marynarzy. Kilonia i niemiecka rewolucja 1918". Temat niemieckiej rewolucji z jesieni 1918 r. w Polsce przyjmowany jest z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony bez rewolty marynarzy, ale i robotników nie runęłaby władza Wilhelma II. A bez upadku kajzera rozbrajanie niemieckich żołnierzy na ulicach Warszawy czy późniejsze powstanie wielkopolskie byłyby znacznie trudniejsze. Z drugiej strony nowe państwo niemieckie, z wyjątkiem krótkiego okresu tuż po 11 listopada 1918 r., nie było nam przyjazne. Sprzeciw wobec oddania Polsce Pomorza, Wielkopolski czy Śląska łączył lewicę z prawicą. Nikt nie ma też nad Wisłą złudzeń, że gdyby wojska Tuchaczewskiego dotarły po trupie Polski do Niemiec, wielu bojowników niemieckiego Listopada sprzed stu lat witałoby Armię Czerwoną z otwartymi ramionami. Jednak ta listopadowa rewolucja była faktem i warto poznać jej przyczyny.

Kilonia, spore portowe miasto, niegdyś baza cesarskiej marynarki z lat I wojny światowej, była jej kolebką. Dzisiaj oddaje hołd swym buntownikom.

PIERWSZY PORT WOJENNY RZESZY

Autorzy ekspozycji poszli trafnym tropem. Postanowili opowiedzieć o rewolcie militarnej kariery Kilonii na przełomie XIX i XX w. jako efekcie morskich aspiracji Wilhelma II. Iluzji wielkości, która w sytuacji przegrywanej wojny pogrzebała władzę ambitnego cesarza.

Kilonia, podobnie jak cały Szlezwik-Holsztyn, trafiła do Niemiec dopiero w 1864 r., ale szybko wyrosła na najważniejszy port wojenny Rzeszy, detronizując trzy lata później Gdańsk – wcześniejsze centrum floty bałtyckiej. Zamówienia marynarki przyniosły ekonomiczny boom. Staraniem kolejnych cesarzy w budżecie Rzeszy nigdy nie brakowało pieniędzy na cesarskie stocznie i koszary. A z pochylni spływały na wodę coraz to większe pancerniki, krążowniki i torpedowce. Kilonia miała różne oblicza. Z jednej strony prestiżowy kiloński Yacht Club, gdzie książę Henryk, brat cesarza Wilhelma II, w czasie słynnych regat „Kieler Woche" niezdarnie kopiował brytyjskie wzory. Z drugiej – siedziba największej obok Wilhelmshaven bazy cesarskiej marynarki. Z trzeciej – ośrodek stoczni, warsztatów floty i fabryk wyposażenia okrętowego, który niczym moloch wchłaniał proletariat północnych Niemiec. Wilhelm II rzucił wyzwanie panowaniu Brytyjczyków na morzu i nadał służbie w swej flocie niebywały prestiż.

eprasa.pl 9161cd63de

W 1898 r. Kaiserflotte stała się drugą siłą morską na świecie po Royal Navy.

Jednak gdy wybuchła wojna, okazało się, że setki tysięcy ton tego pływającego żelastwa nie spełniły marzeń cesarza. Wielka jutlandzka bitwa morska z Brytyjczykami w 1916 r. pozostała nierozstrzygnięta. A Londyn skutecznie zablokował Morze Północne barierą minową. To uwięziło wielkie morskie kolosy w bazach Wilhelmshaven i Kilonii. Część oficerów przerzucono na U-Booty, ale największe okręty musiały stać w porcie. W tej sytuacji nuda i brak walki skłaniały marynarskie „doły" do kontestacji.

Na wystawie pokazano w ciekawy sposób, jak sprawnie działała wymiana informacji między matrosami i ich rodzinami. Jak informacje o śmierci braci i przyjaciół na froncie zachodnim zgasiły początkowy patriotyczny zapał.

Chwyta za gardło pamiętnik jednego z członków kilońskiej robotniczej rodziny Popps, który przypomina, jak ciężko marynarze przeżywali tzw. zimę brukwi swoich rodzin z przełomu lat 1916 i 1917. SPD, lojalna wobec cesarstwa, próbuje łagodzić nastroje, ale szybko rzuca jej wyzwanie nielegalna UPSD – niezależni socjaldemokraci, którzy od lutego 1917 r. swój wzorzec działania widzą w bolszewikach. Agitacja rewolucyjna prowadzi do licznych strajków w 1917 r. tłumionych obietnicami i represjami. Wrze też na okrętach. Załogi, którym w czasie postoju w porcie obniża się racje żywnościowe, dodatkowo oburza brutalny dryl z sadystycznymi karami. Już w sierpniu 1917 r. dochodzi do pierwszego buntu na okręcie SMS „Prinzregent Luitpold". Dwóch liderów buntu – marynarzy Maxa Reichpietscha i Albina Köbesa – wojskowy trybunał skazuje na rozstrzelanie 7 września 1917 r. Marynarze zapamiętują tę demonstrację brutalności i czekają na odpowiedni moment do buntu.

ISKRA

W końcu października 1918 r. już wiadomo w całych Niemczech, że wojna jest nie do wygrania. Dowództwo Kaiserflotte, chcąc wymusić na Brytyjczykach podjęcie rozmów pokojowych, zamierza najpierw rzucić Albion na kolana. W desperacji pojawia się pomysł decydującej wielkiej bitwy morskiej z Royal Navy na kanale La Manche. Informacje o rozkazach dowództwa w sprawie przygotowań do wypłynięcia floty do walki z 24 października 1918 r. przeciekają do marynarzy. W obliczu wizji wielkiej bezsensownej rzezi matrosi uznają, że nie mają już nic do stracenia. Zaryzykować bunt czy zostać rozerwanym przez pocisk w bitwie morskiej – co za różnica?

Pierwsza rewolta wybucha między 28 a 30 października 1918 r. na okrętach III eskadry, których załogi odmawiają podniesienia kotwicy, a palacze wygaszają piece. Otoczone przez torpedowce załogi zbuntowanych jednostek poddają się. 47 marynarzy z okrętu „Markgraf" trafia do aresztu w koszarach marynarki w Kilonii oraz w Fort Herath. Oburzone tymi represjami załogi zbierają się w kilońskim domu związków zawodowych. Ich żądania zwolnienia kolegów zostają odrzucone.

2 listopada jeszcze większe tłumy gromadzą się na Grosser Exerzierplatz. Wyłaniają się dwaj liderzy rewolty – marynarz Karl Artelt i stoczniowiec Lothar Popp.

3 listopada tłum szturmuje koszary, gdzie więzieni są marynarze, ale wojsko otwiera ogień do demonstrantów – siedem osób ginie, a 29 zostaje ciężko rannych. Gubernator Kilonii Wilhelm Souchon traci jednak powoli kontrolę nad miastem. Przysłane do pacyfikacji buntu oddziały wojska bratają się z demonstrantami.

4 listopada na ulicach jest już ok. 40 tys. zbuntowanych marynarzy i robotników. Do wieczora tłum zdobywa koszary, uwalnia aresztowanych i opanowuje miasto. Powstaje kilońska Rada Żołniersko-Robotnicza, która formułuje 14 postulatów rewolucji, w tym zwolnienie wszystkich aresztowanych marynarzy i usunięcie z ulic wojska spoza garnizonu. Pojawiają się postulaty polityczne, takie jak zniesienie cenzury, zwolnienie wszystkich więźniów politycznych czy wolność prasy.

Jednak dawna hierarchia ciągle onieśmiela. Autorzy wystawy odnotowują charakterystyczny epizod. Gdy rewolucyjni marynarze przychodzą do kilońskiego zamku, gdzie rezyduje książę Henryk Hohenzollern, ten schodzi do matrosów i każe im iść do diabła. Marynarze posłusznie opuszczają zamek. Gdy wrócą wzmocnioną grupą, brat kajzera zdąży już wyjechać sam do swej wiejskiej rezydencji Hemmelmark.

Dwa dni potem, 6 listopada, rewolucja ogarnia Wilhelmshaven, a potem kolejno Bremę i Hamburg. Wszędzie powsta-

Bunt kiloński w podręczniku z NRD. Po prawej komunistyczny plakat z 1988 r.: „Rewolucja żyje w naszych czynach"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9161cd63de

9 listopada 1918 r., Berlin, Unter der Linden. Parę dni rewolucyjnej chwały – marynarz z Kilonii z czerwonym sztandarem w dłoni na czele demonstracji socjalistów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ją rady żołniersko-robotnicze, które przejmują władzę. Urzędnicy cesarscy i oficerowi są bezradni. Marynarze jadą dużym oddziałem do Berlina, gdzie witani są jako zwiastuni rewolucji. 9 listopada cesarz Wilhelm II abdykuje i ucieka do Holandii. Tego samego dnia o godz. 14 Philipp Scheidemann, jeden z liderów SPD, ogłasza w Berlinie powstanie republiki. Wyprzedza o dwie godziny lidera komunistów, Karla Liebknechta, który proklamuje powstanie republiki rad na wzór leninowski.

Jednak masy na czele z marynarzami podporządkowują się stworzonej przez Friedricha Eberta, lidera Socjaldemokratów, radzie delegatów ludowych. Ebert, mając w pamięci odstraszający przykład rewolucji bolszewickiej, jest zdeterminowany, by nie dopuścić do przewrotu w stylu Lenina. Reichswehra po cichu obiecuje mu pomoc w zablokowaniu bolszewickiego puczu. SPD tworzy silny rząd i rady żołnierskie są spychane na bok. 20 grudnia 1918 r. zjazd rad z całych Niemiec akceptuje rozpisanie demokratycznych wyborów do Zgromadzenia Ustawodawczego w styczniu 1919 r. Na przełomie grudnia 1918 i pierwszych dni 1919 r. nie udaje się próba komunistycznego puczu. Zwycięża realizm SPD i odrzucenie komunistów z ich planami rewolucji.

Im dalej od rewolucji kilońskiej, tym marynarze są mniej potrzebni nowej władzy. Z matrosów w Berlinie sformowana zostaje Volksmarinedivision, która służy nowemu rządowi Eberta.

A marynarze w Kilonii, Hamburgu czy Bremie? Wspominałem już o całej serii pozowanych zdjęć z paru tygodni ich triumfu i chwały. Potem życie wraca do normy i ich rola jest coraz mniejsza. Jakiś czas będą się jeszcze cieszyć statusem obrońców ludowego ładu, ale szybko przestają być zorganizowaną siłą. Volksmarinedivision szybko ulega demoralizacji i w marcu 1919 r. zostaje rozwiązana. Protestujących ok. 30 matrosów zostaje rozstrzelanych ogniem ckm-ów Reichswehry. Marynarze nie mają dokąd wrócić – Rzesza traci wszystkie okręty. Brytyjczycy nakazali je odholować od bazy Scapa Flow.

RFN NARODZIŁA SIĘ W KILONII?

Dopiero w tym roku doszło do pierwszej dużej ekspozycji o buncie, który odmienił Niemcy. Dopiero po stu latach?

Tak, bo w czasach Weimaru marynarskie powstanie było zbyt świeżym i delikatnym tematem. W czasach nazistów matrosów z Kilonii uznawano za tych, którzy u schyłku I wojny światowej wbili nóż w plecy Niemcom. Po wojnie do tradycji kilońskiej rewolty hałaśliwie przyznawała się komunistyczna NRD. W 1958 r., w 40. rocznicę rewolty, premierę miał wielki filmowy epos „Pieśń marynarzy", gloryfikujący powstanie jako świadome dzieło Partii UPSD i Związku Spartakusa. Motyw rewolucyjnych marynarzy doskonale pasował jako niemiecki odpowiednik mitu krążownika „Aurora" i rosyjskich matrosów – awangardy rewolucji Lenina. W RFN o Matrosenaufstand milczano.

Dopiero teraz, prawie trzy dekady po upadku muru dzielącego Niemcy, rządzący w mieście politycy CDU, Zielonych i FDP postanowili odkurzyć tę tradycję i – jak podaje katalog wystawy – wmontować ją w „kulturę pamięci Republiki Federalnej". Powstanie kilońskie mianowane zostało w tym roku przez władze oświatowe landu Szlezwik-Holsztyn początkiem Republiki Weimarskiej.

Czy słusznie? Chyba jest sporo w tym przesady. Bunt kiloński był przede wszystkim odmową wypłynięcia na morską rzeź, a potem aktem solidarności wobec uwięzionych kolegów. Potem protestem na rzecz obalenia monarchii i żądaniem pokoju. Sytuacja mogła się na początku Listopada rozwinąć w dowolnym kierunku. Jeśliby władzę zdobył Liebknecht i komuniści, to marynarze poparliby z pewnością ich rewolucję. Jednak wygrała umiarkowana SPD i Friedrich Ebert wygasił umiejętnie siłę marynarzy. Dla komunistów będzie to dowód na zdradę rewolucji. Dla konserwatywnych Niemców to kłopotliwy epizod z chaosu lat 1918–1923.

Niemiecka klęska w I wojnie wciąż jest dla naszych sąsiadów gorzką datą. Fetowanie zrywu marynarzy ma zmienić na lepsze skojarzenia z Listopadem. Miasto Berlin już szykuje wiele wystaw i imprez związanych z wydarzeniami sprzed stu lat. Jak poradzą sobie z komunistycznym wątkiem w tamtych wydarzeniach? Nie omieszkam państwu opisać tego w kolejnych miesiącach.

Kończąc opis kilońskiej wystawy, wspomnijmy jeszcze polskie wątki w buncie marynarzy. Na wystawie odnaleźć można wśród liderów marynarskiej rewolty parę swojsko brzmiących nazwisk.

Liderem marynarzy przybyłych 8 i 9 listopada do Berlina i pierwszym dowódcą Volksmarinedivision był Paul Wieczorek (1883–1918), urodzony w Bydgoszczy, który już 13 listopada 1918 r. zginie z rąk monarchistycznych oficerów. W Bremie jednym z liderów tamtejszej rady żołniersko-robotniczej był szewc i działacz USPD Adam Frasunkiewicz (1873–1923), także rodem z Bydgoszczy.

Historia zarejestrowała też przypadek polskiego marynarza, uczestnika powstania w Kilonii – Stanisława Goworzewskiego. 12 listopada 1918 r. przybył on w imieniu lokalnej rady żołniersko-robotniczej do rodzinnego Witkowa w Wielkopolsce. Samo jego pojawienie się w marynarskim mundurze i sława powstańca z Kilonii zrobiły tak piorunujące wrażenie na miejscowym pruskim landracie Robercie Jessenie, że ten posłusznie opuścił urząd.

Wystraszony Prusak opuścił powiat wraz z rodziną 17 listopada. Władzę w lokalnym urzędzie, z aprobatą lokalnej niemieckiej rady żołnierskiej, przejęli Polacy, co dało początek tzw. republice witkowskiej – jednemu z pierwszych polskich organów władzy w Wielkopolsce. I choćby z powodu tego epizodu pomyślmy o zrywie kilońskich matrosów z pewną wdzięcznością. Tak to ten niemiecki Listopad splatał się z Listopadem polskim. Historia nie zawsze bywa prosta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Czas marynarzy" w Muzeum Żeglugi Morskiej w Kilonii czynna będzie do 17 marca 2019 r. Szczegóły na: www.kiel.de/de/kultur_freizeit/museum/schifffahrtsmuseum_fischhalle.php.

eprasa.pl 9161cd63de

Poland Daily

News, business & culture

EVERYDAY on Telewizja Republika

REPUBLIKA

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM (Warsaw time)
4:00 PM, 6:00 PM, 8:00 PM, 10:00 PM (Eastern Time, US)

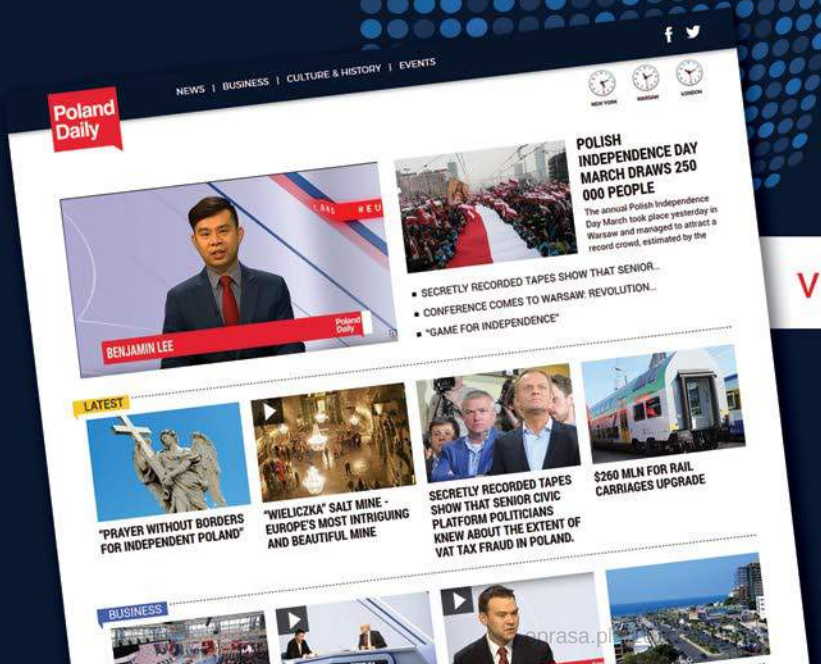

visit **polanddaily.com**

FOT. VIII LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE IM. ADAMA ASNYKA W ŁODZI/FACEBOOK

Święto dla każdego

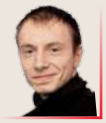

Maciej Pieczyński

Setna rocznica odzyskania niepodległości okazała się inspiracją dla wielu oddolnych, niebanalnych, fascynujących inicjatyw patriotycznych

Mało kto wie, że w Legionach Polskich podczas I wojny światowej służyło ponad 600 Żydów. Na ochotnika. Wcale nie musieli walczyć o Polskę, której wtedy od ponad stu lat nie było na mapach Europy. A jednak zupełnie świadomie postanowili oddać za nią życie. Tę historię przypomina spektakl „Pamiętnik Żyda legionisty" przygotowany w ramach projektu teatralnego „Żydzi Legioniści w walce o niepodległość Polski". – To przepiękne przedstawienie słowno-muzyczne, podczas którego można usłyszeć pieśni zarówno legionowe, jak i szabatowe. Żydzi w szeregach Legionów nie zatracali swojej tożsamości. Walczyli o Polskę, jednocześnie celebrując swoją kulturę. Często zdarzało się, że wspólnie z towarzyszami broni wyznania katolickiego spędzali swoje święta – opowiada Jarosław Papis z Fundacji Trzeci Wymiar Kultury, która wspólnie z Fundacją Niepodległa jest organizatorem wydarzenia.

Przedstawienie jest wierną inscenizacją autentycznego „Pamiętnika legionisty" autorstwa Władysława Steinhausa – Żyda, który służył w 6. Pułku Piechoty Legionów. Ta prawdziwa historia o tolerancyjnej, otwartej Polsce – jak przyznaje Jarosław Papis – może być znakomitym antidotum na antypolonizm, którego głównym narzędziem jest dziś oskarżanie Polaków o antysemityzm. Tym bardziej warto wspomnieć, że niebawem spektakl, który miał już swoją premierę w Polsce, będą mogli obejrzeć widzowie amerykańscy: 1 grudnia w Chicago, 9 grudnia – w Nowym Jorku.

NA WIELU FRONTACH

O ile w ostatnich latach inicjatywy patriotyczne młodych ludzi koncentrowały się głównie na pokazach grup rekonstrukcji historycznej i marszach pamięci, o tyle coraz częściej pamięć historyczna wraca w musicalach, pokazach multimedialnych i tańcu współczesnym.

Taki pokaz, w którym muzyka, światło, obraz przeplatają się z tańcem, cieszący się na Dolnym Śląsku olbrzymią popularnością, zorganizowały dzieci i młodzież z trzech pracowni tańca współczesnego działających przy Bolesławieckim Ośrodku Kultury. Na ekranie pojawiały się przejmujące sceny i zdjęcia najważniejszych momentów walki o wolną Polskę. Można było zobaczyć takie postaci jak: Józef Piłsudski, żołnierze Bitwy Warszawskiej, Janusz Korczak, żołnierze Armii Krajowej (w tym m.in. „Inkę"), o. Maksymilian Kolbe, ks. Jerzy Popiełuszko i Jan Paweł II.

– Zaczęło się niewinnie, od pomysłu na choreografię. Później projekt zaczął się rozwijać, młodzież bardzo się w to zaangażowała, niekiedy na zajęciach, kiedy rozmawialiśmy o polskiej historii, o tym, jak możemy ją pokazać, pojawiały się łzy. W moim odczuciu to wynikało z zaangażowania tych młodych ludzi, z ich miłości do ojczyzny. A spektakl kończył się wspólnym odśpiewaniem przez wszystkich, również widownię, „Mazurka Dąbrowskiego". Reakcje widzów były bardzo wzruszające – mówi nam Halina Bałacka-Kłak, instruktor w Pracowni Tańca Współczesnego w Bolesławieckim Ośrodku Kultury.

Z kolei weterani polskiego wojska, uczestnicy misji na Bliskim Wschodzie dziś związani z Fundacją Stratpoints gen. Mirosława Różańskiego przygotowali pokazywaną w wielu miastach Polski – obecnie w Muzeum Lotnictwa w Krakowie – wystawę „Weterani Niepodległości 1918–2018". Historia ujęta w fotografii opowiada o służbie, jej trudnościach, wyrzeczeniach, poświęceniach, o odpowiedzialności za innych.

– „Zaangażowaliśmy" w naszej wystawie wszystkie pokolenia weteranów walczących o wolność naszą i waszą, na wszystkich frontach świata. Od Legionów Piłsudskiego przez żołnierzy Hallera,

eprasa.pl 9161cd63de

kościuszkowców, żołnierzy wyklętych, wreszcie do żołnierzy GROM-u. Pokazujemy, że siłą polskiego wojska była zawsze walka o wolność. Prezentujemy bohaterów bez podziałów, uczymy szacunku dla nich – mówi nam chor. Przemysław Wójtowicz, ranny na misji w Afganistanie, członek Fundacji Stratpoints.

Wystawa „Weterani Niepodległości" to kilkanaście wielkich tablic, setki zdjęć. Dzisiaj jeździ po Polsce, jest pokazywana zarówno w plenerze, jak i w muzealnych wnętrzach.

Czynni żołnierze zorganizowali też „Operację Echo" pomagającą żyjącym żołnierzom wyklętym. Zbierali pieniądze na leki, na niezbędne operacje medyczne, na środki, zorganizowali też huczne 97. urodziny, z udziałem przedstawicieli prezydenta, jednego z najstarszych żołnierzy wyklętych – por. Wiktora Sumińskiego ps. Kropidło (zmarł latem tego roku).

– Niestety, odszedł jeden z naszych bohaterów, którymi się opiekowaliśmy. Udało nam się porozumieć z IPN, że sfinansuje por. Sumińskiemu budowę nagrobka według naszego projektu – mówi nam ppor. Piotr Maletka, jeden z organizatorów akcji „Operacja Echo".

ZDROWY DUCH W ZDROWYM CIELE

W oryginalny sposób setną rocznicę odzyskania niepodległości świętowali najmłodsi piłkarze najstarszego warszawskiego klubu piłkarskiego. Adepci Akademii Polonii Warszawa wystąpili w spocie nagranym specjalnie na tę okazję. „Kochana Polsko, z okazji twojego święta – setnej rocznicy odzyskania niepodległości – życzę ci z całego serca pokoju, szczęścia, abyś zawsze była dla nas dobra. I pamiętaj, że zawsze będziemy ciebie kochali i szanowali" – tak brzmiały życzenia złożone przez młodych polonistów. – Chcielibyśmy, aby nasze dzieci rozwijały się nie tylko sportowo, lecz także duchowo. Dlatego staramy się zadbać o ich patriotyczne wychowanie – mówi Marek Makuch, tata siedmioletniego Michała, jednej z gwiazd spotu.

Okolicznościowe nagranie nie jest pierwszą akcją patriotyczną, w której biorą udział młodzi poloniści. Wcześniej m.in. przygotowali spot upamiętniający rocznicę powstania warszawskiego, organizowali turniej pamięci Orląt Lwowskich czy kwestowali na Powązkach, zbierając pieniądze na renowację lwowskich cmentarzy. Jak zapewnia Marek Makuch, młodzi piłkarze bardzo chętnie uczestniczą w tego typu wydarzeniach. Nie trzeba ich specjalnie namawiać. – Dla nich to po prostu fajne przeżycie, wielka frajda i ciekawy sposób na spędzenie wolnego czasu. Szczególnie jeśli mogą zobaczyć namacalny efekt swoich działań, a tak jest w przypadku zbierania pieniędzy na renowacje grobów. Oczywiście przekaz musi być dostosowany do wieku. Dlatego wychowując kilkulatka w duchu patriotycznym, opowiadamy raczej o zwycięstwach, sukcesach, o bohaterskich czynach żołnierzy walczących o niepodległość, nie zaś o klęskach czy ofiarach. Nawet jednak opowiadając o przegranych bitwach, można rozbudzić fascynację bohaterstwem tych, którzy zginęli, walcząc o słuszną sprawę – mówi Marek Makuch.

Jak przyznaje z dumą, syna uczy miłości do ojczyzny na przykładzie historii rodzinnych. – Jeden z moich dziadków uczestniczył w kampanii wrześniowej, walczył w bitwie pod Kockiem, pod komendą gen. Kleeberga. Drugi był żołnierzem armii Andersa. Michał bardzo chętnie słucha opowieści o bohaterskich czynach swoich pradziadków – dodaje. Nie bez znaczenia jest też etos Polonii Warszawa, klubu mocno wpisanego w najnowszą historię Polski. Jak zapewnia Marek Makuch, rodzice najmłodszych polonistów bardzo chętnie angażują się w różne inicjatywy sprzyjające patriotycznemu wychowaniu swoich pociech.

W tym roku mija setna rocznica wybuchu powstania wielkopolskiego. O pamięć o tym zwycięskim zrywie skutecznie dbają kibice Lecha Poznań. Od dziewięciu lat organizują zbiórkę pieniędzy na renowację powstańczych grobów. Dotąd udało się odrestaurować blisko pół tysiąca pomników i tablic. Tegoroczna zbiórka była rekordowa. Zebrano ponad 415 tys. zł. – Wszystko zaczęło się w 2009 r. od niewielkiej zbiórki, połączonej z dystrybucją koszulek powstańczych. Od samego początku motorem napędowym inicjatywy byli kibice Lecha Poznań. Po pewnym czasie jednak w akcję zaczęło się angażować coraz więcej osób także spoza środowiska kibicowskiego, mieszkańców Wielkopolski, którym droga jest pamięć o powstaniu – mówi Marcin Kawka, kibic Lecha Poznań, współorganizator akcji.

– Powstanie wielkopolskie to jeden z niewielu zwycięskich zrywów niepodległościowych w polskiej historii. I jesteśmy z tego dumni – podkreśla Marcin Kawka. – Bardzo nas boli, że przez wiele lat Warszawa miała nas w głębokim poważaniu. Polskie władze nie chciały na poziomie centralnym docenić powstania wielkopolskiego. Częścią narodowej tożsamości uczyniono pamięć o powstaniu warszawskim czy o powstaniach w gettach warszawskim i łódzkim. Z całym szacunkiem dla bohaterów tych wydarzeń, ale były to jednak zrywy przegrane. Tymczasem zwycięskie powstanie wielkopolskie nieodmiennie traktowano tak, jakby chodziło o jakiś mit, bajkę, coś mało znaczącego. A przecież gdyby Wielkopolanie nie stanęli do walki o niepodległość, niemożliwe byłoby zatrzymanie bolszewików pod Warszawą – dodaje.

Cmentarz Centralny w Szczecinie jest największą nekropolią w Polsce i trzecią co do wielkości w Europie. Na terenie cmentarza znajdują się liczne miejsca pamięci związane z historią Polski. Do końca roku ma powstać kolejne, a mianowicie pomnik ofiar nacjonalizmu ukraińskiego. – Kiedy ksiądz arcybiskup zapytał mnie o pochodzenie, odpowiedziałem, że urodziłem się na Pomorzu Zachodnim, ale jestem z krwi i kości kresowiakiem. Moja rodzina pochodzi bowiem z Wołynia. Tam moi rodzice się poznali, tam wzięli ślub i tam przeżyli koszmar ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów – opowiada ks. Kazimierz Łukjaniuk, proboszcz parafii pw. św. Rafała Kalinowskiego w Nowogardzie, założyciel Stowarzyszenia Kresy Wschodnie – Dziedzictwo i Pamięć, które jest inicjatorem powstania pomnika.

– Moja mama przeżyła dokładnie to samo co główna bohaterka filmu „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Tak jak ona w cudowny sposób uszła z rąk banderowców, ratując swojego syna, mojego dwuletniego brata. Reszta rodziny mojej mamy nie zdołała uniknąć śmierci. Ukraińcy zamordowali jej matkę i 16-letniego brata, który był kaleką, miał jedną nogę krótszą, dlatego nie był w stanie uciec – opowiada ks. Łukjaniuk.

On sam często jeździł na Wołyń. Od pięciu lat walczy o ekshumacje wymordowanych przez Ukraińców mieszkańców wsi, z której pochodzi jego matka. Bezskutecznie. Właśnie dlatego, nie mogąc upamiętnić ofiar na miejscu ich kaźni, postanowił zainicjować budowę ich pomnika w Szczecinie, gdzie żyje dziś wielu potomków kresowiaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Współpraca: ww

eprasa.pl 9161cd63de

Polska Grupa Energetyczna – symbol niepodległości

Niepodległość – w stulecie odzyskania jej przez Polskę – odmieniana jest przez wszystkie przypadki. I słusznie. Choć czasem niestety traci przy tym namacalny wymiar. Poczucie tego, co daje. Także wymiernie: merkantylnie i cywilizacyjnie. I to każdemu z nas, niezależnie od politycznych różnic. To jednak naturalne zjawisko – skoro, zwłaszcza dla młodszych pokoleń, niepodległość jest równie „oczywistą oczywistością". Taką jak ciepła woda w kranie. Albo jak elektryczność. W domu i w pracy. Dzieje polskiej elektroenergetyki to uzmysławiają.

SIŁA I ŚWIATŁO POLSKOŚCI

Świętej pamięci Paweł Wieczorkiewicz w jednym ze swoich wykładów w Polskim Radiu podkreślał, że czas zaborów nie był do końca stracony – wszak postęp cywilizacyjny na ziemiach polskich się dokonał. Profesor słynął z przekory. Warszawa, stolica Priwislańskiej Guberni, co prawda dusiła się w gorsecie carskich fortyfikacji, które miały nie tyle chronić przed Niemcami (zresztą tuż przed wybuchem wojny z nimi zaczęto je… burzyć). Ich cel był inny. Pokazać potencjał zdławienia stolicy polskiego niepodległościowego buntu. Zrównania jej z ziemią. Dodajmy, że zarówno za Cytadelę, z Bramą Straceń wybitnych Polaków, jak i za sieć fortów musieli w podatkach zapłacić… sami Polacy.

Z elektryfikacją w Warszawie nie czekano jednak na Lenina, który w samej Rosji zdefiniował komunizm jako „władzę Sowietów plus elektryfikację". (Zresztą gdy Sowiety dotarły podczas drugiej apokalipsy na ziemie polskie – prądu… zabrakło – na co zwraca uwagę nieoceniony Józef Mackiewicz). Warszawa – gubernialne miasto imperatorów – zawdzięczała elektryfikację… zachodnim koncernom. Tyle tylko, że ich prąd był bardzo drogi. Mimo że sprzedawały go jako luksus, to nadwiślańskie spółki córki zachodnich koncernów nie wykazywały zysków. Gdy mówiłem o tej XIX-wiecznej złodziejskiej optymalizacji podatkowej podczas tegorocznej gali Strażnika Pamięci tygodnika „Do Rzeczy", ożywił się premier Mateusz Morawiecki. Pewne mechanizmy się zmieniają jedynie z nazwy.

I Polacy, jeszcze pod zaborami, właśnie w sprawie prądu postanowili być niepodlegli wobec rosyjsko-zachodniego układu, który drenował ich kieszenie. Jeszcze w 1914 r. rozpoczęli prace nad powołaniem spółki „Siła i Światło". Wielka Wojna spowodowała, że spółkę akcyjną zarejestrowano jako pierwszą spółkę niepodległej już Rzeczypospolitej. Nasz koncern był nie tylko gigantem. Każdy znany z bajki „pstryczek-elektryczek" był dumą postępu, jaki niosła II RP. Takim małym symbolem niepodległości. Spółka inwestowała także w ówczesne start-upy: Polskie Radio, kolejkę elektryczną, która z ulicy Nowogrodzkiej wiodła do założonego miasta ogrodu. Dobrze skomunikowany słynny Milanówek miał uchronić Warszawę przed staniem się betonową pustynią.

Czasem wydaje się, że nic nie czerpiemy z mądrości naszych antenatów, okazuje się, że tak wcale nie jest. Oto Polska Grupa Energetyczna jak Siła i Światło jest przede wszystkim niepodległa wobec obcych koncernów, które chciałyby drenować kieszenie Polaków. To naprawdę ma znaczenie. I nadal jest największym dostarczycielem prądu. To nie banał. Wszak żyjemy w czasie, gdy Kremlem rządzi człowiek, który obronił doktorat z wykorzystywania energii w geopolityce. Taki, który woli Priwislańskij Kraj od niepodległej Polski.

PGE nie poprzestaje jednak na „bazie". Do niepodległości podchodzi nie tylko rozumnie, lecz także z sercem. Na przestrzeni ostatnich lat wspiera setki projektów, których celem jest kultywowanie pamięci historycznej. By dodać jej energii. Wiele razy sama wychodziła z inicjatywami, które cieszą się dużym zainteresowaniem społecznym. Patrz bijące rekordy popularności filmy: „Miasto '44", „Wyklęty" czy powstający właśnie „Kurier" o Janie Nowaku-Jeziorańskim, którego spółka została mecenasem.

Mało, to dodajmy: wsparcie Muzeum Powstania Warszawskiego, współorganizując m.in. lekcje muzealne, warsztaty o historii XX-wiecznej Warszawy czy... biorąc udział w produkcji serii komiksów historycznych „Bradl". Dynamiczna akcja, tajne organizacje i wciągające intrygi – historia oparta na losach polskiego szpiega Kazimierz Leskiego „Bradla" to jedna z inicjatyw, w które włączyła się PGE, aby zachęcać najmłodszych do poznawania historii.

– Jako największa firma energetyczna i jedno z największych przedsiębiorstw działających na polskim rynku wiemy, jak ważne jest wspieranie projektów związanych z polską kulturą, a także pielęgnowanie pamięci o naszej historii oraz kształtowanie postaw patriotycznych wśród dzieci i młodzieży. Chętnie angażujemy się w projekty podtrzymujące pamięć o najważniejszych wydarzeniach w historii Polski – podkreślał prezes PGE Henryk Baranowski, kiedy dwa lata temu spółka wsparła akcję warszawskiego Fotoplastikonu.

REALNA POMOC

Jest i coś wyjątkowego. Na wzór opieki, jaką II RP roztoczyła nad powstańcami styczniowymi, PGE angażuje się w projekty bohaterom, którzy wciąż żyją i potrzebują wsparcia. W ramach programu „Bohaterowie naszej przyszłości". PGE współfinansuje pomoc dla powstańców warszawskich, którzy mogą ubiegać się o przyznanie świadczenia w wysokości 850 zł, z którego środki będą mogli przeznaczyć na opłaty za energię elektryczną, leki, koszty opieki medycznej oraz opłaty za inne media.

– Czujemy się w obowiązku, aby pomagać tym, dzięki którym możemy żyć w wolnej Polsce i świętować 100-lecie odzyskania niepodległości. Uznajemy to za nieodłączną część naszej misji – mówił, odbierając nagrodę Strażnika Pamięci, prezes PGE Henryk Baranowski.

Niepodległość musi mieć stałe napięcie. Tego nie zapewnią obce koncerny. Robi to PGE, stając się symbolem, strażnikiem i gwarantem ważnej części naszej niepodległości.

Antoni Trzmiel
dziennikarz Telewizji Polskiej i szef Dorzeczy.pl

eprasa.pl 9161cd63de

PGE
Zapewniamy energię

Oszczędzaj z rabatem na urządzenia AGD z grupy Whirlpool w PGE eSklep

Wybierz ofertę na prąd od PGE i odbierz rabat na energooszczędne urządzenia AGD z grupy Whirlpool.

Poczuj oszczędności, które płyną z prądem.

Jesteś klientem PGE?

Korzystaj z kuponów rabatowych i oszczędzaj nawet 50% podczas zakupów w sieciach popularnych sklepów. Kupony dostępne na PGE eSklep lub PGE eBOK.

Wejdź na sklep.gkpge.pl

422 222 222

O szczegóły zapytaj konsultanta w Biurze Obsługi Klienta.
Infolinii PGE lub sprawdź w regulaminie na www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 9161cd63de

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Amerykanka we dworze

Opowieść Virgilii Peterson, amerykańskiej pisarki z Nowego Jorku, która w 1933 r. poślubiła księcia Pawła Sapiehę i przyjechała z nim do jego rodzinnych włości w Siedliskach w województwie lwowskim, rozpoczyna się tak:

„O drugiej nad ranem, już po burzy, skręciliśmy z gościńca w wąską drogę, gęsto obsadzoną drzewami z obu stron.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział mój mąż. – To nasze lasy.

W tej samej chwili rozbrzmiała salwa wystrzałów. Wzdrygnęłam się.

– To na twoją cześć. Na powitanie – wyjaśnił".

Przyjęcie było dość chłodne, bo rodzina Sapiehów nie była zachwycona tym małżeństwem. Amerykańska wybranka księcia była bowiem rozwódką i nie była katoliczką. W efekcie teść Virgilli powitał ją następującymi słowami po francusku: „Witamy w domu. Przykro mi, że nigdy nie nauczyłem się angielskiego. To okropny język. Jesteś bardzo wysoka i niezbyt pulchna".

Fragmenty wspomnień Virgilli Sapiehy, które znalazły się w nowym numerze „Karty", to źródło kapitalne. Ciekawie jest bowiem spojrzeć na dobrze znane nam sprawy oczami obcokrajowca. Autorkę interesowało wszystko – przyroda, architektura, zwierzęta, ale przede wszystkim ludzie. Zarówno arystokraci, jak i zwykli chłopi.

„Służba mnie tolerowała, lecz wszyscy dostrzegali – pisała Virgilia – że nie wiem, gdzie się przechowuje mąkę, kiedy jest świniobicie ani ile mięsa trzeba zamówić u rzeźnika z Rawy Ruskiej. Zauważyli, że nie chodzę do pralni ani chłodni, nie mam pojęcia, gdzie oni śpią i jakie dostają pensje. Moje zainteresowanie kurami i indykami ogranicza się do odganiania ich od trawnika".

W nowej „Karcie" znajdziemy także blok materiałów o rozwoju polskiej telegrafii i radia, relację polskiego policjanta, internowanego w 1939 r. na Litwie, który potem trafił do obozu w Kozielsku, a także wstrząsające fotografie z marszu Armii Czerwonej przez Prusy. Aż trudno uwierzyć, że takie wojsko było w stanie pokonać III Rzeszę! ©℗

★★★★★★
„KARTA"
97/2018

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

SŁAWOMIR KOPER

Zemsta Nałkowskiej

Niemal każdy twórca korzysta z własnej biografii, a szczególnie dotyczy to powieściopisarzy i dramaturgów. Po literackiej obróbce różne epizody trafiają do wydawcy, często wzbudzając konsternację zainteresowanych. Czasami jest to forma zemsty na dawniej bliskich osobach, czasami nostalgiczne wspomnienia.

Nałkowska zemściła się na mężu, pisząc dramat „Dom kobiet"

Nie inaczej było z Zofią Nałkowską, która w jednym ze swoich dramatów – „Dom kobiet" – rozprawiła się ze swoim drugim mężem, Janem Jurem-Gorzechowskim. Związek ten był najlepszym potwierdzeniem tezy, że przeciwieństwa się przyciągają. Gorzechowski był jedną z największych legend ruchu niepodległościowego, zasłynął jako dowódca brawurowej akcji odbicia z Pawiaka 10 więźniów skazanych na karę śmierci. Gdy się poznali, był kapitanem I Brygady i dowodził jej żandarmerią. To wiele wyjaśnia. Piłsudski z reguły nie mylił się w sprawach personalnych, poprzednik Gorzechowskiego, Kostek Biernacki, zasłużył sobie na przydomek Kostia Wieszatiel.

Jednak Jur początkowo wywarł na Nałkowskiej nieprawdopodobne wrażenie. Preferująca dotychczas intelektualistów pani Zofia nagle zaczęła wspominać, że „kobieta jest nagrodą wojownika", a „bohaterom wolno być nawet dzikim i okrutnym". Z dumą podkreślała, że życie wybrańca już stało się legendą, a „dusza jego jest prosta, dzika i surowa".

Niestety, gdy po odzyskaniu niepodległości zalegalizowali związek, okazało się, że niewiele mają sobie do powiedzenia. Chociaż Nałkowska posłusznie przeniosła się z mężem z Warszawy do Grodna, nie mogła się tam zaadaptować, tym bardziej że Gorzechowski uznał, że powinna zostać typową oficerską żoną, i z romantycznego kochanka zmienił się w domowego tyrana. Z rozmysłem „separował ją od świata literackiego, bagatelizował jej twórczość, robił wszystko, by zniechęcić ją do pisania". Starał się ją „podporządkować sobie bez reszty".

Do tego był kobieciarzem, dlatego po powrocie do Warszawy ostatecznie się rozstali. Nałkowska zemściła się na mężu, pisząc dramat „Dom kobiet", który jest chyba najbardziej osobistym jej dziełem. Nic zatem dziwnego, że jeden z krytyków na premierowym przedstawieniu zauważył ironicznie, iż sztuka opisuje, jak to „latami całymi Jur nabijał naszą Zosię w butelkę".

Chociaż dramat nie uchodził za specjalnie udany, to miał jednak kilka telewizyjnych adaptacji (premiera pierwszej miała miejsce 28 listopada 1966 r.), a Krzysztof Zanussi nakręcił nawet w 1977 r. na jego motywach film dla telewizji RFN… ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

GRABIĆ LIŚCIE JAK TRUMP

Ponieważ w USA szaleją pożary i niektórzy celebryci pomstują przy tym na prezydenta kraju, to i sam Donald Trump zabrał w sprawie głos. Stwierdził, że rozmawiał kiedyś z prezydentem Finlandii, od którego się dowiedział, iż Skandynawowie „spędzają dużo czasu na grabieniu liści", dzięki czemu mają unikać takich zagrożeń. Prezydent Finlandii poważnie się zdziwił, bo niczego takiego nie mówił, a Finowie zalali Internet śmiesznymi zdjęciami pokazującymi, jak to „grabią lasy".

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

TAKSÓWKI NIE DLA PRAWICOWCÓW

W amerykańskiej Filadelfii odbyła się demonstracja „patriotów" oraz „kochających konstytucję", a zarazem „obrońców amerykańskich wartości i przeciwników nielegalnej imigracji". Zorganizowali ją m.in. członkowie prawicowej organizacji Proud Boys. Musieli nie tylko zetrzeć się z kontrmanifestantami m.in. z lewicowej Antify, lecz także zmierzyć się z problemem komunikacyjnym. Jak pokazywały lokalne media w sieci – taksówkarze odmawiali kursów z prawicowcami, którzy po demonstracji chcieli wrócić do domu.

CIEMNE OBLICZE BOHATERA

Podczas niedawnego ataku nożownika w Melbourne bezdomny uderzył go wózkiem sklepowym, czym pomógł policjantom w obezwładnieniu terrorysty. Media rozszyfrowały jego tożsamość i okrzyknęły go bezdomnym bohaterem. Szybko wyszło na jaw, że ma sporo na sumieniu – sam przyznał w wywiadzie dla prasy, iż ciągle trafia do więzienia za różne drobne przestępstwa. Po krótkiej chwili chwały oddał się w ręce policji. Był bowiem poszukiwany.

BO PASAŻER BYŁ ZA GRUBY

Przed brytyjskim sądem trwa proces, który jeden z turystów wytoczył British Airways. Domaga się od linii lotniczych 10 tys. funtów odszkodowania za to, że na długiej trasie umieszczono go w rzędzie z innym grubym pasażerem. 51-latek twierdzi, że nie mógł siedzieć w normalnej pozycji. W związku z tym boli go teraz kręgosłup, przez co brakuje mu energii w życiu, a to wpłynęło na jego związek. Musiał też zrezygnować z jazdy rowerem górskim, którą lubił.

UDAWAŁA PSYCHIATRĘ PRZEZ 22 LATA

Blisko 3 tys. zagranicznych lekarzy w Wielkiej Brytanii przejdzie weryfikację dokumentów. To efekt afery związanej z Zholią Alemii, która – jak się okazało – przez 22 lata praktykowała na Wyspach jako lekarz psychiatra, którym nigdy nie była. Wpadła przez to, że po skazaniu jej za oszustwa i kradzież (jednemu z pacjentów „pomagała" w sporządzaniu testamentu, skradła też kilka kobiecych zegarków) lokalna prasa dokładnie się jej przyjrzała. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O ciszy wygnanej na cmentarz

Żyjemy w ponurej kulturze hałaśliwego ekshibicjonizmu, egotyzmu i chamstwa. Sentencję Kartezjusza: „Myślę, więc jestem" wyparła: „Wrzeszczę, więc jestem".

Miałem koszmarną podróż koleją z Bari do Rzymu. Pociąg zwany „srebrną strzałą" na odcinku z Lecce (150 km) złapał 40 minut opóźnienia. Dowiedziałem się, że miejscowi przezwali go „złamaną strzałą", bo się zawsze spóźnia. Najgorsze było jednak przede mną. Jakaś pani adwokat niemal przez całą drogę doradzała swoim klientom, wrzeszcząc do komórki na cały wagon. Co gorsza, w pewnym momencie jakiś Arab zaczął ryczeć, odczytując tekst z ekranu własnej komórki. Kiwał się przy tym, więc wyglądało to na modlitwę. Ludzie wpadli w popłoch, bo obawiali się, że za chwilę wszyscy wylecimy w powietrze. Okazało się jednak, że był to jedynie element konwersacji telefonicznej. Kiedy pan Arab skończył, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Pomyślałem o Angliku, którego zachowałem we wdzięcznej pamięci do dziś. Ćwierć wieku temu w Londynie czekałem na swoją kolejkę u fryzjera – Cypryjczyka, któremu usta w czasie pracy się nie zamykały. Zdystansowany syn dumnego Albionu zasiadł w fotelu, a gdy mistrz spytał: „Jak pana ostrzyc?", rzucił krótko: „W absolutnej ciszy".

Dzisiaj cisza jest luksusem dostępnym jedynie w kościele, na cmentarzu albo – jak nazwa wskazuje – w głuszy. Zauważcie, jak skutecznie wygnano ciszę ze sportu, szczególnie z meczów siatkówki, którą namiętnie oglądam. Przez cały czas wodzirej drze mordę jak obdzierany ze skóry albo dudni muzyka, w takt której podrygują panienki. Przecież chwila ciszy jak nic innego potrafi oddać napięcie i sportowy dramat.

A śpiewał poeta: „Bo gdy się milczy, milczy, milczy, to apetyt rośnie wilczy na poezję, co być może drzemie w nas". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9161cd63de

Rosyjski atak bronią D na Europę?

Witold Repetowicz

Na początku października brytyjski dziennik „The Sun" poinformował, że Rosja tworzy dwie bazy wojskowe w Libii i wyposaża je w rakiety S-300 oraz Kalibr. To nie pierwsze takie doniesienie na temat rosyjskich planów w tym północnoafrykańskim kraju. Dla Europy może to oznaczać śmiertelne zagrożenie

FOT. FELIPE DANA/AP/EAST NEWS

Według „The Sun" informacja na temat przerzucania przez Rosję do Libii systemu rakiet ziemia-powietrze S-300 oraz przeciwokrętowych pocisków manewrujących Kalibr została przekazana premier Teresie May przez brytyjskie służby specjalne. Cytowane przez gazetę „źródło rządowe" nie ma wątpliwości, że chodzi o przejęcie przez Rosję kontroli nad szlakami przerzutu nielegalnych migrantów. Libia jest bowiem śluzą, przez którą przedostają się największe fale migrantów szukających na Starym Kontynencie lepszego życia. Bazy, które Rosja buduje, mają być zlokalizowane w okolicach Tobruku oraz Bengazi we wschodniej części wybrzeża tego kraju. Rządzi tam gen. Chalifa Haftar, z którym Europa nie chce współpracować, co oczywiście wykorzystuje Kreml.

DESTABILIZACJA

Chociaż w czasie zimnej wojny rządzona przez płk. Kaddafiego Libia była sojusznikiem ZSRS i szkoliła terrorystów, wykorzystywanych później przez Moskwę do destabilizacji Zachodu, to rozpad sowieckiego imperium spowodował również zmiany w polityce zagranicznej tego północnoafrykańskiego kraju. Starzejący się dyktator, chcąc zadbać o przyszłość swoją i swojej rodziny, postanowił pojednać się z Zachodem, w tym z USA, Włochami i Francuzami. Kaddafi, który miał ogromne wpływy w afrykańskim regionie Sahary i Sahelu, blokował też migrację z Afryki Subsaharyjskiej na północ, tj. przez Libię do Europy. O tym, jakie to miało znaczenie, Europa przekonała się cztery lata po obaleniu Kaddafiego.

Bez względu na to, jakie były intencje międzynarodowej interwencji, która w 2011 r. doprowadziła do upadku Kaddafiego, Libii nie przyniosła ona żadnej demokracji, lecz tylko zniszczyła ten kraj i spowodowała, że zapanował w nim chaos, a władzę stopniowo zaczęły przejmować ugrupowania dżihadystyczne powiązane z Al-Kaidą. W 2014 r., po wyborach, w których wzięło udział zaledwie 18 proc. Libijczyków, a które rządzący islamiści przegrali, powstały dwa libijskie rządy – jeden z siedzibą w Tobruku, a drugi w Trypolisie. Wkrótce potem w Libii pojawiło się Państwo Islamskie, które opanowało spore terytorium, tworząc tam najsilniejszą swoją „prowincję" poza Irakiem i Syrią. Wtedy to do akcji wkroczył 70-letni gen. Chalifa Haftar, który niemal przez 20 lat, do końca lat 80., związany był z Kaddafim. Haftar ogłosił rozpoczęcie antyislamistycznej operacji „Godność", która miała oczyścić Libię nie tylko z Państwa Islamskiego, lecz także ze wszystkich innych bojówek dżihadystycznych. Sędziwy generał szybko przejął kontrolę nad libijską armią i stopniowo opanował większość terytorium kraju, przetrącając Państwu Islamskiemu kręgosłup.

Zachód nie miał jednak zamiaru wspierać Haftara i utrzymał embargo na dostawy broni do ogarniętej wojną domową Libii. Administracja Baracka Obamy wciąż nie mogła się pogodzić z klęską islamistów z Bractwa Muzułmań-

eprasa.pl 9161cd63de

skiego, którzy według wizji Amerykanów mieli zaprowadzić w świecie arabskim demokrację. Tymczasem kluczowy z tego punktu widzenia rząd islamistyczny w Egipcie został obalony w 2013 r. przez gen. Abd al-Fattaha al-Sisiego. Sisi wkrótce stał się głównym sojusznikiem Haftara, a USA coraz bardziej zgrzytały zębami i postanowiły ukarać Egipt (dotychczas swojego lojalnego sojusznika) sankcjami obejmującymi m.in. ograniczenie pomocy wojskowej. Nic zatem dziwnego, że Sisi postanowił szukać alternatywy, z czego natychmiast skorzystała Rosja.

Tymczasem od 2011 r. zaczęła się destabilizacja rejonu Sahary i Sahelu. Pustynne ludy, takie jak Tuaregowie, zaczęły wracać z Libii do Nigru i Mali, czego efektem była wojna domowa w tym drugim kraju, zakończona interwencją francuską. Francji udało się obronić Mali przed opanowaniem przez dżihadystów, ale nie udało się zlikwidować zagrożenia terroryzmem islamskim na Saharze. Pustynni dżihadyści byli jednak również, a czasem przede wszystkim, przemytnikami, którzy korzystając z chaosu, zintensyfikowali swoją współpracę z południowoamerykańskimi kartelami narkotykowymi i włoską mafią w zakresie przemytu kokainy do Europy. Szybko pojawił się też nowy biznes – przemyt ludzi, tj. afrykańskich migrantów, zwanych z uporem maniaka w europejskich mediach mainstreamowych „uchodźcami". Zdaniem obecnych władz Włoch 92 proc. osób nielegalnie przypływających do tego kraju to nie uchodźcy.

SILNA RĘKA

W 2010 r. na szlaku środkowośródziemnomorskim (czyli prowadzącym z Libii do Włoch) liczba nielegalnych migrantów wyniosła 4,5 tys., ale już rok później było ich prawie 65 tys., a w 2014 r. 170 tys. i od tego czasu liczba ta nie spadła poniżej 100 tys. rocznie. Był to oczywiście efekt obalenia Kaddafiego, a także braku prób porozumienia się z nowym „silnym człowiekiem", czyli Haftarem. Zamiast tego tzw. społeczność międzynarodowa postanowiła w 2016 r. powołać w Libii „rząd jedności narodowej". Jednak bez Haftara. Efekt był więc taki, że rząd ten poza uznaniem międzynarodowym niewiele zyskał, a Haftar tylko się umocnił i zintensyfikował swoje kontakty z Rosjanami. Włochy zawarły natomiast porozumienie z konkurencyjnym rządem z Trypolisu, który opiera się na dżihadystycznych milicjach, płacąc związanej z nimi straży przybrzeżnej ogromne pieniądze za zawracanie łódek z migrantami. Wprawdzie porozumienie działa i w 2018 r., dzięki niemu oraz drastycznym środkom wprowadzonym przez włoskie władze (niewpuszczanie łódek do włoskich portów), radykalnie zredukowały napływ nielegalnych imigrantów na szlaku środkowośródziemnomorskim, ale aktywność Rosjan w Libii może znów zmienić ten trend.

Rosjanie już w 2014 r. wyciągnęli do Egiptu pomocną dłoń, czego efektem była warta 3 mld dol. umowa kupna rosyjskiej broni przez Egipt. We wrześniu 2017 r. odbyły się wspólne manewry egipsko-rosyjskie, a na granicy z Libią powstała rosyjska baza. Zadaniem przerzuconych tam żołnierzy rosyjskich miało być udzielanie wsparcia Haftarowi. Moskwa zaczęła też negocjować z Egiptem układ pozwalający na korzystanie przez rosyjskie samoloty z baz lotniczych w Egipcie.

Kartą uchodźców gra Kreml, który chce zmusić Europę do pokrycia kosztów odbudowy Syrii

Równocześnie Kreml zintensyfikował współpracę z Haftarem. W styczniu 2017 r. do portu w Tobruku wpłynął rosyjski lotniskowiec „Admirał Kuzniecow", wracający z wybrzeża Syrii, a na jego pokład zaproszony został libijski generalissimus. Wkrótce potem Rosjanie podpisali z nim umowę na sprzedaż broni o wartości 2 mld dol.

W grudniu tego roku planowane są w Libii wybory prezydenckie i na razie jedynymi znanymi kandydatami są Chalifa Haftar oraz syn obalonego w 2011 r. dyktatora Saif al-Islam al-Kaddafi. Jeśli jeden z nich stanie się głową libijskiego państwa, to Włochy będą musiały renegocjować swoje umowy dotyczące migrantów. Jeśli natomiast wybory się nie odbędą, to Haftar, z pomocą Rosjan, prędzej czy później i tak opanuje całą Libię. Wtedy również trzeba będzie renegocjować umowy dotyczące wstrzymywania migrantów, przy czym Rosja będzie miała na nie duży wpływ.

Dyslokacja rosyjskich rakiet ziemia-powietrze i pocisków przeciwokrętowych wyraźnie wskazuje na to, że celem rosyjskiej obecności w Libii nie jest walka z dżihadystami, ale kontrola basenu Morza Śródziemnego. W maju 2019 r. mają się odbyć wybory do Parlamentu Europejskiego i nie można wykluczyć, że Kreml uzna, iż jest to najlepszy czas na spowodowanie nowej destabilizacji.

ZAMACHY I PROPAGANDA

Kontrolując środkowośródziemnomorski szlak migracyjny, Rosjanie mogą przypuścić wiosną atak demograficzny na Europę na skalę porównywalną, a może i większą od tej, której nasz kontynent doświadczył w 2015 r. Atakowi temu towarzyszyłyby nowe zamachy terrorystyczne. Jednocześnie Rosja mogłaby ogłosić, że będzie chronić statki organizacji pozarządowych „ratujące" rozbitków przed „niehumanitarnym" działaniem straży przybrzeżnej z Trypolisu. Dzięki temu Kreml mógłby uruchomić też propagandową kampanię na temat „uchodźców", którym pomaga Rosja.

Skala kryzysu migracyjnego z 2015 r. wynikała z tego, że przepływ migrantów na kierunku wschodniośródziemnomorskim (czyli z Turcji do Grecji) stymulowany był przez tureckie służby specjalne, które w ten sposób chciały wywrzeć nacisk polityczny i finansowy na Unię Europejską. I udało się. Gdy Turcy palili żywcem Kurdów w ramach operacji pacyfikacyjnej, Europa milczała, a Donald Tusk wychwalał turecki reżim za jego rzekomy humanitaryzm. Później Turcy dostali jeszcze 6 mld euro, rzekomo na uchodźców.

Obecnie kartą uchodźców gra Kreml, który chce zmusić Europę do pokrycia kosztów odbudowy Syrii. Rosja sama pieniędzy nie ma, a nie chce, by odbudową zajęli się Chińczycy, gdyż skończyłoby się to bardzo szybko utratą przez Moskwę wpływów w Damaszku. Rosja oczywiście nie chce, by Europa bezpośrednio negocjowała z Al-Asadem, i sama zajęła się odbudową. Chce po prostu pieniędzy. Na razie jednak niewiele krajów UE ma bezpośrednie kontakty z rządem syryjskim. Wśród tych, które mają, jest jednak Polska, co otwiera przed nami możliwości uruchomienia bezpośrednich (z pominięciem Rosji) kanałów negocjacji między UE a Syrią w sprawie odbudowy i powrotu uchodźców. Problem w tym, że Europa nie wykazuje zainteresowania takim rozwiązaniem. Rosyjski atak migrantami z Afryki nie będzie miał oczywiście nic wspólnego z problemem uchodźców syryjskich. Jednak co z tego? Ten z 2015 r. też nie miał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Teresa Stylińska

Obywatelstwo na sprzedaż

Usługa sprzedaży obywatelstwa rozwija się w zawrotnym tempie. W ostatnich latach prawdziwymi potentatami na tym polu stały się Malta i Cypr. Czy są bramą, przez którą do UE przenikać mogą osoby niepożądane?

FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

Biznesmen z Bangladeszu nie posiadał się z radości. „Najlepsze jest to, że mogę swobodnie poruszać się po całej Unii Europejskiej" – powiedział dziennikarzowi portalu Politico. Mimo to zastrzegł sobie anonimowość i nic w tym dziwnego, bo choć obywatelstwo bądź prawo pobytu w jednym z państw Unii daje wiele korzyści, to procedura szybkiego uzyskania go może budzić wątpliwości.

„Zwykły" człowiek interesu, nawet bardzo zamożny, jest w stanie pozostać w cieniu. Ta sztuka niekoniecznie jednak udaje się najbogatszym z bogatych – rosyjskim oligarchom. Parę miesięcy temu do wiadomości publicznej przedostała się informacja, że Oleg Deripaska, potentat z branży aluminiowej, został obywatelem Cypru. Kłopoty z przedłużeniem wizy brytyjskiej sprawiły, że postanowił zwrócić się gdzie indziej. Chociaż raczej nie po to, by się tam osiedlić.

BRAMA DO UNII

Obywatelstwo tego czy innego kraju może otrzymać każdy, kto spełni warunki, których lista skądinąd jest wszędzie podobna. Kandydat musi mieć za sobą określony czas pobytu, wykazać się znajomością języka, historii i kultury kraju, którego obywatelem chciałby zostać, i mieć czystą kartę, jeśli chodzi o zatargi z prawem. Spełnienie warunków wymaga czasu. Małżeństwo z obywatelem kraju sprawę upraszcza, ale bez przesady. Amerykanka Meghan Markle, choć poślubiła członka brytyjskiej rodziny królewskiej, też musi poddać się stosownym procedurom i swoje odczekać, tak jak każdy obcokrajowiec.

Te wymogi można jednak skutecznie obejść. Jeśli tylko dysponuje się dobrze wypchanym portfelem, to tracą one znaczenie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nie trzeba ani mieszkać w nowym kraju, ani znać jego języka, ani nawet mieć nieposzlakowanej opinii. Warunek jest jeden: trzeba dobrze zapłacić. A że milionerów nie brakuje, nic dziwnego, że usługa, którą jest sprzedawanie obywatelstwa bądź prawa pobytu, rozwija się w zawrotnym tempie.

Oferentów również jest niemało. To w sumie 25 państw – od USA przez Portugalię, Łotwę i Bułgarię aż do Australii – w których można skorzystać z tzw. złotej wizy lub specjalnego programu dla inwestorów, dającego, zależnie od kraju, prawo pobytu lub obywatelstwo. Różne są warunki i różne korzyści. W ostatnich jednak latach prawdziwymi potentatami na tym polu stały się Malta i Cypr. Dwa śródziemnomorskie, wyspiarskie kraje nie tylko oferują obywatelstwo, lecz także wdrożyły ścieżkę już nie szybką, a wręcz błyskawiczną.

Cypr jest wprawdzie droższy, bo kandydat musi zainwestować 2 mln euro, ale za to obywatelem można zostać już po trzech miesiącach od chwili złożenia wniosku. To wielki atut. Malta jest tańsza – inwestycje na sumę 675 tys. euro plus obowiązkowy zakup nieruchomości za minimum 350 tys. euro – ale procedura załatwiania

eprasa.pl 9161cd63de

obywatelstwa trwa 12 miesięcy. Wydatek jednak w każdym przypadku jest opłacalny. Bo ktoś, kto zostaje obywatelem państwa Unii Europejskiej, automatycznie staje się też obywatelem Unii ze wszystkimi tego konsekwencjami – zarówno jeśli chodzi o swobodę prowadzenia interesów, jak i poruszania się po całym jej obszarze oraz podróżowania bez wiz do stu kilkudziesięciu krajów.

Teoretycznie więc wszyscy powinni być zadowoleni. Jest jednak też druga strona medalu. Droga przez Maltę i Cypr jest jak szeroko otwarta brama, przez którą do Unii bez trudu mogą trafiać ludzie niepożądani. Chociaż oba państwa zapewniają, że kandydaci są dokładnie sprawdzani, to przez zbyt duże oczka sieci łatwo mogą przemknąć Rosjanie objęci sankcjami, sponsorzy terrorystów (na Bliskim Wschodzie nie brakuje bogaczy, którzy wspierają islamskich ekstremistów za pośrednictwem banków i organizacji charytatywnych) czy też ludzie podejrzani o stosowanie oszukańczych praktyk w biznesie i pranie brudnych pieniędzy. Cypr np., według brytyjskiego dziennika „Guardian", stał się „główną drogą rosyjskich oligarchów do paszportu europejskiego".

W DYSKRETNYM OPAKOWANIU

Praktyka zarabiania na własnym obywatelstwie nie zrodziła się jednak w Europie, lecz na Karaibach, gdzie wymyślono ją już ponad 30 lat temu. W 1984 r. jako pierwsze uczyniło to Saint Kitts i Nevis. To państewko, jedno z najmniejszych na świecie, powstało zaledwie rok wcześniej i jego władze intensywnie myślały, jak zapewnić mu źródło dochodów. Wynalazek okazał się iście epokowy, bo w ślady Saint Kitts i Nevis poszły wkrótce inne kraje karaibskie, m.in. Antigua i Barbuda, Saint Lucia, Grenada i Haiti, gdy potrzebowało środków na odbudowę po trzęsieniu ziemi. Ich obywatelstwo ostatnio staniało – wystarczy 100–150 tys. dol. – co może być odpowiedzią na atrakcyjność Cypru i Malty.

Potrzeby doraźne faktycznie stanowią silny bodziec. Na Cyprze obywatelstwo na sprzedaż miało przynieść fundusze rozpaczliwie potrzebne po kryzysie finansowym z 2013 r. Początkowo zresztą program był pomyślany jako rodzaj rekompensaty dla tych inwestorów zagranicznych, głównie z Rosji, którzy wskutek kryzysu ponieśli dotkliwe straty. Miał mieć charakter tymczasowy, ale zyski okazały się tak duże – w sumie ok. 4 mld dol. – że postanowiono utrzymać go na stałe. Rok później w ślady Cypru poszła Malta, a ostatnio Austria.

Dla kandydatów na obywateli atutem Cypru i Malty jest przede wszystkim dostęp do Unii. Jednak bywają też zachęty innego rodzaju. Oferujące prawo pobytu kraje duże i zamożne, takie jak Australia, Wielka Brytania i USA, kuszą przede wszystkim stabilnością w prowadzeniu interesów. Tym przyciągają bogaczy z Rosji, państw postradzieckich, Chin i Bliskiego Wschodu. Chociaż nie brakuje głosów, że np. władze brytyjskie zbyt łatwo przygarniają rosyjskich potentatów, przymykając oko na ich powiązania z Kremlem, wątpliwe interesy i podejrzane źródła dochodów.

Oczywiście jednak nikt i nigdzie nie mówi wprost o sprzedawaniu obywatelstwa. Skądże znowu! Cała procedura jest zgrabnie opakowana w formę inwestycji realizowanych przez nowego obywatela i opatrzona nazwą Citizenship-by-Investment (Obywatelstwo przez Inwestycje) czy też, na Malcie, Individual Investment Programme (Indywidualny Program Inwestycyjny). Pożądana jest każda forma inwestowania – od obligacji, przez giełdę, do nieruchomości. Z formalnego punktu widzenia program przedstawia się więc rzeczowo, a przy tym niewinnie. Ostatecznie cóż jest złego w tym, że państwo chce przyciągnąć inwestorów dysponujących środkami? Przecież musi im za to coś zaoferować.

Sprawy zaczynają się komplikować, gdy okazuje się, że programy CIP są otoczone daleko posuniętą dyskrecją. Święta zasada przejrzystości wymaga, by rdzenni obywatele mogli się dowiedzieć, kogo zaprasza ich własny kraj. Jednak godzenie wymogu przejrzystości z potrzebą poufności jest jak godzenie wody z ogniem. Dlatego władze robią uniki i jeśli informacje o nabywcach obywatelstwa docierają do wiadomości publicznej, to dzieje się tak tylko dzięki przeciekom i dociekliwości dziennikarzy.

BANANOWE PRAKTYKI

Jak informować tak, by nic nie ujawnić, pokazuje Malta. Przed dwoma laty przedstawiono tam wprawdzie listę 2,2 tys. nowych obywateli, wymieszano jednak posiadaczy obywatelstwa za pieniądze z tymi, którzy doszli do niego normalną drogą. W dodatku poprzestano na podaniu imienia i pierwszej litery nazwiska, nie zdradzając też kraju pochodzenia. Tak oto beneficjentów programu sprytnie ukryto przed okiem opinii publicznej. Trud ich rozszyfrowania wzięli na siebie dziennikarze, którzy ustalili, że na liście są m.in. Aleksiej De-Monderik, współzałożyciel firmy Kaspersky Lab, Elena Rybołowlewa, ekszona Dymitra Rybołowlewa, właściciela klubu AS Monaco, i ich córka Anna oraz bogaci przedsiębiorcy azerscy, saudyjscy i pakistańscy. Sam Rybołowlew, a także Igor Kołomojski i Giennadij Bogolubow, twórcy ukraińskiego PrivatBanku, są obywatelami Cypru.

Dla Malty program okazał się ze wszech miar korzystny. W 2017 r. zarobiła z tego tytułu 277 mln euro i tylko dzięki temu, jak wynika z danych maltańskiego urzędu statystycznego, ma nadwyżkę w budżecie. Za to fakt, że premier Joseph Muscat jeździ po świecie, reklamując program jak akwizytor, budzi pewien niesmak. Muscat – pod którego adresem Daphne Caruana Galizia, zamordowana przed rokiem maltańska dziennikarka, wysuwała liczne zarzuty – udziela się na konferencjach organizowanych zarówno przez instytucje naukowe, jak i firmy – Arton, Henley, Apex i wiele innych, które specjalizują się w załatwianiu obywatelstwa. „Program stanowi innowacyjne narzędzie prowadzenia polityki" – dowodził Muscat na seminarium w Centre for European Policy Studies (CEPS) w Brukseli.

Kwestia obywatelstwa leży w gestii poszczególnych państw Unii, a zatem umowa, jaką zawierają one z potencjalnymi obywatelami, nie powinna obchodzić nikogo poza stronami. W 2013 r. Komisja Europejska uznała zresztą, że skoro nie ma możliwości zablokowania planów Malty i innych krajów, to nie będzie się angażować. Mimo to temat powraca, zwłaszcza w europarlamencie. Deputowanych niepokoją możliwe zagrożenie bezpieczeństwa Europy i to, że programy CIP umożliwiają Rosjanom omijanie sankcji. Malta znalazła się pod pręgierzem również za to, że pierwotnie nie stawiała kandydatom żadnych wymogów dotyczących zamieszkania (to się zmieniło) – bo kraj i obywatela powinien łączyć związek widoczny, nie tylko finansowy. Nie jest też w porządku, że zwykli ludzie muszą na obywatelstwo czekać, podczas gdy bogaci dostają je od ręki. „To są praktyki rodem z republiki bananowej" – mówił Frank Engel, chadek z Luksemburga.

Dlatego obywatelstwo na sprzedaż ma być przedmiotem unijnego raportu. Zapewne jeszcze w tym roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Eutanazyjna równia pochyła

Tomasz P. Terlikowski

Lekarz przeprowadził eutanazję na kobiecie chorej na alzheimera, a teraz stanie przed sądem oskarżony o to, że zabił pacjentkę niezgodnie z prawem. Czy ten proces oznacza zmianę podejścia do eutanazji w Holandii?

FOT. ADOBE STOCK

To pierwszy proces o nadużycia związane z prawem eutanazyjnym w Holandii. Prokuratura wszczęła postępowanie przeciwko lekarzowi, który przeprowadził eutanazję, ale nie upewnił się, czy kobieta, którą zabił, rzeczywiście jej chciała. 74-letnia kobieta była chora na alzheimera, ale miała wydane urzędowo poświadczenie woli, w którym napisane było, że chce skorzystać z eutanazji, jeśli jej stan zdrowia znacząco się pogorszy. Jednak komitet, który zajmuje się badaniem takich spraw, uznał, że oświadczenie było niejasne, nieprecyzyjne i wewnętrznie sprzeczne, w związku z czym lekarz nie powinien przeprowadzać eutanazji bez potwierdzenia u pacjentki, że rzeczywiście ona jej chce. Medyk nie uznał jednak za stosowne zapytać pacjentki o zdanie i uśmiercił ją, opierając się jedynie na owych nieprecyzyjnych zapisach.

NIE CHCESZ UMIERAĆ?

Decyzja komisji zajmującej się oceną przeprowadzonych eutanazji jest, nie ma co ukrywać, pewnym przełomem. Jak dotąd bowiem nawet najbardziej drastyczne przykłady naruszania reguł były przez ekspertów zasiadających w komisjach belgijskiej i holenderskiej odrzucane. Tak było w przypadku historii pacjentki z demencją, którą lekarz uśmiercił wbrew jej wyrażanej w trakcie zabiegu woli. Eutanazja zaczęła się standardowo. Lekarz podał pacjentce z demencją środki usypiające w kawie, gdy kobieta usnęła, zaczął wykonywać zastrzyk, który miał ją zabić. Pech chciał, że kobieta się obudziła i zaczęła prosić lekarza o życie. Ten jednak procedurę eutanazji dokończył. Sytuacja była tym bardziej skandaliczna, że według świadków kobieta jakiś czas przed eutanazją jasno sygnalizowała lekarzowi, że „nie chce umierać". I to mimo iż on sam nie powiedział jej ani o chęci wykonania eutanazji, ani o tym, że w kawie poda jej środki nasenne. Wszystko zostało dokonane bez jej wiedzy i zgody, bo lekarz nie chciał „denerwować pacjentki".

Wydawać by się mogło, że w tej sprawie nie da się dyskutować. Procedura była wykonana wbrew obowiązującemu prawu, była naruszeniem prawa do życia pacjentki, a lekarz powinien zostać postawiony przed sądem. Tak się jednak nie stało. Jacob Kohnstamm, przewodniczący komisji zajmującej się badaniem takich spraw, uznał wprawdzie, że sprawa powinna trafić do sądu, ale nie po to, by ukarać lekarza zabójcę, lecz by ustanowić precedens prawny, dzięki któremu lekarze będą mogli spokojnie zabijać osoby z demencją, bez ich wiedzy oraz zgody, i to bez konsekwencji prawnych. – Nie chodzi o to, by karać lekarza, który działał w dobrej wierze, ale by prawnie zdefiniować, jak powinien zachować się lekarz, gdy dochodzi do eutanazji osób z demencją – oznajmił Kohnstamm.

PRZEŁOM?

Teraz sprawa została załatwiona inaczej, ale czy rzeczywiście można to uznać za prawdziwy przełom? Nie wydaje się, by tak było, i to nie tylko dlatego, że jedna (a to na razie jedyna sprawa, którą skierowano do prokuratury) jaskółka wiosny

eprasa.pl 9161cd63de

nie czyni, ale przede wszystkim dlatego, że procedura eutanazji jest zbyt głęboko zakorzeniona w holenderskim i belgijskim życiu społecznym, zbyt opłacalna dla systemu ubezpieczeniowego, a do tego jej zwolennicy skutecznie fałszują dane o jej rzeczywistej skali. Wystarczy powiedzieć, że w belgijskiej Flandrii tylko 15 proc. eutanazji jest rzeczywiście odnotowywana jako ten zabieg. Inne medyczne morderstwa w dokumentach odnotowywane są zupełnie inaczej. Takie dane podali w liście do „European Journal of Epidemiology" badacze z Uniwersytetu w Brukseli, którzy szczegółowo przepytali w tej kwestii pracowników szpitali i instytucji medycznych. W praktyce oznacza to, że w rzeczywistości lekarze zabijają we Flandrii wielokrotnie więcej pacjentów, niż to jest raportowane, a liczba ofiar eutanazji pośród wszystkich zgonów wynosi nie 0,7 proc. wszystkich zgonów, ale 4,6 proc.

KASA, MISIU, KASA

Skąd tak mocny nacisk, by fałszować dane w tej sprawie? Wiele wskazuje na to, że powód jest… ekonomiczny. Doktor Aaron J. Trachtenberg i dr Braden Manns w artykule opublikowanym w „Canadian Medical Association Journal" wyliczyli, ile sama Kanada zaoszczędzić może na wprowadzeniu eutanazji (nazywanej w tym kraju „medycznym asystowaniem przy umieraniu"). Sumy są ogromne, bo mowa jest o 34,7–138,8 mln dol. rocznie (w zależności od liczby zabitych pacjentów). Jak to obliczono? Odpowiedź jest prosta – posługując się holenderskimi współczynnikami ubezpieczeniowymi. Zaczęto od wyliczenia, o ile średnio tygodni skraca się – dzięki eutanazji – życie chorego. Później uśredniono koszty tygodniowej opieki nad osobami terminalnie chorymi czy cierpiącymi na raka i przemnożono je przez uśrednione skrócenie życia. I wreszcie wszystko pomnożono przez liczbę eutanazjowanych chorych. W ten sposób osiągnięto wynik.

Przy takich zyskach trudno się dziwić, że politycy i ekonomiści szukają kolejnych grup, na których leczeniu można zaoszczędzić gigantyczne pieniądze. I dlatego parlamentarzyści kanadyjskiej prowincji Quebec zaczęli się zastanawiać, czy do dobrowolnej eutanazji, o którą chorzy muszą prosić, nie dodać eutanazji niedobrowolnej, którą można by „obdarzyć" ludzi, którzy prosić o to nie mogą. „The Gazette" informuje o tym, że właśnie rozpoczęto dyskusję, czy nie dopuścić do eutanazji osób, które nie mogą o nią poprosić. O kogo chodzi? O chorych na alzheimera. Stowarzyszenie Chorych na Alzheimera z Quebecu już sprzeciwia się tym zapisom i prosi o ochronę chorych. – Bardzo trudno ocenić, czego chciałaby obecnie osoba chora na demencję – przekonuje April Hayward ze stowarzyszenia. – To, że chciała czegoś 10 lat temu, gdy była zdrowa, nie oznacza, że chce tego obecnie – dodaje.

W Holandii jest podobnie. I nawet jeśli komisja skierowała jeden przypadek do prokuratury, to służyć to ma raczej uspokojeniu sumień i emocji społecznych niż rzeczywistej zmianie. Rachunek ekonomiczny jest zbyt jasny, by ktokolwiek mógł się zastanawiać, czy zlikwidować eutanazję. Jeśli zmiana będzie się dokonywać, to będzie ona raczej dotyczyć rozszerzania tej procedury na kolejnych pacjentów, którzy jej nie chcą, a których uśmiercenie opłacać się będzie państwu. Chciałbym być w tej sprawie złym prorokiem, ale obawiam się, że nie jestem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KOSZULKA PATRIOTYCZNA
„POLSKI ORZEŁ" + EWYDANIE

Cena: 289 zł
Oszczędność: 394 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

NALEŻY PODAĆ ROZMIAR KOSZULKI

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. ADOBE STOCK

Czas podwyżek

Jacek Przybylski

W ciągu roku zarobki Polaków wzrosły średnio o ok. 350 zł. Przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw do końca grudnia może przekroczyć barierę 5 tys. zł

Tak rewelacyjne dane zaskoczyły nawet optymistycznie nastawionych ekonomistów. Polacy zatrudnieni w sektorze przedsiębiorstw w październiku obecnego roku dostawali już po 4921,39 zł, a w październiku 2017 r. otrzymywali średnio po 4574 zł brutto. W ujęciu rocznym wzrost wyniósł więc aż 7,6 proc.

To nie koniec dobrych wiadomości. Najprawdopodobniej jeszcze w tym roku średnie wynagrodzenie osób pracujących w firmach zatrudniających co najmniej dziewięć osób przekroczy bowiem magiczny poziom 5 tys. zł. To tym bardziej realne, że do danych grudniowych zalicza się m.in. roczne premie.

W całym trzecim kwartale 2018 r. przeciętne wynagrodzenie brutto wyniosło 4580,20 zł – wynika z najnowszych danych podanych w ubiegłym tygodniu przez Główny Urząd Statystyczny. Przed rokiem było to 4255,59 zł, a w roku 2016 średnia pensja brutto wynosiła 4055,04 zł.

Trzeba też pamiętać, że podawana przez statystyków wysokość średniego wynagrodzenia to kwota brutto. Osoba zatrudniona na umowę o pracę opiewającą na 4921,39 zł, po odjęciu wysokich składek emerytalnej, rentowej, chorobowej i zdrowotnej, a także zaliczki z tytułu podatku dochodowego na rękę dostaje 3495 zł. Jest jeszcze jeden problem z mityczną średnią krajową: statystyczne zarobki często wydają się mocno oderwane od rzeczywistości, bo dla wielu Polaków pensja zbliżona do średniej krajowej to wciąż tylko sfera marzeń. GUS nie ukrywa swojej metodyki: różnica między statystyką a rzeczywistością bierze się z tego, że jedni zarabiają wyjątkowo dużo, a spora grupa pracowników otrzymuje bardzo niewielkie pensje.

eprasa.pl 9161cd63de

Z opublikowanego w tym roku badania „Bilans kapitału ludzkiego" zrealizowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości, które uwzględniało nie tylko przedsiębiorstwa zatrudniające powyżej dziewięciu osób, ale również m.in. zarobki osób prowadzących własną działalność gospodarczą, uzyskujące dochody z umów cywilnoprawnych, a także osoby zarabiające w szarej strefie wynika, że w zeszłym roku przeciętne wynagrodzenie netto w Polsce wynosiło 2758 zł, czyli o 284,16 zł mniej, niż za ten okres wskazywał GUS. Raport PARP pokazuje także, jak bardzo zarobki zależą od wybranej formy zatrudnienia. Z badania wynika, że najlepiej zarabiają osoby prowadzące własną działalność gospodarczą: 4696 zł. Wynagrodzenia osób zatrudnionych na umowę o pracę wyniosły 2678 zł, zatrudnionych głównie na umowę cywilnoprawną 2085 zł, a pracujących w szarej strefie zaledwie 1898 zł.

POPYT NA NIEBIESKIE KOŁNIERZYKI

Szybki wzrost płac ma związek z ogromnym niedoborem pracowników. W październiku zatrudnienie było wyższe o 3,2 proc. niż w tym samym miesiącu roku 2017. Stopa bezrobocia w Polsce wynosi już zaledwie 5,7 proc. i jest to najlepszy wynik od 1990 r. W powiecie o najmniejszym bezrobociu w kraju – poznańskim – bezrobocie spadło do 1,2 proc.

Według tegorocznego raportu „Niedobór talentów" ManpowerGroup na trudności ze znalezieniem pracowników skarży się już 51 proc. polskich firm. To o sześć punktów procentowych więcej niż w ostatniej publikacji raportu i najwięcej od roku 2010.

Z badania wynika, że minęły czasy, gdy najbardziej poszukiwane były tzw. białe kołnierzyki. Obecnie pracodawcy największy problem mają z obsadzeniem stanowisk elektryków, spawaczy, mechaników, hydraulików czy murarzy. Pilnie poszukiwani są też kierowcy samochodów ciężarowych i budowlanych oraz operatorzy maszyn. Popyt na doświadczonych mechaników czy kierowców jest tak duży, że często już na początku kariery zarabiają oni więcej od absolwentów studiów wyższych.

Według ManpowerGroup polskie firmy mają też trudności ze znalezieniem inżynierów, pracowników restauracji i hoteli, przedstawicieli handlowych, a także księgowych i finansistów, informatyków oraz pracowników biurowych.

Największe trudności w znalezieniu odpowiednio wykwalifikowanych pracowników deklarują przedstawiciele dużych przedsiębiorstw (75 proc. badanych firm). Mniejsze kłopoty mają przedstawiciele firm średnich (57 proc.), małych (48 proc.) oraz mikrofirm (29 proc.). Średnio na świecie problem ze znalezieniem odpowiedniego pracownika ma 45 proc. firm.

7,6 proc.

O TYLE W CIĄGU OSTATNIEGO ROKU WZROSŁO ŚREDNIE WYNAGRODZENIE W SEKTORZE PRZEDSIĘBIORSTW

Średnie wynagrodzenie w Polsce wynosi równowartość ok. 1 tys. euro. Jest to więc wciąż zaledwie trochę powyżej jednej trzeciej średniego wynagrodzenia w Unii Europejskiej, wynoszącego obecnie niemal 2,9 tys. euro.

Wśród najlepiej zarabiających mieszkańców UE prym wiodą Luksemburczycy,

REKLAMA

IMPERIUM DOBRYCH KSIĄŻEK
WYDAWNICTWO capital

Niemcy, Żydzi i folksdojcze
Stanisław Michalkiewicz

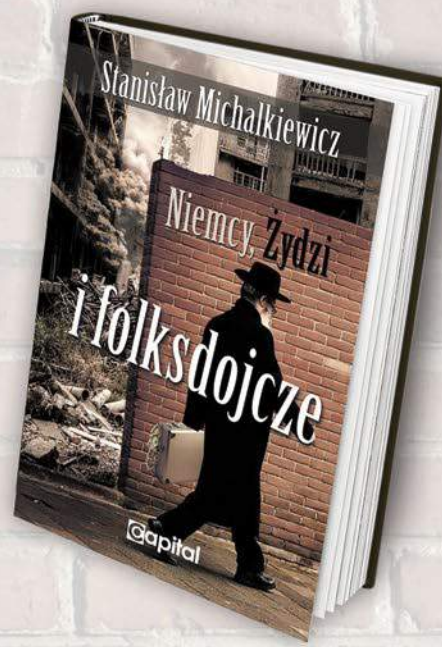

Najnowsza książka Stanisława Michalkiewicza porusza głównie kwestie dekadencji polskich elit, tych politycznych, ale również intelektualnych. Autor pokazuje, skąd się bierze degeneracja „przewodników duchowych" i dlaczego za takowych się uważają. Ważnym tematem książki są też obce ingerencje z zewnątrz, próbujące kształtować politykę naszego państwa.

533 496 436 sklep@capitalbook.pl
www.capitalbook.pl

eprasa.pl 9161cd63de

którzy średnio miesięcznie zarabiają ponad 4,5 tys. euro. I to nie dlatego, że więcej pracują. Po prostu średnia stawka godzinowa w Polsce to około 6,3 euro (27 zł), a w Luksemburgu 43,8 euro (185 zł). Gorzej od Polaków opłacani są tylko Bułgarzy, którzy dostają 5,1 euro, czyli 21 zł za 60 minut pracy (średnia miesięczna pensja wynosi w tym kraju poniżej 500 euro), a także Rumuni (5,5 euro, czyli 23 zł).

PÓŁ WIEKU ZA NIEMCAMI

Według raportu „Salary Catch Up Index. Kiedy zarobki w Polsce dogonią średnią unijną?", przygotowanego przez firmę doradczą Grant Thornton, Polacy gonią innych mieszkańców Europy, ale i tak z szacunków ekspertów tej organizacji wynika, że zrównanie polskich i unijnych średnich zarobków nastąpi prawdopodobnie dopiero za 59 lat.

Najwcześniej średnie zarobki Polaków powinny zrównać się ze średnią pensją Portugalczyków. Według analityków Grant Thornton może to nastąpić już w marcu 2023 r. W 2024 r. przeciętny Polak może zarabiać więcej niż przeciętny Grek. W 2027 r. średnie zarobki nad Wisłą mogą zaś przekroczyć średnią na Malcie i w Słowenii. Najwięcej czasu może zająć dogonienie Niemców – według szacunków na zrównanie średnich zarobków po obu stronach Odry trzeba by poczekać do maja 2077 r. Symulacje oparto na założeniu, że dla każdego państwa dynamika wynagrodzeń z ostatnich trzech lat utrzyma się na tym poziomie w przyszłości.

Eksperci Grant Thornton zauważyli jednocześnie, że dynamiczny rozwój polskiej gospodarki nie przekłada się w pełni na wzrost wynagrodzeń polskich pracowników. Od 2000 r. PKB wzrosło realnie o niemal 84 proc., a płace o prawie 60 proc. Gdyby zarobki rosły w takim samym tempie jak gospodarka, to Polacy już dziś zarabialiby średnio nie 4517 zł, ale 6351 zł.

Powody do zadowolenia mogą mieć za to Polki. Według Eurostatu różnica w zarobkach w zależności od płci wynosi bowiem w Polsce mniej niż 10 proc. Tymczasem średnio w Unii Europejskiej kobiety zarabiają o ponad 16 proc. mniej niż mężczyźni. W Estonii różnica płacowa między płciami wynosi ponad 25 proc., w Czechach i w Niemczech ponad 21 proc., a w Wielkiej Brytanii i Austrii ponad 20 proc.

2,5–3,5 tys. zł

TYLE MIESIĘCZNIE DOSTAJE NA RĘKĘ 60 PROC. ZATRUDNIONYCH W POLSCE PRACOWNIKÓW Z UKRAINY

Jednak z badania „Bilans kapitału ludzkiego" zrealizowanego przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Uniwersytet Jagielloński w 2017 r. wynika, że przeciętnie zarobki kobiet stanowiły 76 proc. przeciętnych zarobków mężczyzn. Mężczyzna w Polsce zarabiał średnio na rękę 3133 zł, a kobieta 2384 zł. Różnice były tym większe, im niższe było wykształcenie pracowników. Na wielkość zarobków obu płci wpływały też takie czynniki jak zawód, liczba godzin pracy, sektor gospodarki czy forma zatrudnienia.

ZAMOŻNY, CZYLI JAKI?

Chociaż miliony Polaków wciąż zarabiają sporo poniżej średniej, to wraz ze wzrostem zarobków nad Wisłą zmienia się również obraz osób, uważanych za „zamożne". Z opublikowanego w pierwszej połowie tego roku badania Deutsche Bank wynika, że 39 proc. ankietowanych za osoby zamożne uważa te, których miesięczne zarobki na rękę wynoszą od 10 do 19 tys. zł. Co czwarty pytany uważa zaś, że dobrze sytuowane są osoby, które zarabiają netto od 5 do 10 tys. zł.

Trudno się więc dziwić, że w odczuciu wielu pracowników wzrost płac nie jest tak szybki, jak być powinien. Z „Barometru Imigracji Zarobkowej – II półrocze 2018" wynika, że wielu Polaków (39 proc.) obawia się, iż tempo wzrostu wynagrodzeń spowalnia napływ obywateli Ukrainy na polski rynek pracy. Najbardziej ukraińskich konkurentów obawiają się osoby z najniższymi dochodami (aż 45 proc. ankietowanych), a najmniej wśród Polaków zarabiających powyżej 4 tys. zł (34 proc.). Pracownicy z Ukrainy nie zarabiają zresztą wcale aż tak mało, jak można by sądzić. Z cytowanego badania wynika, iż 60 proc. z nich otrzymuje na rękę od 2,5 do 3,5 tys. zł miesięcznie, a miesięczne wynagrodzenie 15 proc. Ukraińców wynosi ponad 3,5 tys. netto.

O wiele mniej Polaków obawia się, iż Ukraińcy odbiorą im zatrudnienie. Wśród zarabiających powyżej 4 tys. zł miesięcznie odsetek ten wynosi zaledwie 5 proc., a wśród osób otrzymujących miesięcznie do 2 tys. zł liczba ta rośnie do 12 proc.

Wydaje się więc, że imigranci z Ukrainy nie odbierają pracy Polakom, a jedynie wypełniają niektóre luki kadrowe na naszym rynku pracy. Widać to choćby po trudnościach polskich pracodawców z zapełnieniem wakatów. Mimo to w średnim terminie zarobki mogą nie rosnąć już aż tak szybko. Po pierwsze dlatego, że według prognoz analityków Międzynarodowego Funduszu Walutowego tempo wzrostu gospodarczego Polski zacznie zwalniać. Według danych GUS w trzecim kwartale obecnego roku produkt krajowy brutto wzrósł w ujęciu rocznym aż o 5,1 proc. To oznacza, że polska gospodarka jest w ścisłej europejskiej, a nawet światowej czołówce, i to mimo pogorszenia się koniunktury w Niemczech.

Eksperci MFW szacują, że w całym 2018 r. dynamika PKB Polski wyniesie około 4,5 proc. Spowolnienie w handlu zagranicznym może jednak sprawić, że wzrost PKB w roku 2019 wyniesie „tylko" 3,5 proc. Do 2023 r. dynamika wzrostu może zaś spaść do poziomu 2,75 proc. W najbliższych latach sektor przedsiębiorstw może ograniczyć walkę na płace, co oznacza, że w najlepszym razie wynagrodzenia pozostaną na obecnym poziomie. Na podwyżki liczyć będą więc mogli głównie ci, którzy pracują w administracji publicznej.

Marzenia o coraz szybszym wzroście płac mogą też pokrzyżować rosnące koszty pracy w Polsce. A te wzrosną choćby w związku z wprowadzeniem w 2019 r. systemu Pracowniczych Planów Kapitałowych.

Zarówno analitycy MFW, jak i polscy eksperci podkreślają, że aby utrzymać szybki wzrost gospodarczy, niezbędne są podnoszenie efektywności wykorzystania siły roboczej oraz podnoszenie wydajności pracy. Wówczas unijną średnią Polacy dogonią o wiele szybciej. I być może za pół wieku rzeczywiście wreszcie będziemy zarabiać tak dobrze jak Niemcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Nowe paszporty

Każdy, kto złoży wniosek o wydanie paszportu, otrzyma dokument przygotowany według nowego wzoru. Spełnia on najwyższe standardy bezpieczeństwa, a jego motywy graficzne nawiązują do polskiej historii

Dzięki zastosowaniu unikalnych zabezpieczeń polski paszport jest w gronie najlepszych na świecie. Ten produkowany w PWPW dokument będzie teraz jeszcze lepiej zabezpieczony przed podrobieniem lub przerobieniem dzięki wykonanej w nowej technologii stronie personalizowanej, na której znajdują się dane oraz wizerunek posiadacza dokumentu. Obecnie jest to sztywna strona w całości wykonana z wytrzymałego i trwałego poliwęglanu. Na jej powierzchni występują m.in. takie zabezpieczenia jak element graficzny wykonany farbą zmienną optycznie, mikrodruki, elementy tłoczone oraz nitka zabezpieczająca, która jest aktywna w świetle UV.

Nowe zabezpieczenia częściowo nachodzą na obszar wizerunku posiadacza dokumentu, dzięki czemu uniemożliwiają niezauważalne ingerowanie w to pole paszportu. Aby dokument był jak najlepiej chroniony, zastosowano również zabezpieczenie SafeI®, będące kombinacją elementów soczewkowych i systemu transparentnych otworów oraz powtórzenia techniką grawerowania laserowego wizerunku posiadacza dokumentu.

Zastosowanie w paszporcie sztywnej poliwęglanowej strony umożliwiło również zainstalowanie w niej chipa zawierającego dane osobowe posiadacza dokumentu oraz jego dane biometryczne.

Informacje te są więc lepiej chronione niż w przypadku wcześniej wydawanego paszportu, w którym chip umieszczony był w okładce.

Najbardziej zauważalną zmianą są jednak nowe motywy graficzne stron paszportowych, nawiązujące do obchodzonego w tym roku 100-lecia odzyskania niepodległości. Część z nich – pierwszy raz w historii – została wybrana w drodze internetowego głosowania. Wzięło w nim udział ponad 750 tys. osób. Najwięcej głosów otrzymali: Gabriel Narutowicz i Orzełek Legionowy. W paszporcie są także grafiki przedstawiające Bitwę Warszawską, Order Virtuti Militari oraz twórców polskiej niepodległości, m.in. Józefa Piłsudskiego oraz Wincentego Witosa.

Wniosek o wydanie paszportu można składać w dowolnym wydziale paszportowym urzędu wojewódzkiego na terenie kraju. Każdy, kto złoży wniosek, otrzyma dokument według nowego wzoru. Konieczność złożenia takiego wniosku dotyczy jednak tylko tych osób, które chcą wyrobić swój pierwszy paszport, bądź tych, których dokument niedługo straci ważność. Po złożeniu wniosku na nowy paszport czeka się maksymalnie 30 dni. Często dokument jest jednak dostępny wcześniej: warto więc sprawdzić na stronie www.obywatel.gov.pl, czy został już przesłany do urzędu. Można też skorzystać z usługi, w ramach której to urząd powiadomi nas, że paszport jest już gotowy.

Według danych Centrum Personalizacji Dokumentów MSWiA, które zajmuje się m.in. przygotowywaniem dokumentów, co roku wydawanych jest ok. 1,3–1,5 mln paszportów.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z PWPW

eprasa.pl 9161cd63de

Gonimy Europę

Łukasz Zboralski

Polska gospodarka pędzi, ale ma jeszcze większy potencjał. Jak go uwolnić? O tym dyskutowano w Rzeszowie

To już trzeci raz na Podkarpacie zjechali politycy, przedsiębiorcy i naukowcy. Spotkali się na Kongresie 590 w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym G2A Arena w Jasionce niedaleko Rzeszowa.

Tegoroczne spotkanie było wyjątkowe, odbywało się w stulecie odzyskania niepodległości. Wspominał o tym prezydent, który objął patronat nad imprezą. – Mamy naszą Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju. Mamy w związku z tym realizowanych w tej chwili wiele programów. Jak można ten rozwój do tej pory ocenić? Myślę, że dobrze. A dzisiaj miałem możliwość usłyszeć, że nawet bardzo dobrze – tak Andrzej Duda zrelacjonował spotkania z przedsiębiorcami.

Podczas inauguracji kongresu prezes NPB Adam Glapiński podkreślał, że dynamika polskiej gospodarki zadziwia analityków na świecie. Przytoczył dane GUS za trzeci kwartał tego roku, które wskazują, że wzrost gospodarczy kraju przekracza 5 proc. PKB. Glapiński zauważył, że polski wzrost gospodarczy rozkłada się na całe społeczeństwo.

To samo zauważył otwierający drugi dzień kongresu premier Mateusz Morawiecki. Podkreślał, że zaproponowany przez rząd model wzrostu gospodarczego jest modelem zrównoważonego wzrostu. – A przecież o to nam w szczególności chodziło, żeby gospodarka i społeczeństwo jechały, jak to się mówi, na jednym koniu – mówił szef rządu. – Chcemy, żeby szybko rosły wynagrodzenia naszych pracowników. Wierzymy, że wtedy pracodawcy, przedsiębiorcy, państwo będziecie jeszcze bardziej ich doceniać – dodał.

eprasa.pl 9161cd63de

PATRONAT DO RZECZY

FOT. TOMASZ ZIDANIAK

Podczas pierwszego dnia kongresu dyskutowano m.in. o dalszych planach cyfryzacji kraju i nowych e-usługach dla obywateli, które będą uruchamiane w przyszłości.

KRAJ BARDZIEJ CYFROWY

Tutaj dzieje się w kraju sporo – choćby w cyfryzowaniu zamówień publicznych. Właśnie jesienią tego roku Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii oraz Urząd Zamówień Publicznych uruchomiły miniPortal, który może obsługiwać do 130 tys. zamówień rocznie i jest rozwiązaniem przejściowym do czasu wdrożenia centralnej Platformy e-Zamówień, z którą zintegrowane będą Portale e-Usług. Resorty już zaczęły przenoszenie swoich działów BIP.

Rozmawiano też o tym (panel „Govtech – nowa odsłona administracji"), jak nowoczesna administracja powinna otwierać rynek usług dla małych i średnich przedsiębiorstw. To się dzieje m.in. dzięki programowi Govtech, w ramach którego administracja rozpisała konkursy na cyfrowe rozwiązania – Ministerstwo Finansów poszukiwało firmy, która zbuduje aplikację do zwalczania przemytu opartą na analizie obrazów; Ministerstwo Zdrowia poszukuje systemu, który ułatwi wykrywanie zawyżania kosztów świadczeń zdrowotnych, a urząd miasta w Świdniku – aplikacji uszczelniającej system opłat za gospodarowanie odpadami komunalnymi.

Rozmawiano również o cyberbezpieczeństwie polskiej administracji oraz firm i zastanawiano się nad perspektywami rozwoju polskiego futbolu – zwłaszcza Ekstraklasy.

NAGRODZENI PRZEZ PREZYDENTA

Na koniec pierwszego dnia rozdano Nagrody Gospodarcze Prezydenta RP. Uhonorowano nimi przedsiębiorstwa, które rozwijają polską gospodarkę i promują kraj na arenie międzynarodowej.

W kategorii Lider Małych i Średnich Przedsiębiorstw Prezydent RP nagrodził firmę Ultratech, którą zgłosił Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego. Przedsiębiorstwo rozpoczęło działalność w 2000 r. w Rzeszowie i zajmuje się produkcją części oraz podzespołów dla światowych firm lotniczych i energetycznych. W kategorii Narodowy Sukces wyróżniono firmę Ceramika Paradyż zgłoszoną przez Urząd Marszałkowski Województwa Łódzkiego. W kategorii Międzynarodowy Sukces nagrodę zdobyła firma Vigo System zgłoszona przez Agencję Rozwoju Przemysłu oraz Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego, a PKO Bank Polski został laureatem w kategorii Odpowiedzialny Biznes. W kategorii Firma Rodzinna nagrodzono MB – Pneumatyka zgłoszoną przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców. W kategorii STARTUP_PL wygrała firma Photon Entertainment zgłoszona przez Fundację Technotalenty. Start-up jest twórcą i producentem pierwszego na świecie interaktywnego robota edukacyjnego dla dzieci, który rozwija się wraz z dzieckiem. W kategorii specjalnej Badania i Rozwój zwyciężyła firma Astronika zgłoszona przez Polską Agencję Inwestycji i Handlu.

Laureatem Indywidualnej Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP został Zbigniew Grycan – w latach 1980–2000 właściciel Zielonej Budki. Lody Grycan dostępne są w 11 krajach w Europie i Azji, a firma zatrudnia ok. 1,2 tys. pracowników. Ponadto przyznano Nagrodę z Okazji 100-lecia Odzyskania Niepodległości, którą otrzymała Warszawska Fabryka Platerów Hefra.

SAMOCHÓD ELEKTRYCZNY, LOKOMOTYWY HYBRYDOWE

Drugi dzień kongresu rozpoczęła prezentacja elektrycznego pojazdu miejskiego Triggo. Projekt inżynierów z Warszawy powstaje dzięki finansowaniu z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Samochód, który ma mieć zasięg 100 km i rozwijać maksymalną prędkość 90 km/godz., pojawi się na drogach stolicy już w przyszłym roku. Pomysłodawca zamierza oprzeć na nim sieć carsharingową. – Jesteśmy o krok od tego, by na polskich ulicach pojawiły się nieemisyjne samochody. Mam nadzieję, że pojawią się one w miejscach, w których są szczególnie potrzebne, np. na ulicach Krakowa – mówił Jarosław Gowin, wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego.

Podczas kongresu spółka H. Cegielski – Fabryka Pojazdów Szynowych podpisała porozumienie z PKP Cargo SA i Jastrzębską Spółką Węglową (JSW) w sprawie budowy lokomotyw wodorowych. Będą współpracować przy badaniach i pracach nad produkcją nowych typów taboru kolejowego o napędzie wodorowym. – Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości będziemy mogli zaprezentować efekt pracy naszych podmiotów. Chcemy korzystać z tego rozwiązania, gdy już trafi na rynek – powiedział Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo.

Drugiego dnia spotkań w Jasionce dyskutowano m.in. o perspektywach rozwoju przemysłu zbrojeniowego i jego wpływie na polską gospodarkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

5 90 KONGRES

eprasa.pl 9161cd63de

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak Polacy mogą ufać Polsce?

Niedostatek zaufania do instytucji własnego państwa oznacza po prostu niedostatek zaufania do państwa. A czy może być coś gorszego od bycia obywatelem państwa, któremu trudno zaufać? Na pewno może, lecz i to jest już wystarczająco dużym powodem do zmartwienia.

Tymczasem jakoś niespecjalnie dostrzegam wśród rządzących – obecnych i poprzednich – troskę o takie przekształcanie instytucji państwa, by zaufanie do nich – a więc i do całego państwa – rosło. Czyli o przekształcanie polegające na poszukiwaniu dla szykowanych przez siebie zmian jak najszerszej koalicji ich zwolenników, także pośród liderów partii opozycyjnych, a zwłaszcza ich wyborców – zamiast najczęściej stosowanego przekształcania „siłowego", raz mniej, a raz bardziej słusznie uważanego nie za reformowanie, lecz przejmowanie tych instytucji przez własnych ludzi, jedynie mniej czy bardziej zręcznie ukrywanego za sztafażem „reform".

Czy np. sposób wprowadzania zmian w Trybunale Konstytucyjnym – przez władze poprzednią i obecną – działał na rzecz wzmacniania zaufania do niego? A czy wzrostowi zaufania do organów ścigania sprzyjał sposób przeforsowania – dwa razy w ciągu kilku lat – fundamentalnej zmiany w usytuowaniu prokuratury – raz wypychając nadzór nad nią poza rząd, a potem na powrót wciągając w jego obrzeże? Nie inaczej jest z wymiarem sprawiedliwości, czyli sądami targanymi przez zmiany nierzadko idące w złą stronę, a jeszcze częściej niewłaściwie przeprowadzane – wskutek czego właśnie tkwimy w samym środku związanej z tym zawieruchy, której końca nie widać.

A teraz – na domiar złego – okazuje się, że doszło do zagadkowych działań legislacyjnych w parlamencie, ogniskujących się wokół zwiększania kompetencji Komisji Nadzoru Finansowego. Zmian być może potrzebnych czy nawet koniecznych, w dodatku podobno wymuszanych przez prawo unijne. Jak jednak opinia publiczna ma się o tym przekonać, skoro wszystko odbywa się w zaciszu sejmowych korytarzy? Bez należytej transparentności, bez szerokiej debaty ekspertów i uczestników rynku, bez publicznego ścierania się racji?

Ba, zamiast debaty zasewowano nam sensację, że poszerzaniu kompetencji KNF, mających polegać na ułatwieniu przejmowania pod jej auspicjami zagrożonych upadłością instytucji finansowych, towarzyszyła – lub wręcz je poprzedziła – niesłychana w swej treści rozmowa ówczesnego szefa Komisji z właścicielem jednego z banków. A dowiedzieliśmy się tego po ujawnieniu jej treści przez tegoż bankiera – ujawnieniu, z niejasnych powodów, po ponad pół roku od nagrania. No i jak tu mieć zaufanie do KNF? Jednej z kluczowych instytucji państwa, której zadaniem jest nadzorowanie rynków finansowych, czyli także banków, w których Polacy trzymają swe oszczędności i zaciągają kredyty? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Autonomiczna rewolucja

Amerykanie rocznie przejeżdżają prywatnymi samochodami ponad 3 bln (tysiące miliardów) mil. Średni koszt jednej mili, włączając paliwo, serwis, ubezpieczenie i koszt parkingu, wynosi 65 centów, zaś koszt czasu straconego na prowadzenie samochodu – 85 centów, czyli tyle przeciętny Amerykanin zarobiłby dodatkowo na każdą przejechaną milę, gdyby zamiast prowadzić samochód, mógł pracować. To w sumie daje 1,5 dol. na milę.

Symulacje komputerowe prowadzone w wielu miastach w USA, różnej wielkości i gęstości zaludnienia, pokazały, że koszt przejechania jednej mili współdzielonym, autonomicznym samochodem elektrycznym oscylował w granicach 15–30 centów, wliczając wszystkie koszty funkcjonowania całego systemu samochodów autonomicznych. Jednocześnie czas oczekiwania na taki pojazd wynosiłby tylko dwie minuty, zaś do obsłużenia w tym czasie potrzeb komunikacyjnych wszystkich mieszkańców miasta wystarczyłoby tylko 15 proc. samochodów w porównaniu z ich obecną liczbą. Głównie dlatego, że typowy samochód dzisiaj stoi przez 95 proc. czasu oraz głównie jeżdżą w nim jedna osoba lub dwie. Szczegóły tych obliczeń zostały przedstawione w książce „Autonomy" Lawrence'a Burnsa, która ukazała się w zeszłym miesiącu.

Zwróćmy uwagę na ekonomiczne konsekwencje autonomicznej rewolucji. Amerykanie wydają 4,5 bln dol. na jazdę samochodem – to więcej niż wielkość budżetu federalnego USA. Po wdrożeniu nowego systemu koszty spadną nawet 10-krotnie (po burzliwym okresie przejściowym) i Amerykanom zostaną w kieszeni 4 bln dol. oszczędności co roku (!), które będzie można przeznaczyć na inne cele. Poza tym Amerykanie będą mieli znacznie więcej czasu, bo nie będzie korków i czas przejazdu znacznie się skróci.

Przypuszczalnie podobne szacunki można opracować dla polskich miast i prawdopodobnie byłyby zbliżone, czyli 5–10-krotny spadek kosztu przejazdu jednego kilometra, 15 proc. samochodów potrzebnych do obsługi mieszkańców, dwie minuty oczekiwania na samochód.

Korzyści są tak olbrzymie, że władze wielu miast w Polsce powinny zaprosić czołowe światowe firmy (i polskie start-upy) do testowania samochodów autonomicznych, Sejm i Senat powinny przyjąć ustawy ułatwiające testowanie takich samochodów, a media rozpocząć edukację obywateli, przygotowując ich na nadejście autonomicznej rewolucji komunikacyjnej.

Skala korzyści ekonomicznych dla społeczeństwa jest tak wielka, że autonomiczna rewolucja z pewnością nastąpi. I zrewolucjonizuje wiele aspektów życia, łącznie z możliwością uratowania systemu emerytalnego przed bankructwem, o czym pisałem niedawno na tych łamach. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 9161cd63de

4
bazy ropy naftowej

19
baz magazynowych paliw

1843 km
rurociągów ropy naftowej

636 km
rurociągów paliwowych

3,5 mln m³
pojemności magazynowej dla ropy naftowej

1,8 mln m³
pojemności magazynowej dla paliw

PERN

Krajowy i regionalny lider logistyki naftowej

eprasa.pl 9161cd63de

Z Andrzejem Sadowskim, prezydentem Centrum im. Adama Smitha i członkiem Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP
rozmawia Wojciech Wybranowski

Procedury nie są przestrzegane

FOT. MIROSŁAW STELMACH/CENTRUM IM. ADAMA SMITHA

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Czy pana zdaniem dzisiaj pieniądze klientów lokowane w bankach w Polsce są bezpieczne?

ANDRZEJ SADOWSKI: Zawsze do równowartości 100 tys. euro, o ile nie zostanie wywołana panika.

Komisja Nadzoru Finansowego działa sprawnie? Słychać głosy ekspertów, że nadzór bankowy w Polsce jest zbyt zbiurokratyzowany, a to sprawności i skuteczności nie służy.

Po liczbie rejestrowanych za granicą, zwłaszcza w Luksemburgu, instytucji finansowych, których kapitał pochodzi z Polski, można uznać, że obowiązujące w naszym kraju rozwiązania są przeregulowane i tym samym niekonkurencyjne w Unii. Jeżeli Polska ma być – pod każdym względem – konkurencyjnym miejscem, to warto przejrzeć także przepisy i procedury obowiązujące na rynku finansowym i sprawdzić, czy sprzyjają one wzrostowi inwestycji, czy nie. Na kongresie programowym PiS w Katowicach w panelu na temat tzw. repolonizacji sektora bankowego postawiłem tezę, że najskuteczniejszą metodą repolonizacji jest deregulacja. W Polsce przy tak ustawionych przepisach nie ma możliwości, by uczciwie zafunkcjonowali polscy warrenowie buffettowie. Warren Buffett i inni mogą w swojej ojczyźnie zbierać od sąsiadów pieniądze i zakładać kolejne fundusze, pomnażając ich kapitał i swój zysk. Rozwiązania, które obowiązują w Polsce, to uniemożliwiają.

Wróćmy do tzw. afery KNF i spotkania prof. Marka Chrzanowskiego, byłego szefa Komisji Nadzoru Finansowego, z Leszkiem Czarneckim, właścicielem kilku niestabilnych dziś finansowo banków. Czy w tym przypadku KNF działała właściwie?

Wykonywanie procedur jest sprawą krytyczną w obecnym państwie polskim. W pierwszej kolejności negocjuje się z organami banku, takimi jak jego zarząd i rada nadzorcza. Nawet największy udziałowiec instytucji finansowej nie jest organem władzy banku. Procedury w KNF i w większości instytucji polskiego państwa są formalnie wystarczające. Nawet wiszą oprawione w widocznych miejscach. Nie ma powodu, aby je zmieniać tylko dlatego, że są nieużywane. Po tragedii w Smoleńsku zmieniono procedury dotyczące lotów najważniejszych osób w polskim państwie. Wykluczają podróż w jednym samolocie większej liczby osób pełniących istotne funkcje państwowe. Mimo tego odbywały się podróże oficjalnych delegacji ze złamaniem oczywistej procedury. Powtarzalność wypadków kolumn rządowych w tak niedługim czasie rodzi pytanie, czy nieprawidłowe są procedury, czy ich stosowanie.

Wątpliwości co do jakości działań KNF pojawiają się już nie pierwszy raz – głośno mówiono o nich przy okazji afery Amber Gold.

Odróżnijmy działalność KNF od działalności wymiaru sprawiedliwości, który po latach dokonał oceny jednej z decyzji KNF. W 2015 r. sąd okręgowy w wydanym wyroku stwierdził, że konstrukcja tzw. polisolokat jest „oszukańcza w niewiarygodnym stopniu". Jaki był w takim razie proces decyzyjny w KNF dopuszczający na polski rynek taki „produkt finansowy"? Gdyby wówczas KNF i inne instytucje działały według procedur, nie byłoby dziś GetBacku. W każdym państwie, także w Stanach, cały czas dochodzi do oszustw finansowych. To, co jednak różni Polskę od Stanów, to m.in. czas działania wymiaru sprawiedliwości. Madoffa za oszustwa aresztowano 11 grudnia 2008 r., a 29 czerwca 2009 r. został skazany. Pieniądze ukradzione klientom są wciąż poszukiwane i systematycznie zwracane. W Polsce osoba podejrzana w aferze Amber Gold przebywa w areszcie od sierpnia 2012 r., Europejski Trybunał Sprawiedliwości stwierdził, że należy się jej z tego tytułu odszkodowanie.

Przy okazji dopuszczenia na rynek polisolokat – może należałoby się dokładnie przyjrzeć, jak funkcjonowała w ostatnich latach KNF?

To nie tylko kwestia nadzoru finansowego, który czerpie swoją wiedzę także z przesyłanych przez banki audytów sporządzonych przez wyspecjalizowane firmy o statusie zaufania publicznego. W USA doszło do usunięcia z rynku jednej z najbardziej znanych, o wiekowej tradycji i reputacji, firm audytorskich, której udowodniono fałszowanie sporządzanych audytów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Z Cezarym Kaźmierczakiem, prezesem Związku Przedsiębiorców i Pracodawców
rozmawia Wojciech Wybranowski

Nie wdeptywać KNF w ziemię

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/FAST NEWS

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Zapoznał się pan ze stenogramem rozmowy Leszka Czarneckiego, właściciela Getin Noble Banku i Idea Banku, z Markiem Chrzanowskim, zdymisjonowanym właśnie przewodniczącym Komisji Nadzoru Finansowego?

CEZARY KAŹMIERCZAK: Tak. Nie kupuję narracji pana Czarneckiego, którą zaprezentowano w publikacji „GW". To człowiek mało wiarygodny, co wynika w moim przekonaniu głównie z dwóch kwestii: pierwszą jest sposób, w jaki prowadzi on swoje biznesy. Mając mały bank, miał wielkie ambicje, co popchnęło go do bardzo agresywnych metod sprzedaży polisolokat czy kredytów walutowych, balansujących na granicy etyki lub nawet poza nią; „na mieście" mówiło się, że sprzedawał pieniądze ludziom, którym nikt inny nie chciał ich sprzedać, np. pracownikom swoich banków pozwalał na sprzedaż 30-letnich polis na życie tym, którzy mieli już skończone 80 lat. To nie buduje jego wiarygodności. To właśnie ambicje Leszka Czarneckiego spowodowały, że należące do niego instytucje finansowe znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Co z tego wynika? Żeby je ratować, włożył w nie – w ramach różnych dokapitalizowań – sporo własnych pieniędzy (szacuje się, że nawet ok. 0,5 mld zł), a ponieważ nie przyniosło to pozytywnego skutku, sam znalazł się w trudnej sytuacji. I to jest drugi powód obok historii jego postępowania na rynku finansowym, dla którego on sam i jego opowieść nie są dla mnie wiarygodne.

„Dziennik Gazeta Prawna" napisał, że przynajmniej od listopada 2017 r. Leszek Czarnecki musiał wiedzieć o sprzedaży przez jego bank kontrowersyjnych i bardzo ryzykownych obligacji GetBack...

Ależ oczywiście. Zaangażowanie należącego do Czarneckiego Idea Banku w sprzedaż obligacji GetBack postawiły tę instytucję finansową na skraju bankructwa. Nie ma takiej możliwości, by on o tym nie wiedział, przecież Czarnecki swoje biznesy prowadził niemal „ręcznie", trzymając współpracowników na tzw. krótkiej smyczy. Oczywiście on sam za to, co się tam działo, nie ponosi odpowiedzialności prawnej, natomiast trudno uwierzyć, by nie miał świadomości tego, jakimi obligacjami handluje jego bank, by działo się to bez jego przyzwolenia.

Mówi pan o nieetycznych działaniach Czarneckiego, ale w przypadku byłego prezesa KNF mamy do czynienia z prawdziwym skandalem.

Zachowanie pana Chrzanowskiego jest zdecydowanie naganne. Co prawda, w moim przekonaniu na tych ujawnionych dotąd nagraniach nie pojawia się żadna propozycja korupcyjna, ze znanych dokumentów to nie wynika, natomiast po tym, na co pozwolił sobie prezes Chrzanowski, zasłużył na to, co nastąpiło, czyli natychmiastową dymisję. W żadnej sytuacji, w żadnej konfiguracji prezes KNF nie powinien był sobie pozwolić na rzeczy, które mówił w rozmowie z Czarneckim.

Zastanawiam się, czy procedury w KNF są właściwe. Szef instytucji odpowiedzialnej za nadzór nad bankami spotyka się na prywatnej rozmowie z właścicielem kontrolowanej instytucji, bez świadków, bez sporządzenia notki służbowej ze spotkania, i rozmawia o tym, jak mógłby mu pomóc.

Podkreślam – to naganne. Sam fakt tego spotkania, jego okoliczności, opowiadanie o podsłuchach i to całe doradztwo kadrowe oceniam jednoznacznie negatywnie. Zaznaczam też jednak, że twardych dowodów na korupcję nie ma, być może one są, ale z tego, co zostało do tej pory ujawnione, to nie wynika. Nie podoba mi się też potępianie w czambuł całej KNF; nie jest to może instytucja działająca perfekcyjnie, ale jednak ten polski nadzór finansowy, cokolwiek by o nim mówić, nie dopuścił do takich sytuacji, do jakich doszło np. w Europie wśród banków, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych. W mojej ocenie polskiej Komisji Nadzoru Finansowego nie należy wdeptywać w ziemię.

Wiceprezes wielkiego polskiego banku mówi mi, że jemu nie wolno spotykać się na prywatnych spotkaniach z ludźmi, którzy prowadzą biznesy, nawet jeśli są to jego dobrzy znajomi. Takie obowiązują zasady. Może warto by je wprowadzić również w KNF?

Nie popadajmy w paranoję. Jeżeli komuś ktoś w łaźni ukradł zegarek, to zabronimy ludziom chodzić do łaźni z zegarkami? Przecież to bez sensu. Instytucje powinny same wypracowywać mechanizmy zabezpieczeń. Komisja Nadzoru Finansowego to jest tak obszerna materia i tak wielka odpowiedzialność, że wydaje mi się, iż kontakt na poziomie prezes banku – urzędnik KNF jest głęboko bezproduktywny. To raczej kontakt przewodniczący KNF – prezes banku jest właściwy, bo żeby nadzór był efektywny i właściwy, rozmowy powinny być prowadzone na najwyższym szczeblu. Natomiast w mojej ocenie również dla własnego bezpieczeństwa i uniknięcia ewentualnych oskarżeń o nadużycia, niedopełnienia obowiązków czy nawet korupcję prezes KNF nie powinien w takich spotkani ach uczestniczyć bez udziału świadków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

Kubica wstaje z popiołów

FOT. ZAK MAUCER/MATERIAŁY PRASOWE

Łukasz Majchrzyk

Robert Kubica wraca do Formuły 1 dzięki uporowi, ciężkiej pracy i pieniądzom Orlenu dla zespołu Williamsa. To jeden z najbardziej efektownych powrotów w historii sportu

Robert Kubica znów wyjedzie na tor jako pełnoprawny kierowca zespołu Formuły 1. Informacja o tym, że podpisze kontrakt z zespołem Williamsa, krążyła już od jakiegoś czasu. Chyba wszyscy kibice na świecie mieli nadzieję, że tak się stanie, ale gdzieś z tyłu głowy zostawała myśl, że to historia zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa.

Siedem lat temu Polak był o krok od szczytu Formuły 1. Był młody, ale już doświadczony, na koncie miał zwycięstwa w wyścigach i w dodatku cieszył się świetną opinią: tytana pracy, człowieka pozbawionego nerwów na torze, a do tego kierowcy-inżyniera, który nie tylko się ściga i jest szybki, lecz także potrafi przekazać zespołowi uwagi, dzięki czemu można ulepszyć bolid. Taki człowiek jest w zespole na wagę złota.

Dlatego polski kierowca w 2011 r. był o krok od przejścia do jednego z najbogatszych, najbardziej utytułowanych i najbardziej prestiżowych zespołów, czyli Ferrari. Kontrakt miał zacząć niedługo obowiązywać, a wraz z nim zapis, że Kubica nie może ścigać się w rajdach samochodowych. To zbyt niebezpieczne, więc po co ryzykować? To wszystko nie zdążyło się wydarzyć. Podczas imprezy Rondo di Andora Kubica uderzył autem w barierę ogradzającą drogę. Wypadek był poważny. Nikt nie myślał wtedy o tym, czy polski kierowca zdoła kiedykolwiek wrócić do ścigania się na najwyższym poziomie. Trzeba było ratować jego życie, dopiero później, kiedy już największe zagrożenie minęło, można było skupić się na innych rzeczach.

Okazało się, że prawa ręka została poważnie uszkodzona i chociaż najlepsi chirurdzy przeprowadzili kilka operacji, to pełnej sprawności Polak nie odzyskał. Jak tu myśleć o powrocie do ścigania, gdy podstawowe „narzędzie" jest nie do końca sprawne. Kierownica w bolidzie Formuły 1 to prawdziwe centrum zarządzania światem, z mnóstwem przycisków, za pomocą których uruchamia się i wyłącza różne systemy, niezbędne na torze.

Nie wiadomo, czy Kubica od razu założył sobie, że wróci tam, gdzie był przed wypadkiem (a przynajmniej zrobi wszystko, by tak się stało), ale dążył do tego z niesamowitym uporem. Do tego celu prowadziły go rajdy, ale już nie przypadkowe imprezy, lecz te najlepiej zorganizowane, na najwyższym poziomie, z cyklu mistrzostw świata. Za każdym razem, kiedy wypadał z trasy, pojawiały się pytania, czy Kubica się jeszcze nadaje? Czy to bezpieczne dla niego?

Kierowcy Formuły 1 to prawdziwa elita sportów motorowych. W każdym sezonie do zajęcia jest tylko ok. 20 foteli (po dwa w zespole, a liczba teamów wynosi co roku ok. 10). Do tego jeszcze dochodzi po jednym rezerwowym oraz kierowcy jeżdżącym na symulatorach. Można się

eprasa.pl 9161cd63de

było jednak domyślać, że taka pozycja Kubicy nie zadowoli. Jeśli pojawiłaby się szansa startu w wyścigach, to należało ją wykorzystać.

Tylko że nie wszystko zależało od niego. Co roku do drzwi Formuły 1 pukają nowi zawodnicy i nawet jeśli Kubica przewyższał ich talentem, a problemy z ręką nauczył się obchodzić, to równie ważne były inne argumenty. Formuła 1 to jeden z najdroższych sportów na świecie, o ile nie najdroższy. Co roku trzeba zgromadzić budżet w wysokości kilkuset milionów euro. Ogromną ilość pieniędzy pochłaniają prace badawczo-rozwojowe nad samochodem, które właściwie nigdy nie ustają. Ciągle coś trzeba poprawiać, ulepszać, szukać setnych sekundy przewagi nad rywalami. Są zespoły, które mają wsparcie wielkich koncernów motoryzacyjnych (Ferrari, Mercedes, Renault), ale nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Trzeba szukać sponsorów (bo przecież nie oszczędności), a teraz w cenie są kierowcy, za którymi stoją potężne koncerny, gwarantujące wpłatę do budżetu w wysokości wielu milionów euro każdego roku.

Gdyby decydował tylko talent, Kubica jeździłby w Formule 1 już w sezonie 2018. Po testach w bolidach Renault, a potem Williamsa był przekonany (kibice i dziennikarze też), że zasiądzie za kierownicą bolidu tego drugiego zespołu. Wtedy do gry wkroczyli Siergiej Sirotkin i jego sponsorzy, którzy przebili ofertę Polaka. Rosja ma w kalendarzu własne Grand Prix (w Soczi) i trzeba było, żeby startował tam rosyjski kierowca. Teraz w innym zespole będzie jeździł Daniił Kwiat, więc być może w Rosji nie ma już takiej presji na utrzymanie miejsca Sirotkina w najsłabszym zespole Formuły 1. Skoro Kubica „przyniósł" ze sobą odpowiednie środki (mówi się o ok. 10 mln euro za sezon) dzięki decyzji szefów Orlenu, to będzie jeździł on.

Powrót Polaka do ścigania w Formule 1 jest jednym z najbardziej spektakularnych powrotów w całej historii sportu ze względu na czas, który upłynął od kontuzji, problemy ze zdrowiem, a także selekcję, jaką trzeba przejść, zanim wsiądzie się do bolidu F1. Taką drogę mogą przebyć tylko wybitni zawodnicy, którzy talent łączą z uporem, gotowością do ciężkiej pracy i odrobiną szaleństwa.

Przy historii powrotu Kubicy od razu przypomina się Niki Lauda, który podobnie jak Kubica był już na granicy życia i śmierci, ale wrócił i z powrotem zaczął odnosić sukcesy. Austriak startował ponad 40 lat temu, kiedy Formuła 1 była sportem dużo bardziej niebezpiecznym, niż jest obecnie. Poważne wypadki były na porządku dziennym, to był taniec ze śmiercią, zwłaszcza jeśli warunki na torze były niesprzyjające. W 1976 r. Lauda zaciekle walczył o mistrzostwo świata z Jamesem Huntem. Przed wyścigiem na torze Nürburgring mocno padało. Lauda nalegał, by odwołać wyścig, ale nie zgodzili się jego rywale (Lauda był wtedy liderem klasyfikacji generalnej). Niedługo po rozpoczęciu rywalizacji doszło do wypadku, bolid Ferrari stanął w płomieniach, a sam kierowca doznał rozległych poparzeń, miał spalone powieki, część prawego ucha, uszkodzone kanaliki łzowe, nawdychał się też trujących oparów.

Stan Laudy był poważny, obawiano się jego śmierci, dlatego w szpitalu ksiądz udzielił mu sakramentu namaszczenia chorych. Stał się jednak cud, Austriak wyzdrowiał. Po sześciu tygodniach wrócił nawet do ścigania, chociaż rany na poparzonym ciele do końca się nie zagoiły. Na konferencji prasowej siedział w bandażach, podczas wyścigów zakładał specjalny kask, a jeden z dziennikarzy twierdził, że w garażu zdejmował z głowy zakrwawione opatrunki.

FOT. GLENN DUNBAR/MATERIAŁY PRASOWE

W pierwszym wyścigu po powrocie zajął czwarte miejsce, ale nie walczył o zwycięstwo na śmierć i życie. Gdy w trakcie kończącego sezon Grand Prix Japonii nad torem szalała ulewa, Lauda zjechał po dwóch okrążeniach do garażu – stwierdził, że ściganie jest zbyt niebezpieczne. Przegrał mistrzostwo świata jednym punktem, ale za rok tę stratę sobie powetował. W historii Laudy szacunek i podziw budzi tempo, w jakim pozbierał się po wypadku, w którym otarł się o śmierć, i poradził sobie z doskwierającym bólem (choć jak sam przyznawał, w pierwszym wyścigu po powrocie był skamieniały ze strachu). Miejsce w bolidzie Ferrari na niego czekało. Kubica musiał walczyć dodatkowo o to, by ten ekskluzywny świat z powrotem zechciał go przyjąć na równych prawach, uwierzył, że jest w stanie rywalizować z najlepszymi. Nie ma sensu tworzenie hierarchii tych historii, każdy znajdzie w nich dla siebie coś inspirującego.

Opowieści o zwycięstwie sportowego ducha nad materią jest jednak więcej i zdarzają się we wszystkich dyscyplinach. Hermann Maier był świetnym alpejczykiem, wielokrotnym zwycięzcą zawodów Pucharu Świata. W 2002 r. miał sięgnąć w Salt Lake City po medale olimpijskie, taki był plan, ale los chciał inaczej. W sierpniu 2001 r. wracał motocyklem z treningu, kiedy nagle zajechał mu drogę skręcający w lewo samochód. Maier wylądował w rowie. Noga była złamana w wielu miejscach, lekarze poważnie brali pod uwagę amputację.

Sukcesem miało być to, że pacjent kiedykolwiek zacznie normalnie chodzić, a co dopiero mówić o jeżdżeniu na nartach i startowaniu na najwyższym poziomie. Tymczasem już kilka miesięcy później ten niezwykły sportowiec przypiął narty i rozpoczął treningi, a jego powrót śledziło wielu dziennikarzy. Na igrzyska olimpijskie w Salt Lake City nie zdążył wrócić, ale cztery lata później w Turynie był jedną z gwiazd. Zdobył medale srebrny i brązowy (w supergigancie oraz gigancie). Stawał również na najwyższym stopniu podium mistrzostw świata, zdobywał Kryształową Kulę za zwycięstwo w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Zyskał przydomek Herminator.

Organizmy sportowców są przystosowane do tak wielkiego wysiłku, że czasami mogą zadziwić nie tylko kibiców, lecz także lekarzy. Koszykarz Magic Johnson ogłosił, że jest nosicielem wirusa HIV w 1991 r., kiedy każdy traktował tę informację jak wyrok śmierci. Karierę zawiesił, ale kilkakrotnie wracał na parkiet (m.in. na igrzyska olimpijskie w Barcelonie w 1992 r.). Żyje do dziś i zasiada we władzach swojego dawnego klubu Los Angeles Lakers.

Hokeista Mario Lemieux był u szczytu kariery, walczył o pobicie kolejnych rekordów, tytuły mistrzowskie, kiedy w styczniu 1993 r. ogłosił, że cierpi na chorobę nowotworową – chłoniak Hodgkina. Wrócił zaledwie po dwóch miesiącach przerwy, a w dniu, w którym przyjął ostatnią radioterapię, poleciał do Filadelfii na mecz przeciwko drużynie Flyers. Zdobył gola oraz zaliczył asystę i chociaż jego drużyna przegrała 4:5, to on był bohaterem wieczoru. Udowadnił, że nie ma rzeczy niemożliwych. Dla takich historii warto być kibicem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9161cd63de

TEST „DO RZECZY": BOSE QUIETCOMFORT 35 II

To idealny gadżet dla introwertyków. Jeśli komuś zależy głównie na tym, aby za pomocą słuchawek niemal całkowicie odciąć się od zewnętrznego świata, to może od razu przestać czytać i zamówić ten model. Jego największą zaletą są bowiem imponujące możliwości redukcji hałasu, które pozwalają cieszyć się przyjemną ciszą, nawet jeśli w biurze głośno gra telewizor, koledzy jak szaleni walą w klawiaturę, a koleżanki nieustannie plotkują o dzieciach.

Testowany sprzęt dobrze się sprawdza też podczas podróży samolotem czy spaceru wzdłuż ruchliwej trasy. Oczywiście nie każdy szum zostanie zneutralizowany do zera, ale dla osób, które nie miały wcześniej słuchawek z funkcją redukcji hałasu – w uproszczeniu zastosowana technologia polega na nieustannych pomiarach hałasu otoczenia i wysyłaniu przez słuchawki sygnału z odwrotną fazą, aby wyciszyć szum – efekt „wow" jest gwarantowany.

Drugi plus: dzięki stosunkowo niewielkiej wadze słuchawki wokółuszne Bose są niesamowicie wygodne w użytkowaniu. Ich design jest klasyczny i stonowany. Pałąk jest w większości wykonany z plastiku obitego alcantarą. Pluszowe poduszki nauszne są zaś wyprodukowane z ekoskóry. Muszle w razie potrzeby można obrócić o 90 stopni.

Główna różnica w porównaniu z pierwszą edycją modelu QuietComfort 35 polega na tym, że umieszczony na lewej muszli przycisk służy obecnie do regulowania poziomu redukcji hałasu (do wyboru są stopnie niski lub wysoki) oraz wywoływania Asystenta Google, co może być tym bardziej przydatne, że ponoć już wkrótce asystent ten ma wreszcie mówić po polsku. Testowanego modelu słuchawek można używać przewodowo lub – to dużo wygodniejsze rozwiązanie – bezprzewodowo za pomocą Bluetooth oraz NFC. Czuły mikrofon sprawia zaś, że ten model świetnie nadaje się do prowadzenia rozmów telefonicznych.

Na pochwałę zasługują też bateria – na jednym ładowaniu można używać słuchawek przez 20 godzin – oraz etui do przenoszenia słuchawek wraz z praktyczną kieszonką na kable.

A wady? Po pierwsze: chociaż jakość brzmienia QuietComfort 35 II jest dobra i zapewne większości użytkowników przypadnie do gustu, to jednak niektóre konkurencyjne słuchawki w tej kategorii cenowej brzmią zauważalnie lepiej. Minus drugi: bateria jest niewymienna. Po trzecie: brakuje kilku przycisków, jak choćby możliwości natychmiastowego wyciszenia muzyki.

Ogólnie testowane słuchawki Bose zasługują jednak na bardzo wysoką ocenę. Niestety, mają też wysoką cenę, która wynosi obecnie 1399 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BLUZA ROZGRZEWAJĄCA

Przymroziło. I jasne, „piersiówka" z zawartością jest dobra na wszystko, ale czasami lepsza może okazać się The Flare, czyli – jak twierdzi producent – najcieplejsza koszulka na świecie.

Rzeczona odzież działa podobnie jak wiele innych „rozgrzewających koszulek", zasilana jest niewielką baterią, a temperaturą sterujemy z poziomu aplikacji telefonicznej. Koszulka, a w zasadzie sportowa bluza – przeznaczona zarówno dla uprawiających sporty wyczynowe, jak i miłośników nordic walking – wyposażona jest w elementy grzejne wykorzystujące technologię włókna węglowego – dlatego nagrzewa się szybko i przy minimalnym poborze mocy. Przycisk „zasilania koszuli" znajduje się na jej dolnym skraju, co nie niszczy jej stylu, można ją też prać i składać, by zmieściła się w torbie turystycznej. Na dłuższe podróże do bluzy można podłączyć wchodzący w skład zestawu power bank. The Flare można zamówić na Kickstarterze w cenie ok. 400 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAPRAWDĘ DŁUGOPIS

Ludzie listy piszą. W zasadzie e-maile. A jeszcze bardziej „w zasadzie" to SMS-y i wiadomości na portalach społecznościowych. Przed świętami często to kopiuj-wklej i hurtowe wysyłanie do wszystkich znajomych. A może by tak wrócić do tradycyjnych kartek świątecznych, obszernych listów ręcznie pisanych? Odzwyczailiśmy się od trzymania w dłoni długopisu i sprawnego posługiwania się nim. Czasami jednak warto – np. tak prostym, tradycyjnym długopisem jak Minimal Pen, który ma – jak twierdzą jego konstruktorzy – przetrwać całe życie. Długopis został wykonany z jednolitego kawałka metalu (tego samego, z którego wykonuje się łożyska lotnicze), bez użycia choćby jednego elementu plastikowego, co daje mu znacznie większą trwałość niż w przypadku standardowych piór kulkowych czy długopisów. W dodatku „uzbrojony" jest we własny mechanizm samosmarujący z utwardzonego brązu ze sprężyną, co pozwala cieszyć się płynnym „klikaniem" przez dziesiątki lat. Mamy więc do czynienia niemal z klasycznym długopisem, takim jak tysiące w sklepach, ale że producent zbierający środki na Kickstarterze podparł się niezłym bajerem PR-owskim, to jeszcze przed zakończeniem akcji zebrał ponad 10-krotnie większą kwotę pieniędzy, niż potrzebował na uruchomienie produkcji długopisu. Zamawiać go można na wspomnianym portalu, płacąc ok. 400 zł za jeden Minimal Pen. Warto? Listy pisać warto z pewnością. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 9161cd63de

NASZ TEST: VOLVO V60 T6

Konstruktorzy unowocześnionej wersji popularnego rodzinnego kombi skupili się na stylistyce, bezpieczeństwie, komforcie i bezstresowym prowadzeniu. Atutami tego modelu są też wyjątkowo duży bagażnik i świetnie wyciszona kabina. Auto nie zdobędzie jednak zapewne serc miłośników szaleńczej, sportowej jazdy.

W KABINIE

Przestronne wnętrze tego auta to jedna z jego najmocniejszych stron. Jego cechy charakterystyczne to skandynawski design, miękkie materiały, a także dekory wykonane z drewna, ze skóry i szczotkowanego aluminium. Tradycyjnie w Volvo centralnym elementem deski rozdzielczej jest duży, ciekłokrystaliczny ekran. Szkoda jedynie, że za pomocą tego ostatniego obsługuje się niemal każdą funkcję – od nawigacji poprzez multimedia do klimatyzacji.

Fotele są wyjątkowo wygodne. A dzięki temu, że nowe V60 jest zarówno dłuższe od poprzedniej wersji tego modelu, jak i od swych niemieckich konkurentów (mierzy 476,1 cm), w środku jest sporo miejsca dla pasażerów podróżujących zarówno z przodu, jak i z tyłu. Przez tunel transmisyjny niewygodnie może być tylko podróżnemu jadącemu na środku tylnej kanapy.

Pojemność bagażnika w modelu V60 wynosi aż 529 l. W tym segmencie to bardzo dobry wynik. Audi A4 Avant oferuje bowiem 505 l, a BMW serii 3 Touring – 495 l. Po złożeniu tylnych siedzeń pojemność kufra w nowym V60 wzrasta zaś do 1364 l.

JAZDA

Testowane auto, z silnikiem benzynowym o mocy 310 KM pod maską, od zera do pierwszej setki przyspiesza w 5,8 s. Chętnie i płynnie przyspiesza również powyżej setki. Maksymalnie można nim zaś mknąć nawet 250 km/godz.

Mimo to Volvo V60 nie jest autem dla miłośników sportowej jazdy. Również zawieszenie zostało zestrojone z większym naciskiem na komfort niż na możliwości szaleńczo-dynamicznej jazdy.

Auto z napędem na wszystkie koła dobrze radzi sobie jednak na mokrych, jesiennych drogach. Układ kierowniczy – choć wystarczająco precyzyjny – jest jednak nieco gorszy niż w BMW serii 3, co sprawia, że przed ostrym zakrętem lepiej zdjąć nogę z gazu.

Ogromną zaletą modelu V60 jest znakomite wyciszenie kabiny. Nawet przy wyższych prędkościach autostradowych we wnętrzu panuje błoga cisza.

Spalanie w mieście wynosi średnio ok. 12 l, na autostradzie – ok. 10 l, a jadąc spokojnie na trasie, można zejść do 8,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Szwedzka marka słynie z produkcji bezpiecznych samochodów. W przypadku V60 życie kierowcy i pasażerów chroni m.in. klatka bezpieczeństwa z wysokowytrzymałej stali borowej. Auto jest też wyposażone w systemy zmniejszające ryzyko wypadku lub kolizji. City Safety za pomocą kamer i radarów wykrywa oraz identyfikuje inne samochody, rowerzystów, pieszych, a także duże samochody i w razie potrzeby alarmuje kierowcę lub samodzielnie uruchamia hamulce. Układ Run-off Road Mitigation ogranicza z kolei ryzyko wypadnięcia z drogi.

Samochód jest też wyposażony w układ ostrzegający o kolizjach tylnych – po wykryciu ryzyka uderzenia przednie pasy bezpieczeństwa zostają napięte, a jeśli nasz samochód stoi, to uruchamiają się hamulce, aby zmniejszyć ryzyko urazu kręgosłupa szyjnego, do którego dochodzi na skutek gwałtownego szarpnięcia. Jesienią i zimą, gdy dni są tak koszmarnie krótkie, kierowcy docenią też reflektory LED z aktywnymi światłami skrętnymi, które dostosowują kształt wiązki światła do ruchów kierownicą.

CENA

Najtańsze V60 z jednostką wysokoprężną o mocy 150 KM i manualną skrzynią biegów kosztuje 147 tys. zł. Za szwedzkie kombi z silnikiem benzynowym o mocy 250 KM i automatyczną skrzynią trzeba już zapłacić co najmniej
182 tys. zł. W najbogatszej wersji wyposażeniowej za samochód z dieslem o mocy 190 KM i automatem trzeba zapłacić 213,2 tys. zł. Model V60 z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 310 KM, automatem i napędem na cztery koła to wydatek co najmniej 220 tys. zł, a auto z napędem hybrydowym o mocy 390 KM kosztuje już co najmniej 251 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A4 Avant, BMW serii 3 Touring, Mercedes klasy C kombi ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9161cd63de

FOT. ADOBE STOCK

Przełom dla wcześniaków

Katarzyna Pinkosz

Inkubatory przywożone w walizkach, kwestowanie po kopalniach – tak rodziła się polska neonatologia. Dzisiaj jest na poziomie światowym – głównie dzięki wysiłkom i pasji lekarzy

Jeszcze niedawno uratowanie dziecka o wadze 2,5 kg było trudne, dziś szansę na życie mają nawet wcześniaki, które urodziły się, ważąc zaledwie 500 g. Neonatolodzy denerwują się pytaniami o najmniejszego uratowanego wcześniaka, bo nie o rekord i wyścig tu chodzi, tylko o to, by dziecko nie tylko przeżyło, lecz także nie miało obciążeń wynikających z tego, że urodziło się przedwcześnie, lub by były one jak najmniejsze.

Polska neonatologia jest dziś na poziomie światowym. To zasługa nowoczesnego sprzętu (inkubatory, respiratory, aparaty wspomagające nieinwazyjne oddychanie) oraz bardzo dobra organizacja leczenia. Jednak nawet najnowocześniejsze aparaty i sprzęt nie pomogłyby, jeśli zabrakłoby doświadczonych lekarzy: i tu mamy wyjątkowe szczęście, ponieważ polscy neonatolodzy to osoby z ogromnym doświadczeniem, wiedzą, a przede wszystkim pasją. – Przez lata poświęcali czas i energię nie dlatego, by dostać gratyfikację finansową, ale po to, by najmniejsze dzieci miały lepszy start w życie. To, że polska neonatologia jest dziś na poziomie światowym, to przede wszystkim praca tych ludzi, bo nakłady finansowe na tę dziedzinę nie były duże – opowiada Joanna Morga, autorka książki „Narodziny polskiej neonatologii. Wspomnienia lekarzy".

– Mały człowiek nie może się nawet rozpłakać, żeby pokazać, że dzieje się coś złego. Dlatego gdy stan dziecka jest nieustabilizowany, często stoimy przy inkubatorze i patrzymy, żeby zauważyć to, o czym nie mówią aparaty – przyznaje prof. Ewa Helwich, krajowy konsultant w dziedzinie neonatologii.

TRUDNE POCZĄTKI

Nie sposób dziś wyobrazić nam sobie, że w 1950 r. co 10. dziecko w Polsce umierało przed skończeniem pierwszego roku życia: z powodu biegunek, chorób zakaźnych, niedożywienia. Na świecie neonatologia zaczęła szybko się rozwijać po 1963 r., kiedy to zmarł urodzony przedwcześnie synek prezydenta Kennedy'ego. Profesor Ryszard Lauterbach (Szpital Uniwersytecki w Krakowie): – Wydawało się to niesamowite, że mocarstwo dysponujące tyloma czołgami i rakietami nie potrafiło utrzymać przy życiu maleńkiego człowieczka ważącego 2 kg.

Za żelazną kurtyną o wszystko było trudniej. Wiedzę i umiejętności polscy neonatolodzy zdobywali dzięki indywidualnym kontaktom zagranicznym, a przede wszystkim własnej pracy. Profesor Janusz Gadzinowski jeden z pierwszych w Polsce respiratorów dla noworodków przywiózł… w walizce (podarowany przez Finów). Profesor Walentyna Iwaszko-Krawczuk (nestorka polskiej neonatologii): – Nieraz siedziałam w bibliotece do późnych godzin wieczornych. Gdy zimą wracałam późno do domu, spotkałam po drodze mężczyznę. Zapytał: „Skąd pani wraca?". „Z biblioteki. A pan?" „A ja z więzienia". Wystraszyłam się, choć dziś myślę, że tylko żartował". Profesor Urszula Godula-Studnik (Śląski UM w Katowicach): – My nawet sprzęt i aparaturę medyczną niezbędną dla chorych noworodków zdobywaliśmy na własną rękę, bo tylko niewielka część była kupowana ze środków państwowych. W poszukiwaniu środków jeździliśmy nawet po kopalniach...

Ogromna zmiana dokonała się w ostatnich 30 latach. – Gdy zaczynałam pracę w 1980 r., czasem nie byliśmy w stanie uratować dziecka ważącego 2,5 kg. Pamiętam, że gdy zadzwoniłam do szpitala przy

eprasa.pl 9161cd63de

ul. Litewskiej [wówczas był to Szpital Akademii Medycznej w Warszawie – przyp. red.], lekarz dyżurny powiedział, że tu „nie ma co ratować, bo dziecko na pewno ma wylew do ośrodkowego układu nerwowego". Dzisiaj takie dzieci ratujemy – opowiada prof. Ewa Helwich.

Kamieni milowych w rozwoju polskiej neonatologii było wiele: możliwość zastosowania coraz bardziej nowoczesnego sprzętu, wprowadzenie do leczenia surfaktantu, który przyspiesza rozwój płuc, organizacja trójstopniowej opieki neonatologicznej, dzięki czemu dziecko z ciąży zagrożonej rodzi się w specjalistycznym szpitalu, w którym można je ratować. W ostatnich latach nieoceniona była pomoc Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, dzięki której oddziały noworodkowe dostały najnowocześniejszy sprzęt.

Jeszcze w latach 90. umieralność noworodków przekraczała 16 promili (czyli 16 na 1000), obecnie to 4–5 promili: poziom światowy.

GRANICE PRZEŻYCIA

Na razie wydaje się, że granicą możliwości przeżycia dziecka jest 22. tydzień ciąży. Niezwykle rzadko udaje się, żeby młodsze dziecko przeżyło – ze względu na niedojrzałość narządów. Biologii przeskoczyć się nie da. Jednak coraz większe możliwości techniczne spowodowały pytanie z dziedziny etyki: Gdzie są granice w dążeniu do ratowania życia?

– Codziennie zadaję sobie to pytanie. Mamy możliwości techniczne: respirator, inkubator, możemy tygodniami utrzymywać czynności życiowe. Jednak nie leczymy już wtedy całego człowieka. Czy to w pewnym momencie nie jest już tylko uporczywą terapią? – pyta prof. Magdalena Rutkowska z Instytutu Matki i Dziecka. To m.in. dzięki niej powstały pierwsze w Polsce rekomendacje dotyczące postępowania z matką oraz dzieckiem urodzonym na granicy możliwości przeżycia. – Często wtedy rodzice pytają: „Czy możemy jeszcze coś zrobić dla dziecka?". Mówię: „Współtowarzyszyć do ostatniej chwili". Nawet jak rodzi się wcześniak ważący 450 g i umiera w kilka minut, to rodzice przychodzą potem do mnie i dziękują, bo dzięki temu, że mogli przez 10 minut mieć dziecko na swoim brzuchu, poczuli się rodzicami – mówi prof. Rutkowska.

– Dla nas każde odejście dziecka jest ciężkie. Wieczorem, przed snem, człowiek myśli o tych wszystkich sytuacjach w pracy. Ja źle sypiam – przyznaje prof. Katarzyna Maria Borszewska-Kornacka, od lat prezes Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego.

MOTYWACJA

Jest ogromna: bo coraz więcej wcześniaków, także tych z niską i skrajnie niską masą ciała, nie tylko przeżywa, lecz także dobrze się rozwija. Wzruszające są spotkania po latach z dziećmi, które miesiącami leżały na oddziale intensywnej terapii noworodka, walcząc o życie.

Profesor Borszewska-Kornacka: – Trudno nie mieć motywacji, gdy dziecko urodzone z masą ciała 500 czy 600 g, przybiega do nas po dwóch latach i czasem ma okularki, ale czasem nawet cienia żadnych zaburzeń. Albo gdy kiedy przychodzi do mnie matka z dzieckiem, które ważyło 500 g, a teraz wyciąga do mnie rączki i gładzi mnie po twarzy. Trudno uwierzyć, gdy mama mówi, że ono mnie poznaje, ale ja w to wierzę!

Na spotkania przychodzą też rodzice z wcześniakami, których rozwój nie jest tak dobry. – Pamiętam słowa ojca 20-letniego chłopca, który jest niepełnosprawny i ma mózgowe porażenie dziecięce. Powiedział, że mimo iż ma wiele trudności na co dzień z synem, to jest on jego wygraną na loterii – opowiada prof. Rutkowska.

Wartość życia wcześniaka rodzice mierzą inaczej. Może dlatego, że długo walczyli o jego każdy krok do przodu, który dla dziecka urodzonego o czasie jest czymś normalnym.

JEDNYM GŁOSEM

To, że polska neonatologia jest dziś na poziomie światowym, jest też zasługą tego, że o poprawę opieki nad noworodkami lekarze potrafią walczyć i mówić jednym głosem. – To dlatego, że jesteśmy tak zdeterminowani w walce o potrzeby naszych pacjentów – podkreśla prof. Borszewska-Kornacka.

To dzięki tej jedności środowiska udał się ostatni sukces, którym było rozszerzenie profilaktyki przeciw wirusowi RS: od tego roku przeciwciała mogą dostawać wszystkie wcześniaki urodzone do końca 32. tygodnia ciąży. Neonatolodzy walczyli o to od lat, bo o ile w przypadku starszego dziecka zachorowanie zwykle kończy się błahym katarem, o tyle w przypadku wcześniaka – często zapaleniem płuc, a nawet koniecznością powrotu do szpitala, z którego dopiero niedawno wyszedł. – Teraz chcemy, by wszystkie wcześniaki były objęte opieką koordynowaną co najmniej do skończenia trzech lat. Dzięki wczesnemu rozpoznaniu problemów dzieciom można szybko pomoc. Mamy nadzieję, że ministerstwo i NFZ taką opiekę zapewnią – mówi prof. Helwich.

A neonatolodzy, w walce o lepszy start dzieci, nie ustąpią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Niektóre cytaty pochodzą z książki Joanny Morgi „Narodziny polskiej neonatologii. Wspomnienia lekarzy".

REKLAMA

Warto wypróbować Myalgan – suplement diety specjalnie opracowany dla chorych na fibromialgię, który dostarcza ekstrakty roślinne i tryptofan, aminokwas niezbędny do wytworzenia przez organizm serotoniny i melatoniny, których w fibromialgii zwykle brakuje. Preparat wspomaga własną zdolność organizmu do skutecznego uśmierzania objawów związanych z fibromialgią.

Informacje: Phytomedica Polska, tel: 22 550 60 30, http://myalgan.pl

eprasa.pl 9161cd63de

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Piekarski na mękach

Ledwo minęła rocznica wydarzenia, które niegdyś wywołało gniew i przerażenie w Rzeczypospolitej. Otóż w zimny, pochmurny poranek 15 listopada 1620 r., ok. godz. 9, kiedy król Zygmunt III Waza wybrał się na mszę do katedry św. Jana, spoza otwartych drzwi wyskoczył nieznajomy szlachcic, po czym rzucił się na władcę z czekanem w ręku!

Zdarzenie było tak nieoczekiwane, że zrazu nikt nie pomyślał o jakiejkolwiek obronie. Zanim obecni otrząsnęli się z bezładu, zamachowiec uderzył króla i przewrócił siłą ciosu. Chybił jednak – ponieważ Zygmunt odwrócił głowę w stronę bp. Wężyka, w dodatku miał na głowie czapkę, więc czekan ześliznął się na obojczyk. Zamiast dobić – skaleczył królewski policzek. Nim napastnik zdołał ponowić atak albo sięgnąć po szablę, królewicz Władysław ciął go w głowę, a Łukasz Opaliński zasłonił króla własnym ciałem. Napastnika szybko pochwycono i rozbrojono, Zygmunt, krwawiąc, podniósł się i stanął o własnych siłach, wybuchła wrzawa i krzyki. Wieść o zamachu obiegła Warszawę lotem błyskawicy. W panice uderzono w dzwony, poczęto zamykać bramy. Podniósł się krzyk: „Tatarzy" i w mieście wybuchła panika. Nie bez powodu, bowiem miesiąc wcześniej, 6 października, armia koronna poniosła klęskę pod Mohylewem (starcie mylnie nazywano bitwą pod Cecorą), pod którym zginął hetman Stanisław Żółkiewski. W Warszawie sypano wówczas wały wokół miasta, a struchlałym ze strachu mieszczanom zdawało się, że pod murami stolicy pojawiła się armia turecka Osmana II.

Rycina przedstawiająca zamach na Zygmunta III Wazę w 1620 r. FOT. WIKIPEDIA

Jeszcze tego samego dnia Zygmunt III wysłał pisma, w których wyjaśniał, że pogłoski o jego śmierci nie są prawdą. Szlachta była jednak wstrząśnięta zamachem. Pierwszy raz w historii Rzeczypospolitej ktoś z panów braci ośmielił się porwać zbrojnie na króla, co obciążało hańbą cały naród. Ponieważ zamachowiec używał czekana, toporka na długiej, drewnianej rękojeści, sejm uchwalił konstytucję „Zabronienie czekanów", w której zakazał ich używania, wyjąwszy wojnę z koronnym nieprzyjacielem. Jednocześnie do skarbca miejskiego Warszawy złożono relikwię. Była to ozdobna puszka, z kawałkiem skóry z głowy zamachowca, który ściął królewicz Władysław, osłaniając swego ojca.

Kim był człowiek, który czekanem zamachnął się na majestat? Nazywał się Michał Piekarski i pochodził z województwa sandomierskiego. Niedoszły zabójca okazał się szaleńcem – miewał ataki gniewu i widzenia, w czasie których spotykał się z aniołem. To właśnie on nakazał mu zabicie króla, co miało być zemstą za to, że Zygmunt zgodził się, aby rodzina przejęła kuratelę nad obłąkanym Piekarskim i jego majątkami.

Dla zamachowca nie miano litości. Szlachta wpadła we wściekłość, bo od lat szczyciła się tym, że w Rzeczypospolitej nie zabijano królów. Sąd sejmowy skazał go na karę śmierci i tortury, w celu ujawnienia ewentualnych wspólników. Skazaniec jęczał ponoć, dręczony przez katów, i plótł niestworzone rzeczy, dając tym samym początek przysłowiu: „plecie jak Piekarski na mękach", nie wyjawił jednak nikogo. Na dobro Zygmunta III należy zapisać to, że choć odsunięto go od procesu, prosił o litość dla zamachowca i publicznie mu wybaczył.

Piekarskiego skazano na piętnowanie, przypalanie, rozrywanie końmi i na koniec spalenie na stosie. Wyrok wykonano na rynku Nowego Miasta. Samuel Maskiewicz opisuje kaźń szalonego zamachowca: „Piekarski był prowadzony na wozie czterema końmi, na którym uczynione było siedzenie wysokie i katom, iż widać ich było wszystkim ludziom. Wyjechali z Zamku na wał bramą, a wyjeżdżając na Krakowskie Przedmieście, także z ulicy w Rynek wjeżdżając i z Rynku w ulicę ku Nowemu Miastu, tak na Nowe Miasto w Rynek wjeżdżając, siepał go kat kleszczami rozpalonymi, a tam na Nowym Mieście teatrum było zbudowane, na które z nim wszedłszy, oprawcy pod ręce na zad związane podsadzili dymnice z ogniem, siarki weń nasypawszy, palili je, mieszkami dymając; potem zszedłwszy z nim z góry, te cztery konie wyprzęgłwszy z wozu, poprzywiązywali postronki do rąk i nóg, chcąc go roztargnąć, ale iż temu dosyć nie mogli uczynić, nacinał kat siekierą, a wycinając konie, urwali mu nogę prawą. Zatem samego wziąwszy i te targane członki włożyli na stos drew i spalili".

Egzekucja na długo pozostała jednak w pamięci mieszkańców Warszawy. Opowiadano, że w miejscu, gdzie był stos i egzekucja, pojawiały się w nocy dziwne rozbłyski – jak gdyby zapalonej świecy. Rozpowiadały o tym przesądne warszawskie przekupki i inne co strachliwsze kobiety. ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

PYTANIE NA ŚNIADANIE, A NA OBIAD
POLSKIE MIĘSO OD JURKA SOBIENIAKA

Mięso po polsku to moja propozycja i jednocześnie nazwa dania, które serwuję w swoich bistrach. Są to policzki wieprzowe duszone w sosie własnym z przypalanką ziemniaczaną – taką samą, jaką robił mój dziadek! – i burakami marynowanymi w occie jabłkowym. Wszystkie te składniki moim zdaniem składają się na klasyczny domowy polski obiad. Miękkie, rozpływające się mięso (to klasyka niedzielnego obiadu), tłuczone ziemniaki z aromatem pieczonego ziemniaka przypominają mi mój dom, a słodkie buraki to rewelacyjny kontrast. Całe danie to moja radość, którą chętnie dzielę się z moimi gośćmi.

Składniki na 4 osoby:

- 1,2 kg policzków wieprzowych
- 5 ziaren ziela angielskiego i pieprzu
- 2 l wody
- 4 dorodne ziemniaki typu B, np. irga lub irys
- 500 g buraków
- koperek – 2 gałązki
- masło – 2 łyżki
- miód – 1 łyżka
- ocet jabłkowy – 5 łyżek
- świeżo mielony pieprz

Przygotowanie:

Buraki zawijamy w folię spożywczą i pieczemy w 180 st. C przez 45–60 min, następnie obieramy i kroimy w kostkę 1,5 x 1,5 cm. Miód mieszamy z octem i dodajemy do pokrojonych buraków, całość mieszamy, doprawiamy pieprzem i odstawiamy.

Policzki przekładamy do garnka i zalewamy wodą, dodajemy przyprawy i gotujemy pod przykryciem 1,5 godz., następnie odkrywamy i wygotowujemy wywar do uzyskania jednej trzeciej wywaru z całej objętości. Gotowy wywar doprawiamy solą. Ziemniaki gotujemy do miękkości, następnie tłuczemy z łyżeczką masła i smażymy na patelni teflonowej, rozsmarowując je po jej powierzchni. Ziemniaki mieszamy co 40 s, zeskrobując przyrumienione kawałki z dna patelni. Czynność powtarzamy trzy-, czterokrotnie, aby nadać odpowiedni aromat przypalance ziemniaczanej. Policzki podajemy z sosem własnym zaciągniętym masłem razem z burakami i ziemniakami. Całość dekorujemy koperkiem. ©℗

Jurek Sobieniak jest szefem kuchni, restauratorem, gotuje w „Pytaniu na śniadanie" w TVP.

FOT. ARCHIWUM JURKA SOBIENIAKA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Naoliwienie

We włoskich restauracjach jako „czekadełko" podają często oliwę z oliwek z pieczywem i solą.

Jako że byliśmy w restauracji z kuchnią polską, kelner w oczekiwaniu na dania zasadnicze nalał każdemu na talerzyk troszkę oleju rzepakowego. Był szafranowy, orzechowy w smaku i bardzo smaczny ze świeżym chlebem i z solą.

Cudze chwalicie, swego nie znacie. Olej rzepakowy! Znam, ale nie z tej strony. Postanowiłam zatem poznać lepiej i w tym celu kupiłam małą butelkę tłoczonego na zimno, nierafinowanego. Był intensywnie żółty, w odróżnieniu od bladożółtego z supermarketu. Zaskoczyło mnie tylko, że etykieta na niewielkiej butelce (500 ml, 15 zł) zawierała ostrzeżenie: nie nadaje się do smażenia.

FOT. ADOBE STOCK

I cóż się okazuje? Znałam dobrodziejstwa oleju rzepakowego, do niedawna niedocenianego w naszej kuchni, pokonanego przez rozreklamowaną, zresztą całkiem słusznie, oliwę z oliwek. Wiedziałam, że zawiera dużo niezbędnych nienasyconych kwasów tłuszczowych (NNKT) z rodziny omega-3, 10 razy więcej niż oliwa z oliwek. Jest w nim również idealna pod względem zdrowotnym proporcja między kwasami tłuszczowymi omega-6 a omega-3. Mało tego, olej z rzepaku zawiera witaminę E, sterole, które wpływają na obniżenie poziomu cholesterolu we krwi poprzez hamowanie jego wchłaniania w jelitach. Witamina E i sterole mają silne działanie utleniające, które chroni nienasycone kwasy tłuszczowe przed szkodliwym działaniem tlenu.

To wszystko wiedziałam, ale nie wiedziałam, że olej rzepakowy tłoczony na zimno, nierafinowany nie nadaje się do pieczenia, smażenia ani duszenia. Trzeba go używać wyłącznie jako dodatku do sałatek czy sosów. Czyli właśnie do czegoś takiego, jak podano w restauracji – namaczania kawałka chleba lub bułki razem z solą (do tego dodaję jeszcze natkę pietruszki). Natomiast olej rzepakowy rafinowany, ten jasny w litrowych butelkach, może być stosowany przy każdej obróbce termicznej.

Wiedzę o rodzimych skarbach kuchni przyswajamy powoli. Często dopiero wtedy, kiedy polecą nam je cudzoziemcy. Do kiszonek zachęcił Amerykanin, do oleju trafiamy przez włoskie zwyczaje. A przecież olejów jest cały wachlarz, i to takich z małych tłoczni. Szukajcie w Internecie. Lniany, z wiesiołka, ostropestu, czarnuszki, pestek dyni. Każdy z nich ma inny smak, inne składniki prozdrowotne i każdy może być alternatywą dla odwiecznego na naszym stole masła lub, nie daj Boże, margaryny. Trzeba tylko spróbować. ©℗

Usa.pl 9161cd63de

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Grzech systemowy

MARCIN MAKOWSKI: Za nami rzeszowski Kongres 590, który docelowo ma pomagać we współpracy biznesu i rządu. Na pierwszej płaszczyźnie są powody do zadowolenia – jeden z najwyższych wzrostów gospodarczych na świecie – na drugiej nadal pełno politycznych zawirowań. Jaka była atmosfera na miejscu?

MATTHEW TYRMAND: Myślę, że mimo wszystko dominował optymizm. Rzeszów to w ogóle interesujący region, patrząc przez pryzmat sektora zbrojeniowego i nowoczesnych technologii. Na pewno Kongres 590 wypada lepiej niż „polskie Davos", czyli zlot w Krynicy-Zdroju, gdzie dominują spółki Skarbu Państwa, a wszyscy biegają za politykami, prosząc o przysługi. Tutaj widziałem więcej konkurencyjności, obecność autentycznego sektora biznesowego i przedsiębiorców – brakowało być może większej liczby międzynarodowych gości i mówców, którzy pokazaliby siłę oraz słabość polskiego rynku ze swojej perspektywy. Muszę przyznać, że ciekawie wypadło przemówienie Andrzeja Dudy na temat potencjału polskiej gospodarki, ale wystarczyło chwilę poczekać na Adama Glapińskiego, żeby entuzjazm opadł.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Dlaczego?

Oczywiście nawet słowem nie wspomniał sprawy Marka Chrzanowskiego i Komisji Nadzoru Finansowego. Na miejscu byli Morawiecki, Duda, Emilewicz, Gowin – a to za Glapińskim chodziło najwięcej mediów. Być może uznał, że przemilczy temat. Gdyby postanowił milczeć przez całą konferencję, nie byłoby źle, ale miał też przemówienie. Słuchałem go z osobą spoza Polski, świetnie obeznaną w europejskim sektorze bankowym i po prostu przecieraliśmy oczy ze zdumienia. Od strony ekonomii to były jakieś bajki. Glapiński mówił np., że Polska mogłaby zastosować luzowanie polityki pieniężnej, zwiększając podaż pieniądza w obiegu, uzyskując tym samym szybszy wzrost PKB (nawet 7 proc.) w krótkim czasie. Tyle że to bzdura, bo zgodnie z konstytucją nie da się przekroczyć progu długu publicznego powyżej 55 proc., a rząd się do niego zbliża. Nie ma zatem przestrzeni na operacje w stylu manipulacji stopą procentową banków centralnych. Mówił również, że zamiast skoków PKB, woli stabilny wzrost. Nie znam żadnego państwa, które mając możliwość uzyskania tak wysokiego produktu krajowego brutto, po prostu go nie bierze, bo woli jeść małą łyżeczką. Nikt na świecie, nawet Wietnam, Chiny i Filipiny, nie mają dzisiaj takiego wzrostu. Miałem okazję słuchać w życiu kilkunastu wystąpień prezesów banków centralnych i amerykańskiego FED, żaden z nich nie wydawał mi się tak oderwany od branży, w której pracuje. Przecież Glapiński poświęcił znaczną część swojego przemówienia np. na roztrząsanie zaboru szwedzkiego i strat kulturalnych, poniesionych wtedy przez Rzeczpospolitą.

Ciekawostka: wiesz, że to Adam Glapiński jest pomysłodawcą kongresu, na którym byłeś i który chwalisz?

Świetnie, zatem to mu się udało, ale w tym, co stanowi istotę pracy, nie zgadzam się z jego diagnozami. Uważam, że jako osoba pośrednio związana z aferą wokół rzekomych propozycji korupcyjnych Chrzanowskiego wobec Leszka Czarneckiego powinien zrobić więcej, aby pomóc ją wyjaśnić. Szczególnie że Chrzanowski to jego dawny student i protegowany. On tymczasem mimo dymisji woli go publicznie bronić, przerzucając odpowiedzialność polityczną na premiera Morawieckiego.

Nazwałbyś sprawę KNF – podobnie jak opozycja – „największym skandalem III RP"?

To na pewno nie jest ta skala problemu, szczególnie że pod względem personalnym rezygnacja szefa KNF – wymuszona przez Morawieckiego – nastąpiła błyskawicznie. Do samej instytucji zaufanie straciłem, gdy pomimo przeszłości lobbingowej aprobowała Michała Krupińskiego na prezesa Pekao. Tutaj chodzi raczej o grzech systemowy całego sektora nadzoru finansowego, który od lat jest wykorzystywany jako narzędzie polityczne i zawodzi w kluczowych sprawach – od Amber Gold do GetBack. W przypadku GetInu i Idea Banku Czarneckiego również wiadomo było, że brakuje ok. 1,5 mld zł kapitału, a za rządów PO temat nie istniał. Bardziej niż konkretni ludzie chory jest zatem lekarz, który ma nie doprowadzić do śmierci pacjenta, którym jest państwo. I to jest przygnębiające. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl 9161cd63de

OKIEM JASTRZĘBIA

Graliśmy uczciwie...

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ja to, proszę państwa, jestem już taki stary, że pamiętam czasy, kiedy ludzie się zaręczali, brali śluby i się rozwodzili. Serio, tak kiedyś było, pamiętam. W skrócie – bo na pewno są państwo ciekawi tych archaicznych obrzędów – wyglądało to tak. Chłopak poznawał dziewczynę, a dziewczyna chłopaka, wydawało się im, że jest im dobrze, i z powodu braku doświadczenia planowali wspólną przyszłość. Mówili o tym swoim rodzicom, zaręczali się, informując odgałęzione rodziny, że mają zamiary bezchecheszkowe, on jej kupował pierścionek i uroczyście jej go zakładał, a ona mu nie. Następnie brali ślub w kościele, ona cała na biało, a on nie. Na weselu były swawole, a po weselu czasem żyli szczęśliwie, a czasem on nie. Czasem szli do sądu po rozwód i było wtedy dużo prawdziwej nienawiści oraz piłowania majątku na dwa. To były czasy!

W lipcu dowiedziałem się, że Edyta Górniak ma nowego chłopaka. Już teraz nie pamiętam, którego, bo z matmy nie jestem za tęgi, a raczej nie chodzi tu o jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. I to już są nowe czasy, te swoiste zaręczyny odbyły się w Internecie, w mediach społecznościowych. Wielka i wredna rodzina internautów (tu się nic nie zmieniło, rodziny zawsze obrabiają tyły) dowiedziała się, jak za dawnych czasów, kim jest wybranek, co robi i czy jest zamożny. Okazało się, że ma hotel, ściga się samochodami, że z nazwiska jest Zalewskim Mateuszem (ładne nazwisko) i jest młodszy od oblubienicy o 12 lat, więc wszyscy przyklasnęli.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Swoisty ślub nastąpił, także w mediach społecznościowych, chociaż ona nie była na biało, ale byli razem i widać było jej szczęście, a jego – to trudno powiedzieć. Bardzo nieelegancko jest wchodzić w cudze życie prywatne, które to prywatni ludzie pokazują samodzielnie wszem wobec w mediach społecznościowych bez krępacji. Nieładnie! Nie drążąc bólu, nieszczęścia i zranionych uczuć pary, Edyta Górniak i Mateusz Trzydziesty Piąty (to od jego wieku, a co państwo myśleli?) Zalewski się rozwiedli. To znaczy po nowemu się rozwiedli – bez sądu, lecz wydaje mi się z nie mniejszym okrucieństwem. Otóż oni, proszę uważać, pousuwali się wzajemnie z Instagramów, Facebooków i co tam jeszcze społecznościowego jest w Internecie. Pousuwali się ze zdjęć! Wyrafinowane okrucieństwo ocierające się z premedytacją o mord. Tak się po prostu powymazywać? Ile w tym bólu dla całej społecznościowej rodziny? A jaka materia do snucia przypuszczań przez ciotki?! Ja tu sygnalizuję temat pracy doktorskiej dla jakichś socjologów o zmieniających się w społeczeństwie internetowym obrzędach. Ten przypadek bynajmniej nie jest przypadkowy, tylko już regułowy. Historia przyspieszyła po prostu. I zgłupiała do cna, ale to temat innej pracy.

Po co nam, kibicom, mydlić oczy? Lewandowski znów nie strzelił gola

Zmieniając wątek, chciałem zauważyć tak króciutko, że Robert Lewandowski w kolejnym meczu polskiej reprezentacji, tym razem z Portugalią, znów nie strzelił gola. Ja wiem, że ktoś może próbować go tłumaczyć, że przecież nie strzelił, bo nie grał w tym meczu. Ale po co nam, kibicom, mydlić oczy? Gdyby grał, to niby co by to zmieniło? Znów nie strzelił i już. Znowu taka jakby reguła zadziałała.

I tylko tak na koniec powiem, że mi się przypomniał film pt. „Wielki Szu". A dokładnie te następujące słowa wypowiedziane przez Jana Nowickiego do taksówkarza Jurka po tym, jak wygrał od bezczelnego młokosa wszystkie pieniądze: „Graliśmy uczciwie, ty oszukiwałeś, ja oszukiwałem, wygrał lepszy". W związku z czym przypomniały mi się te słowa? No oczywiście w związku z rozmową Leszka Czarneckiego i przewodniczącego KNF Marka Chrzanowskiego. Tylko że jeszcze nie wiadomo, kto tu komu odbierze wszystkie pieniądze... ©℗

eprasa.pl 9161cd63de

OKIEM BLOGERKI

Kałużagate

KATARYNA

GRZEGORZ SCHETYNA: Oni jeszcze przed zaprzysiężeniem, czyli rozpoczęciem funkcjonowania, przed początkiem kadencji, oni korumpują przedstawiciela drugiej strony i składają mu korupcyjną ofertę i przeciągają go na swoją stronę, żeby zmienić werdykt wyborczy, i to im się udało. I dlatego będziemy zawiadamiać prokuraturę ws. popełnienia przestępstwa.

Grzegorz Schetyna chce nasyłać prokuratora na polityków, którzy po wyborach zmieniają partię, a wtóruje mu w tym były minister sprawiedliwości. Andrzej Lepper miał mniejszy tupet i swoich parlamentarzystów dyscyplinował bardziej prymitywnie – wekslami. Każdy kandydat na posła lub senatora musiał złożyć w partii weksel na ponad pół miliona złotych, na wypadek gdyby kiedyś przyszło mu do głowy zdradzić partię i przejść do innej. I nawet działało dopóty, dopóki się zwolennicy praworządności nie wtrącili. Ówczesny marszałek Sejmu Marek Jurek zaskarżył weksle Samoobrony do Trybunały Konstytucyjnego jako niezgodne z ustawą zasadniczą, a po tym, jak Trybunał umorzył postępowanie z przyczyn formalnych (koniec kadencji), ponownie wniósł je następca Jurka na fotelu marszałka – Bronisław Komorowski. Komorowski argumentował, że mające zapobiegać zmianie partii weksle są niezgodne z konstytucją, która „zapewnia wolność tworzenia i działania partii politycznych", a partie polityczne „zrzeszają na zasadach dobrowolności i równości". Wekslami zajmował się także sąd, ostatecznie uznając je za nieważne z mocy prawa. „Są one niezgodne z ustawą o partiach politycznych, która stanowi, iż każdy ma prawo z partii wystąpić; to prawo nie może być w żaden sposób uwarunkowane zapłatą jakiejkolwiek kwoty".

Platforma przez ostatnie lata była chyba największym beneficjentem partyjnych zdrad

Dzisiaj Schetyna i wtórujący mu w czczych groźbach były minister sprawiedliwości Borys Budka postanowili zawstydzić Leppera, nasyłając prokuratora na radnego, który po wyborach zmienił partię z powodu, dla którego ludzie zazwyczaj zmieniają partie – bo zmiana mu się opłaciła. Bardzo kibicuję wzmożonej moralnie Platformie w oryginalnym pomyśle na utrzymywanie partyjnej jedności – gdy przetrą tę ścieżkę, będzie można w podobny sposób rozprawić się prawie z każdym politykiem, wszak zawsze zmieniają partie dla jakiejś korzyści, jeśli nie materialnej, to osobistej, a za taką można uznać nawet większą przychylność mediów. Sama Platforma przez ostatnie lata była chyba największym beneficjentem partyjnych zdrad, dla niektórych uciekinierów z innych partii tworzyła nawet specjalne rządowe stanowiska, będzie się działo, jeśli każdy taki transfer będzie teraz badał prokurator.

Borys Budka chyba rozumie absurdalność pomysłu swojego szefa i przeczuwa porażkę – w końcu jest prawnikiem – ale nie przeszkadza mu to dzielnie brnąć za szefem w bzdurę. Ma już nawet narrację na wypadek wielce prawdopodobnego umorzenia śledztwa, będzie to – tak, zgadliście – wina Ziobry. Sprawa nie jest jednak beznadziejna: „Jeżeli prokuratura tę sprawę umorzy, to oczywiście może ona zostać podjęta wówczas, gdy prokuratura będzie pod niezależnym nadzorem, a nie polityka PiS". Nie wyjaśnia tylko, w jaki sposób zmusi tego niezależnego prokuratora do zajęcia się partyjną hucpą. Może więc jednak „tylko" komisja śledcza ws. Kałuży? ©℗

PODSŁUCHANE

O Boże

Ryszard, za dwadzieścia minut mamy konferencję prasową!
No wiem przecież, Aśka. Krawat wiążę. To mi zawsze długo zajmuje. Bo węzeł musi być porządny, a to nie jest takie proste. Tu najpierw trzeba przełożyć...

Ale my nazwy nie mamy!
Nazwy czego?

Partii!
Naszej?

Nie, Kaczyńskiego.
No przecież ta Kaczyńskiego nazywa się Porządek i Spokój. Czy jakoś tak.

Na litość boską... Jasne, że naszej!
No jak to nie mamy? Pan Petru.

Przecież wiem, jak się nazywasz. I chyba nie jesteśmy na „pan".
Też mi się tak wydaje, chyba przechodziliśmy na „ty". Ale tak się nazywa nasza partia. Moja partia.

Nie „Pan Petru", tylko Plan Petru, ale to nie może być, bo to już było, to był tylko projekt, a teraz ma być partia i nie jesteś w niej sam. To musi być coś nowego, świeżego. Bo ja wiem? Na przykład: „Partia Intensywnego Prowzrostowego Awansu".
Świetny pomysł. Skrót jeszcze lepszy.

No to co robimy? Bo czas ucieka, dziennikarze nie będą czekać. Myśl, Rysiek, myśl!
O Boże, teraz?

O Boże Teraz! Ciekawy pomysł, taki intrygujący, ale moim zdaniem jednak za bardzo klerykalny. Ale może jakoś byśmy to skrócili? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To dalszy ciąg kontrrewolucji i dalszy ciąg budowania państwa, które nie ma nic wspólnego z demokracją".

PROF. ANDRZEJ RZEPLIŃSKI *w „Onet rano" o nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym*

eprasa.pl 9161cd63de

Trump is cool (1)

fot. Jerzy Gumowski

Najnowszy film Stevena Spielberga **„Czwarta władza”** niby to poświęcony jest pierwszej kadencji prezydenta Richarda Nixona, lecz w istocie stanowi metaforę sekującą pierwsze kilkanaście miesięcy rządów prezydenta Donalda Trumpa, typową dla zlewaczałego Hollywoodu i dla goszystowskiego (tam się mówi: *„liberalnego”*) establishmentu Stanów Zjednoczonych, który wciąż ma ciężkiego kaca po klęsce swej pupilki, Hillary Clinton. Christopher Scheuermann tak to podsumował w **„Spieglu”**: *„Ten film to wielka hollywoodzka próba dokopania Trumpowi analogią historyczną, i zarazem bitewne hasło dla antytrumpowskiego ruchu oporu, wezwanie, by nie ustawać w kontestowaniu Trumpa (...) Niewyartykułowanym, lecz jasnym przesłaniem filmu jest nadzieja, że Trump sam się wykończy swoją tępotą”*. Jednocześnie jankeski Salon bombarduje Trumpa medialnie bez ustanku, także opasłymi woluminami paszkwilantów, vide książka Michaela Wolffa **„Fire and Fury”**, o której profesor Zbigniew Lewicki (przewodniczący Rady Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych) rzekł: *„Nagłaśniane ostatnio dziełko Wolffa to przykład dziennikarstwa insynuacyjnego, dość żałosna próba ośmieszenia prezydenta jako rzekomego analfabety”* (2018).

Próbowano go tak ośmieszać już podczas kampanii wyborczej, piętnując wszystko co wtedy proponował, od planów uzdrowienia gospodarki, po projekt wzniesienia antyimigranckiego płotu na granicy z Meksykiem (co ciekawe: krytykujący ten *„mur”* udawali, że nie wiedzą, iż takie graniczne zapory stoją w kilkudziesięciu miejscach na świecie, od Indii czy Słowenii, do Pakistanu czy Izraela). Nic to nie pomogło — *„prości Amerykanie”* dobrze już poznali kłamliwość salonowych politykierów, agitatorów i komentatorów, więc masowo zagłosowali na Trumpa. Arlie Russell Hochschild, socjolożka z kalifornijskiego Uniwersytetu Berkeley, zbadała przyczyny preferencji wyborczych zwolenników Trumpa i w książce **„Gniew oraz żal amerykańskiej prawicy”** ujęła źródła ich frustracji metaforą o kolejce do sukcesu. Ci Amerykanie, podobnie jak ich rodzice i dziadkowie, traktowali życie niby kolejkę: gdy ucząc się i ciężko pracując starasz się, by spełnił się twój *„american dream”* — posuwasz się w tej kolejce do przodu, aż osiągasz cel. Trzeba tu wytrwałości i cierpliwości, ale warto. Tak było przez pokolenia, lecz w pewnym momencie tempo posuwania się do przodu zaczęło słabnąć, system zaczął utykać, wysiłek szedł na marne, bo do kolejki coraz częściej wpychali się uprzywilejowani sztucznie intruzi: rozmaite mniejszości, imigranci, uchodźcy, plus inne grupy obdarzane preferencjami (np. pracownicy sektora publicznego). Zwykły harujący Amerykanin poczuł się *„wyrolowany”*. I oddał głos na człowieka, który obiecywał skończyć z szacherką psującą kolejkę.

Trump, jak wszyscy kandydaci w historii, obiecywał elektoratowi dużo dobrodziejstw, ale jak żaden wybrany elekt spełnił i próbuje dalej spełniać wszystkie złożone obietnice — to jest ewenement na skalę światową! Niech nas nie zmylą jego szorstkie maniery, swoiste grubiaństwo i nieokrzesanie — ten polityk, wbrew regułom polityki, jest człowiekiem honoru, bo dotrzymuje danego słowa. A płynąć naprzód musi wśród rekinów–żarłaczy, ciągle rażony wyssanymi z brudnych paluchów aferami/skandalami (od konstytucyjnych po seksualne) i zapowiedziami autorytetów, egzegetów, celebrytów, że jego prezydentura spustoszy kraj i glob, kończąc się kataklizmem rangi Armagedonu. Polski Salon jojczy przeciw niemu identycznie jak internacjonalne lewactwo. Wydawny przez **„Politykę”** dwutygodnik **„Forum”** przez cały 2018 rok regularnie/maniakalnie/notorycznie ogłaszał z nieukrywaną radością, że Trump lada moment zostanie *„impeachmentowo”* zdjęty z urzędu, że sprawa jest już przesądzona — ale to życzeniowe wodolejstwo (opierane na tekstach **„Guardiana”** i innych lewackich mediów Zachodu) jakoś nie chce się spełnić.

> *Prof. Marguerite Peeters: „Prezydent Trump to polityk, który ma odwagę mówić: nie!”*

Wbrew wymierzonej przeciw Trumpowi, permanentnej ofensywie Salonu, sondaże pokazują, iż amerykański wyborca twardo stoi za prezydentem. Bo dla tego wyborcy zupełnie nieistotne są przepychanki obyczajowe (jakieś kurewki obwiniające Trumpa) lub nawet polityczne (głupie sugestie o jego komitywie z Putinem) — liczy się własna kieszeń, byt ekonomiczny własnej rodziny i sąsiadów. Powszechny w USA wzrost płac dzięki decyzjom Trumpa i powszechne przekonanie, że miejsca pracy są bezpieczne dzięki niemu, ergo: wyraźna poprawa bytu amerykańskiego społeczeństwa odkąd ten człowiek sprawuje urząd — nie podlegają dyskusji. Już pierwszego dnia swego urzędowania zrealizował przedwyborczą obietnicę wygaszenia zbędnych regulacji federalnych, wdrażając zasadę: każda nowa regulacja wymaga likwidacji dwóch innych, co dla gospodarki państwa miało kluczowe znaczenie. Tuż po tym sygnował reformę (gruntowną) systemu podatkowego, radykalnie obniżając prawie wszystkie podatki i upraszczając system do oporu (przykładowo: podatek CIT dla firm obniżono z 35% do 21%!). Błyskawicznym efektem stał się *„pogrzeb recesji Obamy”*, czyli trwający do dziś boom gospodarczy Stanów, obejmujący m. in. mocny wzrost PKB i siły dolara, przy gwałtownym spadku bezrobocia oraz inflacji. Przedsiębiorcy, którzy pod rządami Baracka Obamy wyprowadzali swe biznesy za granicę, teraz wracają *„do domu”*, zwiększając liczbę miejsc pracy dla rodaków. Najwięksi optymiści nie przewidywali tak znaczącego *„wiatru w żagle gospodarki USA”*. Nawet walczący z Trumpem **„Washington Post”** komentując to ozdobił redakcyjną czołówkę skruchą swej ekspertki: ***„Pomyliłam się co do Trumpa”***.

Pomylili się też ci, którzy sądzili, że Trump grzecznie przełknie niekorzystne dla USA międzynarodowe zobowiązania ekonomiczne (różne regulacje, konwencje, traktaty), które poprzednicy Obamy, i zwłaszcza sam Obama, zawarli bez rozsądku. Już samo wycofanie się przez Trumpa z paru porozumień klimatycznych (które obciążały budżet federalny i kieszenie podatników) stanowiło solidny zastrzyk dla gospodarki amerykańskiej. Nie patyczkując się Trump podważył północnoamerykański (USA–Meksyk–Kanada) układ o wolnym handlu NAFTA, odstąpił od umowy o wolnym handlu TPP z państwami azjatyckimi i zamroził negocjacje TTIP między USA a Unią Europejską. Producenci z całego globu, którzy do tej pory wchodzili ze swoimi towarami jak w masło w amerykański rynek, dumpingowymi cenami dołując lokalnych wytwórców — nagle uderzyli nosami w barierę ceł zaporowych i podnieśli wrzask. Oskarżono USA o ekonomiczną imperializację (były grecki minister finansów, Janis Warufakis, grzmiał na łamach **„Guardiana”**, że Trump *„burzy dotychczasowy globalny porządek, wprowadzając siłą nowy, przypominający koło — Ameryka w centrum, a reszta państw to tylko szprychy”*). Hubert Kozieł: *„Obecny amerykański prezydent chce po prostu za pomocą ekonomicznych środków nacisku wymusić zmianę systemu międzynarodowego. Tak jak Reagan doprowadził do upadku ZSRR i wciągnięcia dawnych państw komunistycznych do «wolnego świata», tak Trump chce doprowadzić do totalnego zmodyfikowania systemu globalnych porozumień gospodarczych, który w jego opinii nie jest korzystny dla USA”* (2018).

Sumując: ekonomicznym konkurentom *„dymającym”* USA prezydent Trump pokazał zgięty łokieć, zgodnie ze swoją dewizą *„America First”*. Rozpętał zresztą piekło nie tylko ekonomiczne, lecz pozostałymi jego arenami typu *„piasek i krew”* zajmę się w przyszłym tygodniu. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 9161cd63de

Technologie jutra

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Super Titanium™ jest hipoalergiczny, niebywale lekki i zapewnia trwałość i wytrzymałość, którą można cieszyć się przez lata.

Eco-Drive Radio-Controlled Watch

Ti+IP SUPER TITANIUM

citizen.pl

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 9161cd63de